*BOGU*



**Darek Sugier**

---

# Reportaże św. Piotra

2011

# 1

# Syn Boży

Jeszua

Królu Królów w koronie z koron, Synu Dawidowy!
Ubrany w płócienny worek sznurem przepasany,
Jakiż ja byłem głupi, nikczemny i mały!
Przychodziłeś do mnie, a ja Cię nie widziałem,
Mówiłeś do mnie, a ja Cię nie słyszałem.

*Jestem w dużej, jasnej lokacji. Mam pełną świadomość. Faza dobrze ukształtowana i wyrównana. Nic mnie nie ściąga do ciała, nic nie szarpie, nie rozprasza. Niefizyczne zmysły dostrojone bez zarzutu. Czuję, że mam sporo czasu i energii.*

*Miejsce przypomina salę lekcyjną, tyle że bez ławek i krzeseł, na podłodze rozłożony dywan… Obok mnie dostrzegam innych ludzi, pospuszczali głowy jakby w geście pokory… Wyczuwa się atmosferę wyczekiwania, jakby zaraz miało się wydarzyć coś ważnego. Odruchowo szukam znajomych, ale nikogo nie rozpoznaję. To przez te ich kaptury częściowo skrywające identy. Uczniowie, bo takimi mi się wydają, w skupieniu oczekują wizyty Nauczyciela. Usiedli na dywanie. Ja nie siadam…, stoję i drepczę w miejscu, to nawyk pozostały po setkach nieudanych wyjść, odruch zakotwiczający w niefizycznym świecie… Zresztą czuję, że rozpiera mnie energia – entuzjazm wynikający z chęci przeżycia nowej przygody i świadomości obranego kierunku…*

*Wiem, Kto się zaraz zjawi, już Go wyczuwam. Mocny Ident odbierają też inni. Nie widzą Go, a już wychylają się w stronę Jego wibracji. „Cóż za Silna Osobowość!” Zbliża się do naszej lokacji. Nie da się tego nie odczuć. To nasz Nauczyciel, a to Jego Szkoła. Skądś napływa myśl. Przypominam sobie (a może domyślam się), czego uczy. Ale nie ma potrzeby mówienia o tym, bo i tak wszyscy to wiedzą. On jest tuż, tuż…*

*Pach! Ze ściany wyłania się Chłopiec ze słoneczną maską na twarzy. A to ci niespodzianka! W życiu nie spodziewałbym się kogoś takiego. Ubranie zwykłe, nic specjalnego: spodnie i koszula w kolorze piasku pustyni. Ma kędzierzawe blond włosy. Normalny chłopak, tyle że z zasłoniętą twarzą. Ukrywa się za maską przypominającą nieco zmodyfikowany wizerunek twarzy mojego bratanka, od niej rozchodzą się na wszystkie strony promienie słońca. Maska jest płaska, podobna do lizaka, uchwyt znajduje się z prawej strony u dołu, a nie, jak można by się spodziewać, na spodzie. Całość przypomina trochę wrysowaną w obraz słońca literę „Q".*

*Nie wytrzymuję i pytam na głos:*

*– Dlaczego przyjąłeś taką postać?*

*I dalej myślami przekazuję:*

*„Spodziewałem się kogoś w szatach, Nazarejczyka. Po co ten groteskowy kamuflaż? Wiem, że to Ty. Ostatnio, jak Cię widziałem, miałeś taką fajną postać CHRYSTUSA Zmartwychwstałego – ze sztandarem i uniesioną prawicą, przerzuconą przez bark szatą. To mi bardziej odpowiadało".*

*– Pomniejszyłem się na spotkanie, tak jest lepiej – odpowiada mi słowami.*

*Dalej już czytam, ledwo wychwytując Jego myśli, jakby nie do końca chciał je ujawnić, jakby sam szukał w mojej głowie odpowiedników. Wyczuwam przy tym Jego skromność i zupełny brak ego. To dlatego jest mu trudno o tym mówić. „O! Jest! Wychwyciłem coś":*

*„Nie zmieściłbym się, peszyłbym was, zaraz byście klękali, a za tym nie przepadam".*

*Dalej już bez zakłóceń głośno i wyraźnie (ale też myślami) przekazuje:*

*„To najlepsza postać pasująca do otoczenia. Przecież już wiesz, jak działa ten obszar... To tylko ubranie wpisane w lokację".*

*Myślę: „Kurczę, mówi normalnie, jak normalny człowiek, i jaki przy tym skromny...".*

*Buzia, a właściwie uśmiechnięta maska, promienieje szczęściem i czymś jeszcze. Ciężko to nazwać. Najbliższe pasujące określenie to „dobro". Widać, że to bardzo dobry… można by powiedzieć „człowiek".*

*„Przepraszam, straszny ze mnie niedowiarek, muszę mieć pewność. Muszę Cię spytać. Czy Ty jesteś...”, i tu przywołuję z pamięci obrazy z nieodległej przeszłości, kiedy to widziałem Go na horyzoncie z czerwoną chorągwią, gdy prześwietlał promieniem postacie. Głos mówiący o Synu Bożym…*

*Nie odpowiada. Dopiero po chwili trochę zasmucony dodaje:*

*„Naprawdę musisz to usłyszeć, by uwierzyć?”*

*„Wiem, Ty Nim jesteś”, mówię, ale nie do końca w to wierzę.*

*Staram się ukryć niedowierzanie, ale czuję, że On je wychwytuje. Nie jest to dla mnie miłe uczucie... Nie chcę wyjść na małego kłamcę i niedowiarka, ale muszę się upewnić. „Ależ mam tupet! Czego mi potrzeba, bym uwierzył? Dlaczego to dociera do mnie z takim trudem! No..., bo jak? Ja, zwykły śmiertelnik, spotykam się z Mesjaszem? Niemożliwe!”*

*Często myślałem o takim spotkaniu, prowadziłem wewnętrzne dialogi, tworzyłem scenariusze, jak to będzie, co powiem, o co spytam, czy wytrzymam, czy się nie rozkleję? Prawdę mówiąc: bałem się spotkania. Do głowy przychodziły mi różne myśli, nawet te o karze za grzechy, o tym, że Jego Boska Miłość mnie spali, nie wytrzymam Jej. Nic z tych rzeczy się nie stało! Jak bardzo fantazja potrafi namieszać komuś w głowie... Rozmawiam z Nim, jak z drugim człowiekiem, nie czując się gorszy ani odrobinę. Jak równy z równym, choć wiem, że nie dorastam mu nawet mu do pięt…*

*Dla pewności pogadam z Nim na głos. Tak wolę. Mam sporo czasu, a dostrojenie stało się jeszcze lepsze. Zapamiętam każde słowo:*

*– Co tu robisz?*

*– Ojciec mnie wysłał.*

*– Po co?*

*– Prowadzę szkołę. Doglądam.*

*– Chcę być twoim uczniem.*

*– Już jesteś.*

*– Po co to robisz?*

*– By wrócić do Ojca.*

*– Kiedy?*

*– Z wami.*

*– Jak wrócimy?*

*– Ojciec nas ściągnie.*

*– Ale kiedy?*

*– Gdy skończę.*

*– Ty stworzyłeś Ziemski System Życia?*

*– Tak, z Ojcem.*

*– Proszę, wyjaw swoje imię, to mi pomoże, to mnie ugruntuje. Przedstaw się, błagam!*

*– Nadal mi nie wierzysz? To ja jestem! Ten którego przywoływałeś.*

*W mojej głowie pojawiają się obrazy ze spotkań…*

*Dlaczego nie podaje mi swojego imienia? Wiem, że przyszłoby mu to łatwo, jednak z jakiegoś powodu nie mówi. Jest zawieszone, jak gdyby zaraz miałoby zostać wyjawione, ale wciąż nie pada. Może ma wiele imion? Może jest ono strasznie długie i nie do zapamiętania? Zadowoliłbym się choćby jego fragmentem, najlepiej tym na „J". Przecież to On! Dlaczego nie chce potwierdzić! A może to nie On?*

*Bezimienny odrobinę posmutniał, jakby przyzwyczajony do wysłuchiwania podobnych pytań i wątpliwości, jakby spotykał się z nimi nagminnie. Wreszcie dodaje, nie używając słów:*

*„To jest właśnie problem do przerobienia. Inni też nie wierzą, że to ja jestem. To element nauki, gry do rozegrania. Jak to pokonają, będzie łatwiej".*

*„Dlaczego tak się dzieje? Ja zachowuję się tak samo. Jestem niewiernym Tomaszem. Nie dociera do mnie, że się spotkałem z samym…".*

*„Bo sobie wyolbrzymiają moją postać, wyobrażają bóg wie kogo. A to jestem zwykły ja. Dlatego mnie nie dostrzegają. Jestem zbyt normalny, zbyt ludzki dla nich. Nie wierzą własnym oczom, że jestem jednym z nich. W tym tkwi problem".*

*Zaczynam pojmować. W końcu dociera do mnie, kto to jest. Oczy zachodzą łzami, świadomość odkrycia zaczyna przytłaczać. Pojawia się pragnienie przynależności do czegoś nieokreślonego, tęsknota za Domem, za Ojcem, choć Go nie pamiętam. Za wybudzeniem w Źródle, za prawdziwym przebudzeniem tam, gdzie zasnąłem... Niech nas już*

*ściągnie do siebie! Wiem jednak, że musi wypełnić się Jego plan. Rozklejam się na dobre. Słoneczne dziecko siada mi na kolanach i zarzuca ręce na szyję.*

*„Tęsknota jest zrozumiała. W Domu Ojca zostawiliśmy wszystko, jak było..., nagle oderwani od zabawy dla Wiekuistych Pism, posłani”...*

*Delikatnie, o parę centymetrów, odchyla maskę. Nie zdejmuje jej, tylko oddala od twarzy. Razem ze „słoneczkiem” odsuwa się całe ubranie. Cała wierzchnia warstwa tekstury szaty wraz z maską wędrują na bok i ujawnia się część Jego prawdziwego oblicza. Nie widzę Go, tylko czuję promieniowanie. Osłona twarzy chroni Go niczym tarcza. Tak jest lepiej dla mnie. Tego co jest za nią, nawet nie podejmę się opisać. To niewysłowione Absolutne Dobro...*

Jestem z powrotem w moim ciele. Oczy mam mokre od łez. Wpatruję się w sufit i płaczę... Jestem taki szczęśliwy! W końcu mi się udało! Dotknąłem BOGA! Potrzebowałem tego doświadczenia, czuję się teraz pełniejszy. „Jak dobrze, że objawił mi swoje Oblicze. Już wiem, że on to jest ON!” Trochę mi wstyd za mój tupet i niedowiarstwo. Zachowałem się jak zuchwały dziennikarz, który wchodzi z butami do świątyni i odwrócony plecami do *sacrum* pstryka fotki. Musiałem mieć stuprocentową pewność, że to JEZUS. Poza tym bałem się, że drugiej okazji może nie być. W jakimże byłem będzie...!

# 2

# Ocenzurowane na boską prośbę

Alleluja!

Aż kipię w środku, by wykrzyczeć z siebie:
Jezu, Jezu, że spotkałem Ciebie!
Tak szydziłem, tak się śmiałem,
Że nie istniejesz, że Cię nie widziałem.
A Tyś przyszedł jak brat – nieskrycie,
Syn Boży w Słonecznym Bycie.
Tyś mój, a ja Twój, i Ojca jednego mamy.
Kocham Cię Najdroższy Jezu Miłowany!

Niezmiernie trudno jest opisać to, co przeżywa dusza. Można uciekać się do poezji, malować obrazy, płakać przed kamerą, ale i tak nie odda się prawdziwego uczucia. A co dopiero jeśli te przeżycia dotyczą zjawisk, nie mających nic wspólnego ze światem fizycznym, oderwanych od realiów..., od tego, co zna większość z nas i co przyjmuje jako standard, punkt odniesienia? To dopiero są schody...

Jak, na Boga, mam przelać na papier to, czego doświadcza astralny podróżnik? Albo to, co niejednokrotnie dotyczy głębokich struktur podświadomości? Odpowiedź jest prosta: nie da się. Jednak warto próbować. Jeśli ludzie zrozumieją choćby tylko piąte przez dziesiąte, to i tak będzie warto. Bo co nam po wiedzy ukrytej w szufladzie pod sercem? Zadusi nas w końcu... Trzeba pozwolić jej wypłynąć. Może wtedy człowiek poczuje ulgę, a drugi, daj Bóg, skorzysta. Oby tak się stało.

W tej chwili odczuwam dyskomfort w okolicy szyi. To jest coś w rodzaju wewnętrznego ciśnienia, które chce się wydostać z serca na zewnątrz. Idzie w górę ku głowie, napotyka silny opór i próbuje wyjść przez usta, ale więźnie w gardle. Co to takiego? To „rota". Już tłumaczę, o co chodzi. Nazwa jest akronimem zaczerpniętym od Roberta A. Monroe. Pod powyższym terminem kryje się zbiór informacji, pakiet nagranych przeżyć – taki zwinięty, mocno sprasowany trójwymiaro-

wy film, można go też nazwać hologramem. W niefizycznym świecie „rota" najczęściej przyjmuje formę kuli energii. Jej barwa bywa różna, a kolor jest adekwatny do rodzaju niesionego przekazu. Dla przykładu: czerwone kule otwieram ostrożnie, ze szczególną uwagą, by nie stracić świadomości, czyli uwagi i skupienia, by nie zasnąć lub się zbytnio nie rozproszyć. Zaś złote otwieram w ciemno, ochoczo, mocno podekscytowany, bo wiem, że cokolwiek w nich znajdę, okaże się dla mnie dobre. Zdarzają się też inne kolory: najmniej interesujący jest oczywiście czarny, bo niesie ze sobą niezbyt miłe informacje. Rota oprócz formy kuli może mieć również formę wykonanego z finezją pudełka bądź skrzyni. Zawarte są w nich doświadczenia, jakby nakręcone kamerą – widziane najczęściej z perspektywy danej osoby – cenne zapiski patrzącego, skrzętnie zanotowane na niefizycznym papierze, ale też obrazy i zdjęcia. Rota to kunsztowna forma niewerbalnego przekazu.

Poza ciałem istnieje kilka form komunikacji. Pierwsza to werbalna, zupełnie jak tu w realu – można mówić na głos. Co prawda niekiedy z małymi ograniczeniami, bo przy kiepskim dostrojeniu zmysłów podróżującego poza ciałem, nawet niewielkie poruszenie mięśniami w astralnym gardle może spowodować cofnięcie do fizycznej powłoki. W tym stanie do werbalizacji myśli można jednak używać niefizycznej krtani. Tu cenna uwaga: należy przy tym stosować zredukowane zdania, najlepiej krótkie wyrazy, mówić powoli, głośno i wyraźnie. W przeciwnym wypadku przekaz może zamienić się w bełkot, w trudno zrozumiały zlepek słów, wylatujący z ust mówiącego dziesięciokrotnie szybciej niż u lektora z Teleexpressu.

Kolejną formą przekazu w niefizycznym świecie, w sumie najbardziej rozpowszechnioną „po drugiej stronie", jest czytanie myśli wprost z głowy rozmówcy. Odbywa się to w taki sposób, jakby ktoś mówił niesłyszalnym głosem do drugiej osoby, patrząc jej w oczy, a ona wyłapywała każde słowo. To rozmowa myślami, telepatia w najczystszej postaci.

Dalej mamy coś, co przypomina mowę ciała połączoną z mimiką. To nic innego jak jednoznaczne gesty stosowane dla podkreślenia wypowiedzianych werbalnie lub niewerbalnie słów. Postronnemu obserwatorowi może się wydawać, że rozmówca nie chce być usłyszany.

Przychodzi, robi pewien gest i znika... Taki zakamuflowany tajny przekaz, to ulubiona forma konwersacji Gabriela. Którego Gabriela? No jak to, którego? Cały świat o nim bębni. Na ścianach wieszają jego podobizny jako „stróża", lepią jego postać z ciasta, sprzedają na odpustach, ale w prawdziwego trudno im uwierzyć. To Archanioł Gabriel! Ten sam, który podyktował Koran Mahometowi. Bluźnię? Nic z tych rzeczy. Ten sam, który powiedział Marii, że jest mimo swego dziewictwa brzemienna, że zstąpił na nią Duch Święty. Trudno w to uwierzyć? Wcale się nie dziwię. Gdybym Go nie spotkał, to sam nie uwierzyłbym. Jestem gorszy niż trzech niewiernych Tomaszów... A jeśli ktoś powiedziałby mi jeszcze dekadę temu (bo przecież już wówczas wychodziłem z ciała; co prawda były to początki, ale jednak), że Anioły istnieją, to wyśmiałbym go – ewentualnie spróbowałbym mu wytłumaczyć, że to jego Wyższe Ja przyjęło taką postać; lub upierałbym się, że sam sobie stworzył aniołka.

W jakimże błędzie byłem, a przy tym prześmiewcą jakim wykwintnym... No cóż..., młodość rządzi się swoimi prawami, człowiek wtedy gardzi autorytetami, buntuje się. Nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie. Zresztą nie tylko ja się myliłem. Nie jest dobrze ślepo podążać za idolami. Bo co, jeśli się mylą, jeśli coś po drodze ominęli? W ślepą uliczkę zawiodą nie tylko siebie. Zaufać można jedynie własnemu doświadczeniu. Nie ma nic cenniejszego niż osobiste przeżycia. Autopsja jest jak fundament, na którym wznosi się całą resztę. Tworzone są mapy, teorie, a nawet prognozy. Doświadczenie wraz z samodzielnością – samodzielnym, nieskażonym obcymi wpływami intelektem, pracującym na bazie tego, co człowiek sam przeżyje – dają poczucie bezpieczeństwa i wgląd. Aniołowie istnieją! I wcale nie kryją się w metalowych bunkrach.

Wkrótce miałem się dowiedzieć o nich więcej, jak i tego, dlaczego komunikują się ze mną cichą mimiką. Ale nie wszystko na raz, bo mi szyję rozsadzi. To dopiero początek... Sporo jest tego, o wiele za dużo. I za długo było przetrzymywane we wnętrzu.

A więc: poza ciałem można porozumiewać się werbalnie – głosem; telepatycznie – myślą; za pomocą mimiki i gestów; oraz rotami – pa-

kietami myśli. To co grzęźnie mi teraz w gardle, próbując się wydostać, jest niczym innym jak właśnie rotą. Niezmiernie trudno ją wyrazić, przenieść na papier to, co przeżyłem w poza. Jeśli byłby to astral, dajmy na to w tej chwili znaleźlibyśmy się w poza, czy wydobyłbym z siebie rotę i posłał ją komuś innemu do odczytu? Otóż nie. Dziwne, prawda? No właśnie. W tym tkwi problem. Posłałbym, ale nie w całości. Jest bowiem jeszcze dodatkowe utrudnienie: mianowicie prośba. Nie nakaz, tylko serdeczna prośba od JEZUSA, abym nie zdradzał wszystkiego. I już w tym miejscu źle to ująłem... Bo JEZUS o nic nie prosi, nic nie nakazuje, tylko w bardzo subtelny sposób daje do zrozumienia, co jest właściwe, a co nie. To taka wyższego lotu boska asertywność. Gdy sobie przypomnę Jego wszystko mówiące spojrzenie, oczy z których emanowała Najczystsza Miłość, blask szepczący:

*„...lepiej nie wspominaj o tym. Dobrze?...”*

to jak tu takiego Mistrza nie posłuchać? Mam dylemat, bo czuję jedność z ludźmi. Nie wiem, czy to za sprawą empatii gatunkowej, solidarności – wszyscy jedziemy przecież na tym samym wózku. Może coś w tym jest. Nie będę pisał, że kocham, bo to trochę infantylne, zbyt łatwe i mocno zdewaluowane. „Kochasz kogoś? To pokaż jak? Wyraź to czymś więcej niż słowem”. Laurki z serduszkami słać najłatwiej.

JEZUS dał mi wyraźnie do zrozumienia, abym milczał w niektórych kwestiach. Więc będę milczał. A może to przez skromność i brak ego, JEZUS sugerował zachować milczenie? Sam już nie wiem. Na wszelki wypadek swoją rotę wyrażę ocenzurowaną boską prośbą. A co, jeśli jakiś przekaz niechcący wyleci z ust? Bo paplam czasem strasznie, a i słowo do słowa się klei. Co wtedy? Czy coś popsuję? Absolutnie nie! JEZUS, mi wszystko wybaczy, nie pogniewa się ani ociupinkę.

# 3

# Proroctwo obcych

Tajemnica

W odwiecznych czeluściach, na skraju wszechświata,
Gdzie nic nie dociera, blask światła zawraca,
Trwa w majestacie, magicznym uroku,
Wielka Tajemnica niebieskiego globu.

Większość proroków jakich zna świat, ostrożnie podchodzi do przepowiadania przyszłości. Używają języka metafor, obrazów i uogólnień, nie precyzując ściśle dat. Nie napiszą co, gdzie i kiedy się stanie, tylko przekazują informacje, powiedziałbym „mało po reportersku”. Ale czy w ogóle da się przekazać językiem teraźniejszości coś, co odnosi się do tego, co się zdarzy? Przecież ludzkość z przyszłości operuje innym słownictwem, zmodyfikowanym w wyniku rozwoju, jak i upływu czasu. Ale owszem, jest jeden wspólny język, a mianowicie język obrazów. Jeśli jednak obraz dotyczy jutra, a znajdą się w nim nieznane współczesnym elementy, to i tak dojdzie do zniekształcenia przekazu.

Prorocy opisywali swoje wizje, używając pojęć ówcześnie im znanych. Choć dotykali niefizycznymi zmysłami jutra, widzieli przyszłość, to jednak malując ją, posługiwali się słowami z ich okresu.

Przypuśćmy, że widziałem przyszłość, ale nie znam wielu z jej elementów; nie wiem nawet, jak i do czego je porównać. Nie chcę, by ktoś kto odczyta mój przekaz, błędnie go zinterpretował. Co mam zrobić? Nic nie mówić, czy zaryzykować i posłać w eter ułomny przekaz słowny? Zaryzykuję i powiem tak:

– Prorokiem nie jestem. Nie widziałem przyszłości, ale Obcy ją widzieli i mi ją pokazali. Jeśli coś nie gra, to reklamacje proszę składać u nich. Podaję adres: odległa strefa; fokus: Zgromadzenie.

*Znajduję się w obcym, nie znanym mi rejonie, zupełnie jakbym wszedł do nie ludzkiego świata. Wyczuwam obecność obcych istot. Są humanoidalne, ale obce. Jest ich kilka... A może tylko jedna, ale rozczłonkowana na aspekty? Skacze przy mnie i coś chce powiedzieć. „Ma ręce, ma nogi, więc nie jest tak źle", myślę. „Ident jednak zamazuje, albo to ja nie mogę dokonać identyfikacji. Raczej to drugie".*

*Humanoid wymachuje przy mnie rękami. „O co mu chodzi? Chyba chce na siebie zwrócić uwagę? Ale po co?", zastanawiam się. Wydaje się czymś wzburzony lub jest bardzo podekscytowany. Rozglądam się raz jeszcze po okolicy. Wszystko mocno „przesiąknięte" nieznanymi mi elementami obcej formy życia. Taki astral ufoludka – niepodobny do niczego i poprzekręcany, zbudowany jakby na opak. Widocznie rozwój tej istoty przebiega w zupełnie inny sposób niż na Ziemi. „Dlaczego on tak panicznie chce nawiązać kontakt?" Działa to na mnie trochę odpychająco. Zawsze gdy ktoś się zbytnio narzuca, to człowiek instynktownie zachowuje ostrożność. Wpatruję się w kosmitę, skupiając uwagę na jego zamazanym idencie. Nagle słyszę w głowie:*

*„Dlaczego?! Powinieneś widzieć! Wy, ludzie... Nie sposób was zrozumieć! Zobacz! Zobacz!", mówi i podsuwa mi dwie duże skrzynie roty. Pierwsza z lewej, czarno-brązowa, sprawia wrażenie ciężkiej. Rozpoznaję po kolorze, że ma trudną zawartość. Widzę na niej okucia z akcentami nie tak dawnej przeszłości: II wojna światowa, nazizm, holokaust. Symbole i skojarzenia są trochę zmodyfikowane, ale je rozpoznaję – fragment brunatnych koszul Hitlerjugend, niemiecka czcionka, SS... Druga skrzynia, bliżej prawej, jest koloru matowego złota i ocieka jakby miodem. Sprawia wrażenie lekkiej i słodkiej. Aż chce się ją otworzyć. Jest pokryta niezbyt zrozumiałymi symbolami. Niektóre z nich wydają mi się znajome, np. dwie połączone ze sobą złote obrączki, złote róże. Poza tym dostrzegam bliżej nieokreślone matematyczne znaki typu: sigma, pi, iksy – nie one, ale trochę do nich podobne... W pewnym momencie, u góry, nad głową, rozlega się Męski Głos kogoś, kogo nazwałbym narratorem:*

*– To przeszłość i przyszłość widziana z obcej perspektywy.*

*Domyślam się, kto mówi. Wiedząc to, czuję się pewniej, bezpieczniej. Decyduję się otworzyć pierwszą skrzynię z przeszłości. Pojawia się ekran bardzo podobny do telewizora nowej generacji, po chwili oglądam czarno-biały film w trójwymiarze. Obraz przedstawia makabryczne sceny. Trochę zajmuje mi zrozumienie, o co chodzi. Ponownie otrzymuję informację, tym razem przesłaną mentalnie, że film-rota był kręcony z perspektywy nieczłowieka i dlatego jest trochę zagmatwany. Widzę jak młody esesman, gorliwie, z pokerową twarzą, pracuje przy taśmie w miejscu przypominającym wielką fabrykę śmierci. Robi wszystko, by jak najmniej się napracować, a jak najwięcej zabić. Oszczędza swoją energię, bo musi mu jej starczyć na długo – pracy jest wiele... Olbrzymie kolejki do śmierci a on sam jeden. Najpierw zabija pojedynczo strzałem w tył głowy: dzieci, kobiety, starców, bezbronnych cywilów, wszystkich, jak leci. Są to Żydzi, noszący na ramieniu znak Gwiazdy Dawida. Potem esesman wpada na pomysł, by jedną kulą zabić więcej osób. Tak będzie oszczędniej. Ustawia ludzi równiutko w linii strzału. Pach, i leży sześć ciał! Wpadają do czegoś, co przypomina kopalniany wagonik i znikają w ziemi. Morderca jest niezadowolony, bo uważa, że jego praca wciąż jest za mało wydajna. Nie okazuje nawet odrobiny współczucia czy litości. Organizuje wielki taśmociąg, specjalne maszyny do mocniejszego pakowania ciał i olbrzymie wysokotemperaturowe piece. Fabryka rozrasta się aż po horyzont, a on wciąż jest niezadowolony ze swej wydajności, chce więcej i więcej zabić…*

*Czuję jak ktoś z tyłu szarpie mnie i odciąga od ekranu. Mówi do głowy telepatycznie:*

*– Uważaj, bo cię wciągnie ekran i zatracisz świadomość, a chcesz zapamiętać. Zachowaj dystans.*

*Faktycznie! Jeszcze trochę a wpadłbym w ekran. Nie mam ochoty tego oglądać. To okropne! Holokaust widziany oczami ufoludka. Nie dość że makabryczny to jeszcze popaprany.*

*– Wiesz, co było najgorsze? – odzywa się Obcy. – To, że próbowano zataić ślady zbrodni. Jak można niszczyć taką pamięć?!*

*– A to ci dopiero myślenie! Cóż za zdroworozsądkowe, ufoludzkie podejście do ludobójstwa. Nie sama zbrodnia, cierpienie milionów, jest okropieństwem, tylko próba niszczenia zapisanej pamięci? Historia ważniejsza od ludzi?*

*„Ciekawe, co jest w drugiej skrzyni? Wygląda bardzo przyjaźnie. Tylko jak ją otworzyć? To jest rota, może połknąć? Tak, by ją mieć na zawsze w sobie i otwierać, kiedy dusza zapragnie. Głupia myśl. Normalnie ją otworzę, tak jak tamtą”. Wyciągam rękę i już się pojawia ekran. „Ale fajny!” Wielki, ze złotymi, rzeźbionymi na arystokratyczną modłę ramami. Już coś na nim leci. Daje się słyszeć króciutki szum i głos wydobywający się z obrazu. Opowieść rozpoczęta. „Ale numer! Wiedziałem, że roty działają w ten sposób”. Zaraz coś przetestuję. Naciskam mentalnie „stop” i holograficzny film się zatrzymuje. Wciskam myślą „play” i leci dalej. Robert Monroe miał rację! Roty można przewijać tak jak filmy. „Tylko dlaczego nic nie wspomniał o JEZUSIE?” Strasznie mi to chodzi po głowie. Któraś z podopiecznych Monroe wspominała o nim w drugiej części trylogii, ale Robert nie natknął się na Bożego Syna. Dlaczego?...*

*– Rozpraszasz się. Zaśniesz. Obejrzyj rotę.*

*Znów słyszę głos z góry. Ano faktycznie, tracę przytomność. Zacząłem odpływać myślami. „Dzięki! A mogę wejść do ekranu?”.*

*– Tak. Śmiało.*

*Ledwie włączam „play” i już jestem w złotej ramie.*

*Znajduję się w olbrzymiej hali. Pomieszczenie przypomina wielki hipermarket, tyle że brak w nim wyposażenia: nie ma kas, półek, jest tylko wolna przestrzeń. Brak okien i drzwi. Wszystko wyłożone białymi kafelkami. Sterylna czystość, jasno. Zamiast sufitu: gigantyczny szklany dach. Widzę przez szyby piękny lazur nieba. Gdyby nie przezroczyste zadaszenie byłoby tu strasznie ciemno. Przezroczysty sufit to jedyny kontakt z zewnętrznym światem. Tak to odczytuję. Całość przypomina wielkie, wprost gigantyczne atrium.*

*Nagle znikąd, jakby wychodząc ze ścian, pojawiają się ludzie. Pierzchają we wszystkich kierunkach, ale nie są ogarnięci paniką. Przez sufit widzę płynący po niebie olbrzymi statek kosmiczny. Pojazd nie przypomina ani odrobinę tych widzianych na filmach science-fiction . Nie jest podobny do żadnej znanej mi rzeczy. Wiem jednak, że to statek. I to wcale nie Obcych. Wyczuwam płynące od niego znajome wibracje. W mocnym uproszczeniu i niezbyt trafnie można go porównać do rozciągającej się na całe niebo olbrzymiej złotej kratownicy z płaskowników i rur. Tu i tam widać jakby ubytki. Nie jest to cała i pełna kratownica..., ma w sobie jakby powycinane otwory. Jedno wrażenie jest bardzo silne: przeświadczenie, że w środku są dobre istoty ludzkie. Odczucie jest tak mocne, że aż przytłacza. Tam są oni-my, ale z bardzo odległej przyszłości – dalszej niż chwila, w której rozgrywa się akcja roty – z przyszłości. Odnoszę wrażenie, że w statku znajdują się bardzo zaawansowane w rozwoju ludzkie jaźnie, jakby „my" z bardzo dalekiego jutra, z wyższego wymiaru, i to połączeni w Jedność. Czuję, że to „my-LUDZKOŚĆ", ale o eony lat wyprzedzający w rozwoju „obecnych-nas", którymi w tej chwili jesteśmy na Ziemi.*

*Słyszę dochodzący ze statku Głos. Jest zniekształcony, przypomina dźwięk, jaki wydaje krótkofalówka typu walkie-talkie. Co chwilę do moich niefizycznych uszu wdziera się szum, trzaski, zgrzyty..., przez co wyłapuję tylko niektóre słowa. Opiekun z tyłu podpowiada mi, że pewnych wyrażeń nie znam i dlatego rejestruję je jako szumy. W nadawanym komunikacie wychwytuję również pikanie. Przewodnik tłumaczy, że to pewnego rodzaju cenzura. Wsłuchuję się całym sobą w komunikat. Przypomina opowieść.*

*„...W teatrze zdarzeń całego uniwersum... (szum i pikanie)... nic nie pochłonęło tyle energii, co stworzenie ogrodu na Ziemi... Teraz za sprawą ciemnych sił... (szum i pikanie) ... by nie dopuścić do tego, co miało kiedyś miejsce, my producenci i reżyserzy całego spektaklu, ... (szum i pikanie) ...zmuszeni jesteśmy przerwać eksperyment i ewakuować naszych aktorów... (szum i pikanie)...".*

*I w tym momencie widzę, jak ze statku kosmicznego zrzucane są wielkie złote obrączki. Identyczne jak ślubne, lecz wielokrotnie więk-*

*sze. Natychmiast przychodzi mi do głowy, że to koła ratunkowe. Wlatują do środka pomieszczenia przez szklany dach, nie rozbijając go. Wybuchają tuż nad głowami niczego nie spodziewających się ludzi. Eksplozje są bezgłośne, widać tylko flesze białego światła. Zauważam, że po każdym takim błysku znikają kilkuosobowe grupy ludzi, są teleportowani do wnętrza statku.*

*„A co mi tam!”, myślę. „Zobaczę, cóż to za „ratunkowe” obrączki”. Szybko podbiegam do miejsca, w którym mam nadzieję złapać jedną z nich. I nagle ten sam Narrator przez walkie-talkie mówi:*

*– Stop. Przerwać zrzut. Mamy reportera z przeszłości.*

*Wszystko się zatrzymuje jak za naciśnięciem klawisza pauza. Cisza. Komentator ze statku przerywa opowieść, milknie. Wyciągam rękę w górę i chwytam jedną z obrączek. O dziwo: nie wybucha. „Szkoda..., bo chciałem zwiedzić wnętrze promu”. Z dużego kilkumetrowej średnicy matowo-złotego pierścienia robi się maleńki i srebrny. Chwytam drugą obrączkę, zawisłą w powietrzu ciut wyżej. Nie wiem, co mam z nimi począć... Po chwili namysłu nakładam obie na kciuk prawej ręki. Nic się nie dzieje. „Wezmę je na pamiątkę”, myślę. „Oj, wezmę jeszcze kilka...”. Ruszam po atrium, zbierając złote obrączki niczym trofea. Ludzi już nie ma.*

*Pytam Komentatora:*

*– Czy ja też mogę się zabrać? Tylko z reportażem...25*

*Nikt nie odpowiada. Próbuję się unieść i nakierować ident w stronę promu, ale ciężko mi to idzie. Czuję, jakbym miał buty z ołowiu. Mocno skupiam się na złotej kratownicy i wysyłam w jej kierunku myśl: „Na chwilę..., w odwiedziny, proszę!”*

*Jednak nic z tego. Czuję, że nie mogę, że to, co zamierzałem, jest niewykonalne...*

*Wychodzę z roty, złote ramy ekranu obkurczają się i kryją w miodowej skrzyni. „Co za piękna rota, co za intrygująca przyszłość czeka ludzi”, myślę.*

*Obcy przygląda mi się w taki sposób, jakby nic nie rozumiał.*

*„A dam mu jedną obrączkę na pamiątkę, za taką rotę należy mu się!”, postanawiam. Zerkam na kciuk, a tam nic..., pusty palec. „Została w ekranie? Czy wchłonęło ją ciało astralne? A co ze skrzyniami? Nie chcę, by przepadły, zwłaszcza ta złota. Może je jakoś wsunąć w siebie, jak nie w brzuch to chociaż w udo?”...*

*To pierwsza rota jaką kiedykolwiek otrzymałem. Nie mam pojęcia, co zrobić, by nie przepadała. A jeśli jej nie zapamiętam? Chcę otwierać ją w taki sposób, jak to opisywał Robert Monroe w „Podróżach poza ciałem”, i, gdy wrócę, w ciele fizycznym odpalać i przeglądać dla zabawy, kiedy mi na to przyjdzie ochota. Słyszę mentalny komunikat wydobywający się z okolic klatki piersiowej:*

*„...Masz kopię w sobie...”.*

# 4
# CHRYSTUS Zmartwychwstały

Mesjasz Zwycięzca

Ze sztandarem w purpurze z uniesioną prawicą,
Odsłoniętą piersią i bokiem przebitym,
Podpłynął do mnie JEZUS Zmartwychwstały,
A w tle było widać pałac Jego.

Jak to się zaczęło? Z ciała wychodzę regularnie od..., oj, już nie pamiętam... Do starych, pogryzmolonych dzienników nie chce mi się zaglądać, by to sprawdzić. Sporo wody w Wiśle upłynęło od moich pierwszych startów. Uzbierało się ich trochę, spokojnie z kilkanaście tysięcy wyjść. Tak, dobrze napisałem – nie kilka, lecz kilkanaście tysięcy! Pomnóżmy: 5–6 wyjść prawie każdego poranka, od czasu do czasu jedno lub dwa tuż przed zaśnięciem, przez 365 dni w roku, teraz razy lata… O to nawet więcej wyjdzie! Nie kilkanaście lecz kilkadziesiąt! Dobrze liczę? Ale czy to takie istotne? ile lat się wychodzi i jaką liczbę się osiągnęło? To tylko statystyka. Więc jeśli to nie jest ważne, to po co w ogóle o tym wspominam? Ano po to, by powiedzieć, że tysiąc wyjść jest niczym w porównaniu z jednym spotkaniem z Nim... Tamto jest tylko zwykłym łażeniem i błądzeniem po astralu. Owszem, jakąś tam przyjemność się z tego czerpie, ba, nawet zdobywa fragmenty wiedzy, jednak mówiąc o tempie i poziomie rozwoju, przypomina to dziecięce raczkowanie. Taka prawda. Raczkowałem przez ponad dekadę, no może czasem przeskakując na chwilę do piaskownicy. Dlatego teraz wiem: jedno spotkanie z Jego Osobą, choćby przypadkowe, jest jak..., nie mam pojęcia, do czego mogę to przyrównać... Może do porządnego kopniaka, który przenosi cię o eony lat w przód, motywuje, dając poczucie, że wszystko idzie jak należy... Nakręca do wydajniejszej pracy nad sobą.

Człowiek patrzy na Niego i myśli: „Kurde, chciałbym być taki jak On. Zazdroszczę mu. Jest taki wielki, ma całą wiedzę w zasięgu ręki, wgląd w największe tajemnice wszechświata, a przy tym jest taki skromny i normalny. Ale co tu mówić, to przecież Syn Boży. Może miał lepszy start, był przez Boga Ojca faworyzowany? Sam nie wiem". Włącza się u mnie taki ludzki sposób myślenia...

Wielu rzeczy nie rozumiem. Dlaczego ja jestem tu, a On tam? Dlaczego jest między nami taka różnica? Dlaczego nie jesteśmy sobie równi? Czy są równi i równiejsi? Dokładnie takie myśli naszły mnie nie tak dawno temu po jednym z wyjść. Łaziłem wtedy trochę przygnębiony poza ciałem, bez celu, i mówiłem do siebie: „Kurczę, widocznie są równi i równiejsi. Ja tu na dole a On tam na górze. To trochę nie fair...".

Co mi odpowiedział? Przykro mu się zrobiło i rzekł:

„...Szymonie, to są słowa szatana... Wszyscy jesteśmy równi..."

I tak oto jedna odpowiedź zrodziła setki pytań. „Dlaczego powiedział do mnie „Szymonie"? Przecież mam na imię Darek. Wspomniał o szatanie. Więc ten niesławny oponent też istnieje? Skoro tak, to czy moja dotychczasowa wiedza o niefizycznym świecie jest aktualna? Czy ma iść do lamusa, czy też wystarczy ją tylko odświeżyć, gromadząc nowe informacje? Jak to wszystko uporządkować?"

Potrzebowałem więcej danych, więcej wyjść, a przede wszystkim więcej spotkań z Nim. Miałem wrażenie, że złapałem Pana Boga za nogi i to dosłownie, bez przenośni. Czułem, że muszę się spotykać z Nim jak najczęściej. Aż się gotowałem na myśl, że może nie dojść do ponownego spotkania.

Byłem strasznie zły na siebie, że wcześniej nie wpadłem na ten pomysł. Ileż to czasu i energii mogłem zaoszczędzić, gdybym uświadomił sobie, że ktoś taki jak JEZUS z Nazaretu żył naprawdę – choćby jako postać historyczna, niekoniecznie boska. A ja mało tego, że nie dopuszczałem takiej myśli, to, delikatnie mówiąc, szydziłem, że nawet atrapy JEZUSA nie mogłem stworzyć w ospuo. No i co teraz, panie Darku? Na idiotę wyszliśmy, prawda? Czy moja poprzednia książka „Mi-

łość i Wolność Poza Ciałem" jeszcze jest aktualna? Powiem z przekąsem: tak, na chwilę, w której powstawała.

Przecież ci mówiłem, żebyś ją wyrzucił, bo własne doświadczenie jest najważniejsze.

Miłuję wolność ponad wszystko i ostatnią rzeczą jaką zrobiłbym, to narzucił sobie kajdany przeszłości. Nie jest dobrze być niewolnikiem wczorajszego dnia. Dziś przynosi zmienne i oddala się od wczoraj, budując jutro. Wiele się zmieniło przez ostatnią dekadę. Jaźń ludzka, jak i otaczająca nas rzeczywistość, czy to fizyczna, czy niefizyczna, to nieustanny proces twórczych zmian. Jak tu stać w miejscu? Jednocześnie mam świadomość tego, że całkowite odcięcie się od przeszłości nie jest możliwe. Nie chciałbym nawet tego robić. Historia minionych zdarzeń i nabyte doświadczenia jest jak bank pamięci, stanowi często punkt odniesienia, jest tłem i porównaniem. Podważać czyjś autorytet..., ale swój? Nie osłabi to ego? Moim obecnym wzorem, idolem, bo zawsze lubiłem mieć idoli – taka pozostałość z dzieciństwa – jest Syn Twórcy. A z tego co wiem, On nie ma ego. Osobowością charyzmatyczną owszem jest, ale bez ego.

Jeśli będziesz cierpliwy, to ci jeszcze coś o Nim poopowiadam. Na przykład o tym, jak pierwszy raz spotkałem Go w astralu – muszę dodać: świadomie. A może jeszcze lepiej: o tym, jak On zezwolił na spotkanie, jak mi się objawił. I nie śmiej się proszę z tego, że się nawróciłem. To więcej niż nawrócenie, bo ja nie „wierzę", tylko WIEM, że On istnieje, a to zasadnicza różnica. „Wierzyć" to nie „widzieć", a tylko świadomie dopuszczać możliwość istnienia czegoś; zaś „wiedzieć", to „zobaczyć". Ja jestem z tych niewiernych Tomaszów, co to jak nie włożą ręki w bok, to nie uwierzą. Błogosławieni ci, co nie widzą, a uwierzą.

Uwierzysz mi? Zaufasz? Skąd! Jeśli nie wierzysz nawet w to, że można wyjść z ciała...

*Wychodzę z ciała. Obszar pierwszy, astralny, rozdmuchany po sam horyzont. Myślę: „Co by tu zrobić?" Dostrojenie dobre, czasu od groma, energii dość, ale nie mam żadnego planu. A może by tak spróbować zapytać „kto to wszystko stworzył?". Tego mojego, jak go kiedyś*

*nazwałem, MTJ-a? Nie zdążyłem do końca sformułować myśli, gdy nagle zza linii horyzontu zaczyna się wyłaniać coś, co przypomina szpic. Mija krótka chwila, a już widzę wielki pałac. Zbliża się do mnie. Przypomina ten z Warszawy: „Kultury i Nauki”. Ni to pałac, ni to stojąca gigantyczna rakieta. Przyglądam się uważnie i własnym oczom nie wierzę: na środku przed wejściem stoi nie kto inny tylko JEZUS CHRYSTUS z uniesioną wysoko prawicą i czerwonym sztandarem na drzewcu w lewej ręce. Purpurowa szata zarzucona na lewe ramię spływa w dół, jest w pół przepasany złotym sznurem. Stóp nie widzę, jakby unosił się w powietrzu. Normalnie JEZUS! Z krwi i kości! Myślę: „Ależ niespodzianka! Spotkał mnie ogromny zaszczyt”. Ale też w tym samym momencie ogarnia mnie dziwnego rodzaju rozczarowanie. „To On istnieje?! To On to stworzył?!” Bo przecież tak sformułowałem pytanie do MTJ-a. Mam mieszane uczucia. „Co mam robić? Uklęknąć? Zapytać o coś? Języka w gębie mi braknie. Dlaczego wcześniej nie natrafiłem na Niego? A może natknąłem się, tylko nie umiałem Go rozpoznać? Pewnie czyta moje myśli... Przecież to Twórca”. Ooo..., podpływa bliżej, jakby chciał się bardziej pokazać, odsłonić swój ident. Jest tak prawdziwy, że aż przytłacza swoją obecnością. Stop. Zatrzymał się. „A co mi tam, klęknę”. Słyszę w głowie myśl:*

*„... Nie klękaj. Nie przepadam za tym. Tak, dziury po gwoździach też mam, i bok przebity”.*

*Mówi normalnie i to w moim języku. Czyta nawet te głębsze, nie wyrażone myśli. Dopiero teraz uzmysławiam sobie, że chciałem coś wspomnieć o jego ranach. Gapię się na niego jak na jakiś okaz, aż głupio. Zauważam, że mam otwartą buzię. Zamykam ją dyskretnie z głupią miną, oblewa mnie fala gorąca, czuję, jak się rumienię. „To tu w astralu też można się wstydzić?” Jestem całkiem zbity z tropu. Nie wierzyłem w istnienie JEZUSA, a tu taka niespodzianka! Oddala się.*

*„Poczekaj, proszę, nie odchodź!”*

*Pałac ze Zmartwychwstałym CHRYSTUSEM powoli odpływa i po krótkiej chwili niknie za horyzontem. Teraz widzę tylko wystający szpic,*

*jak na początku. Trwa to jakiś czas, jakby chciano mi przekazać: „Zapamiętaj to doświadczenie". Tak. Muszę zapamiętać. Wracam do ciała.*

„No to ładnie. Ależ wstyd! Widocznie tak miało być. No, ale i zaszczyt". Bo co tu kryć się za fałszywą skromnością: JEZUS objawia się nielicznym. Ale dlaczego akurat mnie? Będę musiał poukładać sobie w głowie wiele rzeczy. Mojej żółtej książki przeredagować już nie zdołam, poszła do ludzi dawno temu.

# 5

# Szymon Petrus Kefa

Petrus Sugier

Już się nie wyprę, choćby przybijali,
Kur niechaj milczy całymi wiekami,
Świat niech przystanie, na chwilę posłucha,
Jam jest Szymon od obciętego ucha!

Kiwasz głową, nie wierzysz, rozum wiary nie daje,
„Oto jest ten, w którym mam upodobanie”.
– Jam to powiedział, co przedstawi mnie potem.
Tęskni za mną, bom jest jego wezgłowiem.

Rozpoczynam standardową procedurę przesuwania porannej fazy. Pojawia się przeszkoda – silne znużenie. Nie wiem, co je powoduje. Być może zbyt mało czasu przeznaczam na sen. Mimo wszystko za wszelką cenę próbuję się przebić do poza. Aby pokonać zmęczenie, układam się w pozycji półleżącej, pozwalającej zachować czujność i umożliwiającej skupienie. Może chociaż na parę minut uda się wyjść z ciała... Nagle słyszę głos w głowie:

*„...Szymonie. Nie śpij. Chodź, pomóż mi...”*

*Z tyłu, tuż za plecami, czuję ciepłe wibracje Przyjaznej Istoty. „Tak szybko przesunąłem fazę? A może to jednak real?” Ident Osoby znajdującej się za mną staje się coraz bardziej wyraźniejszy. Znam go, to ident JEZUSA! Obejmuje mnie prawą ręką przez pierś, kładzie głowę na lewym ramieniu i do ucha szepcze:*

*„...Petrus… Kefa…*
*... Jestem przy tobie...”*

*Wyczuwam Jego oddech, krótką brodę i długie włosy. Nastawiam się na obserwację, z trudem powstrzymując emocje. Jestem nagi. Za-*

*wsze gdy wychodzę, moje ciało jest nagie, tak mi wygodniej fazować. Jednak nie krępuje mnie to, a przecież przytula się do mnie mężczyzna. Na nagiej skórze wyczuwam Jego ubranie: ma na sobie płócienny worek, jest przepasany grubym sznurem. Pod stopy podsuwa mi swoje, jakby mi pozwalał obejrzeć siebie poprzez dotyk. Skupiam się na tym odczuciu. Nosi sandały, starożytne rzymki, takie jakby drewniaki z rzemieniami. Nazarejczyk jak żywy!*

*Słyszę głos, tym razem dochodzi gdzieś ze środka mnie. Nie mówi tego JEZUS tylko ktoś z mojego wnętrza, z okolic klatki piersiowej. Być może to MTJ lub jakiś aspekt mnie recytuje krótką rymowankę:*

*„...sen cię morzy...*
*... przyszedł do ciebie...*
*...Syn Boży...”*

*„A niech mnie! Ileż tu się dzieje? Super! Lubię przygody! Z tyłu JEZUS, w środku MTJ…”.*

Pach! i jestem z powrotem w ciele. Jednak to było w poza. Tuż, tuż (na samym skraju zmysłów fizycznych, ale jednak w „niefizyku”), w obszarze, jak go kiedyś nazwałem, „przycielesnym”. Chciało mi się spać, a teraz czuję się, jakbym wypił kawę-siekierę. Oczy wytrzeszczone. „Szok! Przyszedł do mnie JEZUS Nazarejczyk! Zaraz odbiję fazę z powrotem. Muszę, muszę! Tylko spokojnie, tylko spokojnie... Co za przygoda! A już miałem dać sobie spokój i iść spać. Trzeba walczyć do końca”. Muszę opanować podniecenie. Serducho za mocno wali. Kilka głębokich wdechów powinno pomóc. I skupić się mocno na tamtej chwili, to nie trudne…

*Cyk! I znów jestem poza ciałem. Tym razem mam stuprocentową pewność, że to poza. Leżę w obszarze przycielesnym, ale teraz lepiej dostrojony. Dostrzegam kontury pierwszego planu. Kiedyś nazywałem go obszarem stworzonym przez umysł obserwatora (OSPUO) – trafna nazwa, ale nie do końca. Nie tylko obserwator go tworzy. Plan może być*

*kreowany przez każdego, kto w nim zawita. Bardziej trafne byłoby określenie: „płaszczyzna niefizycznych kreacji służąca komunikowaniu się; astralna kopia fizycznego świata; środowisko zastępcze”.*

*„Gdzie jest JEZUS? O co prosić? Wszyscy coś od Niego chcą, to i ja poproszę, tyle że nie mam pojęcia o co. A może nie..., bo głupio tak zawracać głowę”. Znów to moje skromne, ludzkie myślenie. Skąd się bierze?*

„…To twoja wyobraźnia”…

*...podpowiada głos z klatki piersiowej. „Boże, ile ja bym dał, by móc słyszeć ten głos, gdy jestem w ciele fizycznym. Nie musiałbym się męczyć i wyłazić z niego, tylko pyk, i już sobie gadam z MTJ-cikiem! Trochę mi przykro, że tak nie jest. Dobra, nie ma co się rozmarzać, bo jeszcze zasnę”. W międzyczasie dostrojenie samo się polepszyło. „Już wiem, o co poproszę”.*

*Mówię na głos, kierując myśli tak jak zawsze, tyle że adresuję je tym razem nie do MTJ-ta, tylko do JEZUSA:*

*„Proszę Cię JEZU o poszerzenie samoświadomości. Proszę, uświadom mi coś, co mi pomoże więcej zrozumieć z tego, co mi trudno pojąć. Wejrzyj we mnie i daj, proszę, to, czego mi brakuje, abym był pełniejszy. Chcę wiedzieć więcej”.*

*Pach! Czuję jak kilka metrów za mną jakby płynąc nad ziemią, wchodzi JEZUS. Mach! W pewnej chwili słyszę, że w moim kierunku po podłodze turla się jakiś przedmiot, który cichutko dzwoni. Zatrzymuje się tuż przed moimi stopami. To telefon, model w stylu retro. Jest biały i trochę sfatygowany. Zauważam na nim kilka pęknięć. Jasny kabel biegnie w stronę znajdującego się za mną JEZUSA. „Nie będę się oglądał...”. Czuję, że nieładnie będzie się odwrócić. A może to znów moja wyobraźnia? „MTJ nic nie podpowiada, więc może jednak odwrócę się…”. Zanim kończę tę myśl, słyszę uprzejmy komunikat Narratora u góry:*

*„…obierz telefon…”*

*„Obierz?" Wyraźnie powiedział, żebym obrał, nie odebrał. „Dziwna sprawa. A tak w ogóle, to ilu ich tu jest? MTJ w środku, Narrator u góry i JEZUS z tyłu? Dobra, nie będę w to wnikał". Przyglądam się uważnie białemu, popękanemu aparatowi. Biorę go do rąk. Jest strzaskany, jak gdyby ktoś go właśnie wyjął z dziadka do orzechów. Aż się prosi, by go obrać i zajrzeć do środka. Więc to miał na myśli Narrator. Skorupy białego plastiku przypominającego w dotyku styropian łatwo odchodzą i już po chwil trzymam w dłoni złotą kulę. „O Boże! To przecież rota! I to od kogo? Od samego JEZUSA! Co z nią zrobić? Skrzynie się otwiera, a kulę? Może połknąć lub włożyć do brzucha?"*

*JEZUS podchodzi bliżej i bez słów mówi:*

„…położ na dłoni..."

*Posłusznie wykonuję zalecenie. Mija sekunda i widzę jak na środku prawej dłoni, tuż pod rotą, coś się uchyla, jakby zastawka, spust podobny do ust. I oto złota kula wielkości małego jabłka, swobodnie wpływa do ręki. Rozświetla się jak mocna żarówka. Powoli sunie wzdłuż ramienia, kierując się w górę. Dochodzi do barku i, plum!, wpada do klatki piersiowej. W mojej głowie rozlega się ciche kliknięcie i oto jestem w środku akcji roty:*

*...Ciepła noc. Śródziemnomorski klimat. Pagórkowaty, kamienisty teren porośnięty drzewami oliwkowymi. Gdzieś w oddali widać blask pochodni. To nasze tajne miejsce spotkań, z dala od ludzi. Często tu przebywamy. Blisko mnie z prawej strony stoi JEZUS. Jestem Jego wiernym uczniem. Kocham Go i nie odstępuję na krok. Z tyłu za nami są inni uczniowie. Coś wisi w powietrzu, coś się wydarzy. Atmosfera się zepsuła…*

*...Czuję, że jestem sobą jak i mną z bardzo odległej przeszłości. Mam wymieszaną świadomość siebie obecnego i dawnego. Wiem również, że to rota z białego telefonu od JEZUSA, ale wszystko jest tak realne, że zatracam się w niej i zaczynam odgrywać przeszłe zdarzenia, zupełnie jakbym się przeniósł w czasie. „Dawne ja" staje się aktorem, a „ja obecne" przeżywa. Jestem zarówno obserwatorem jak i uczest-*

*nikiem zdarzenia, a wszystko to w pierwszej osobie. Nie widzę siebie z boku, tylko jestem w ciele dawnego mnie…*

*…Przed nami zakapturzona niska postać z mocno odstającymi uszami. Nawet przez kaptur widać, jak sterczą. Wyczuwam, że to podwładny i prawa ręka tego, który stoi obok niego. Ten drugi zaś to wysokiej rangi kapłan, prokurator lub ktoś taki. Jest wyższy od zakapturzonego o głowę i lepiej ubrany. Za nimi ogonek ludzi. Widzę wszystko jak przez sen a jednocześnie to takie realne… JEZUS zakazał nosić broń, ale ja lubię mieć coś przy sobie – stary nawyk. Mam swój miecz bez pochwy, można go dyskretnie ukryć i łatwo wydobyć. Trzymam go pod szatą, dłoń zaciska się na rękojeści.*

*„Dlaczego jestem mańkutem?" – odzywa się obecne ja. „Przecież w realu jestem praworęczny...".*

*„Ciachnę go przez łeb, to mu obetnę te jego odstające uszy. Krzywdy mu wielkiej nie zrobię. Nie chcę go zabić, tylko nastraszyć, może reszta ucieknie, sprawy się ułożą. No jak mu odstają! Trudno, jak coś pójdzie nie tak i mnie zabiją, będę bohaterem. Dobra okazja. JEZUS uczył o pokoju, ale czy w takiej sytuacji postąpię źle? Posłuchać JEZUSA i tak bez walki? Trudno, najwyżej mnie ochrzani, nie pierwszy raz". Błyskawicznie unoszę wysoko w górę uzbrojoną w miecz lewą rękę i ześlizgującym ruchem, opuszczam go w dół, tnę ciasno przy czaszce. Zakapturzona postać traci prawe ucho…*

Klik! Gwałtownie ląduję w ciele. „Szok!" Szybko biorę dyktafon. Wyrzucam z siebie potok słów. W najdrobniejszych szczegółach nagrywam całą scenę, wszystkie doznania. „Co za rota! Co za doświadczenie! W głowie aż się kotłuje. To ja jestem Szymon, co obciął ucho! To była moja inkarnacja. Jestem ściśle związany z postacią historycznego JEZUSA! Gdzie tam historycznego, przecież to Syn Boży! Tylko co ja teraz z tym zrobię? Mówić, czy nie mówić? Zachować dla siebie? Będzie ciężko. Za duża tajemnica. Wiem, że niektórzy idą za mną. Muszę im powiedzieć. Tak będzie fair".

Wiem, że dla niektórych, chcąc, czy nie chcąc, stałem się autorytetem. Najwyżej przestanę nim być, wcale mnie to nie martwi. Wątpię, by mi uwierzyli, a wtedy problem sam się rozwiąże. Powiem wszyst-

ko. Skoro ja przeżyłem szok, niech inni też go przeżyją. Najwyżej mnie wyśmieją. Niewyznający żadnej religii Darek Sugier pisał na okładce, że nawet etyki nie uznaje, a nagle okazało się, że jest samym świętym Piotrem! „A co będzie, jeśli za mną pójdzie ich więcej? Tego właśnie obawiam się najbardziej. Boże, co mam robić? Nie chcę pielgrzymek pod oknem. Jestem astralnym reporterem, a nie jakimś guru. Chyba przesadzam. Pielgrzymek nie będzie, zwłaszcza gdy o to teraz poproszę. A może wydać książkę pod pseudonimem jak Bolesław Prus? I tak zostanę rozpoznany po składni. Mówić, nie mówić? W internecie trolle, zjedzą mnie żywcem. Tym się najmniej przejmuję A więc powiem. Jeszcze się upewnię, zapytam JEZUSA przy najbliższej okazji, może coś mi doradzi".

Upłynęło kilka dni zanim ponownie wyszedłem z ciała. Byłem nabuzowany jak meserszmit. Normalnie zacząłem unosić się nad ziemią. Hej! To tylko przenośnia!

Dojeżdżam swoim leciwym autem do skrzyżowania. Widzę, że na sąsiednim pasie przystaje nowiutkie Porsche Cayenne. Auto przynajmniej tyle warte co mieszkanie w bloku. Spoglądam obojętnie na samochód, ale rozpiera mnie duma, bo w duchu myślę: „Czy zamieniłbym to jedno wyjście na taką brykę?" Za całą lawetę porszaków nie zamieniłbym!

# 6
# Konsultacje z JEZUSEM

Marzenie powrotu

Mistrzu, Rabbi, Ty wiesz, że Cię kocham,
Wiesz dobrze, że pyłem jestem.
Powiedz mi, proszę, mój Ukochany,
Kiedy nas ściągnie Ojciec do DOMU?

Bo wiesz, doczekać się bardzo nie mogę,
To będzie chwila najpiękniejsza w istnieniu.
Już sobie wyobrażam, jak mkniemy w kosmosie,
A będę mógł diabłu pokazać: *fuck you?*

Po kilku dniach przerwy w fazowaniu spowodowanej zbyt silnym podnieceniem w końcu udało mi się wyjść z ciała. Tym razem dostrojenie nie było zbyt dobre. Często tak jest, gdy człowiek chce się wydostać na siłę, a ciało nie poddaje się głębokiemu relaksowi. Jednak lepsze takie wyjście niż żadne, zaspokoi w jakimś tam stopniu głód przebywania poza fizyczną powłoką.

Ano tak... Jestem uzależniony od obe i nie jest to zwyczajny nałóg. Oprócz przyjemności czerpanej z pozbycia się ciała, euforii jaką przeżywa podróżnik, po powrocie (wielokrotnie przenoszonej do fizycznego świata, a więc i do zmysłów) pojawia się przemożne pragnienie zdobywania wiedzy: informacji z pierwszej ręki. Niefizyczny świat jest prawdziwą skarbnicą wiedzy o wszechświecie i nas samych. To nie jest telewizja, gdzie jedna stacja powtarza informację za drugą, a przekazywane ludziom niusy są przesiane przez subiektywne sito właścicieli stacji, albo też okazują się kontrolowanym przeciekiem manipulujących społeczeństwem władz. Na żadnym kanale Discovery nie obejrzysz tego, co skrywa astral. Nie mówiąc o internecie, który przypomina zabawę w głuchy telefon dla niedosłyszących dzieci, karmiących się tylko spiskowymi teoriami.

Wgląd w niefizyczny świat jest jak otwarcie zamkniętych przez całe życie oczu. Jest jak wyjście po latach z jaskini, w której człowiek przyszedł na świat, ale nie dane mu było oglądać słońca. W końcu otwierasz gębę i widzisz. Właśnie to najbardziej wciąga: zdobywanie informacji prawdziwych, z pierwszej ręki – aż stanie się to nałogiem. Dopiero potem następuje uzależnienie od zdejmowania kajdan, którymi w rzeczywistości jest ciało fizyczne. A teraz doszedł mi jeszcze jeden niesłychanie uzależniający czynnik: Boska Miłość JEZUSA. Może dlatego nie każdemu się On objawia? Parę dni bez Niego i normalnie aż mnie skręca w środku... Muszę sobie z tym jakoś radzić. Nie jest łatwo. Tęsknota za Nim aż kłuje w piersi. By zmniejszyć ów ból, często uciekam do poezji. Dobrze jest wyrażać uczucia, pisząc wiersze. Ćwiczę także regularnie na siłowni – to konieczność, bo wzmacnia nie tylko ciało, ale przede wszystkim psychikę. Staram się żyć normalnie, wykonując codzienne obowiązki i skupiać się na chwili obecnej. No i przede wszystkim walczę, by jak najszybciej, za wszelką cenę, wyjść z ciała i znów Go spotkać. To jest moim priorytetem.

*...JEZUS już czekał. Chwycił mnie za kołnierz i zaczął dostrajać do wyższych wibracji. Zupełnie jak wspomniany kiedyś Gigant-On/Ona o wielkich dłoniach, który mnie chwytał jak chomika. Jednak JEZUS to nie Gigant, choć identy mają bardzo podobne. W dość ciekawy sposób wyfazowuje mnie na wyższą częstotliwość. Lecimy przed siebie na stałym pułapie, szybko nabierając prędkości. Gdy jest dość duża, JEZUS gwałtownie przystaje, nie puszczając mnie, ja zaś, nie mogąc wyhamować, z olbrzymią prędkością odlatuję w ciemność. Czuję, jak się wydłużam, rozciągając za sobą coś w rodzaju liny bungie. Jestem bardziej niż pewien, że to astralny sznur łączący mnie z ciałem fizycznym. Po chwili prędkość maleje do zera. Wyhamowujący mnie sznur aż trzeszczy, gdy zatrzymuję się na moment, i już ma mnie szarpnąć w tył, gdy nagle znikąd pojawia się JEZUS, łapie mnie i znów ruszamy naprzód, jeszcze bardziej rozciągając astralną linę. Tę procedurę powtarzamy jeszcze kilka razy, aż lina robi się cienka jak naciągnięta guma do żucia. Tym*

*samym w końcu ląduję na dalekim fokusie***.** *Oczywiście nie sam. Wciąż towarzysz mi Boży Syn. Fajna sztuczka.*

*By nie tracić cennego czasu, pytam prosto z mostu, werbalnie, do minimum redukując ilość słów. Tak jest lepiej. W przeciwnym razie mogę dostać słowotoku:*

*– Czy mam powiedzieć ludziom, że ja to św. Piotr?*

*Boży Syn nie od razu odpowiada, dopiero po krótkiej chwili (jak gdyby astralne powietrze stawiało opór i mój przekaz docierał do Niego z opóźnieniem). Wyczuwam myślą, że się zastanawia. Teraz słyszę Jego cichą myśl, że nie jest wskazane udzielanie rad w stylu „co ma człowiek robić, a czego nie", bo nie o to chodzi w nauce, i radzi, bym sam podjął decyzję. Myślą proszę Go jednak o odpowiedź. Jest to dla mnie dość ważne. Zresztą ma bardzo fajny głos, pragnę go usłyszeć.*

*„Ciekawe jak zareagują?"*

*Ciepły, wyrozumiały, dobrotliwy ale charyzmatyczny. W tonie Jego głosu wyczuwam również odrobinę smutku, tęsknoty, zamyślenia za... Jakby chciał dodać: „Pyta o róże, gdy płonie las...".*

*– Pewnie będą zszokowani – odpowiadam i szybko mentalnie pytam: „Czy mogę się do Niego przytulić?" Bardzo Go to cieszy i już jesteśmy w ramionach. Jest taki ciepły. „A mogę przytulić czoło do czoła?" Nie wiem skąd mi się to wzięło, ale jakoś pragnę tego.*

*– Jasne!*

*Trzymając się za głowy, stykamy się czołami. W środku ma taki spokój. Już nie chce mi się o nic pytać. Odpływam, oddając się chwili…*

*– O co chcesz spytać?*

*– Tyle rzeczy chcę wiedzieć, zgłębić różne tajemnice, ale mam problem z fazowaniem. Wiele lat wychodzę, a wciąż pochłania to mnóstwo energii.*

*– Weź komunię. Możesz też użyć wody święconej.*

*– Naprawdę to działa? Przepraszam za moją bezczelność. Nie chciałem tego powiedzieć. Samo wyleciało.*

*– Jest mi obce gniewanie się. Komunia i woda święcona to moja energia przymierza.*

*– Jak to działa?*

*– Przyjmując, rozrzedzasz duszę. Zbliżasz się do mnie jak teraz.*

*– Mam się wyspowiadać?*

*– Nie musisz.*

Kilka dni upłynęło zanim zdecydowałem się pójść do kościoła. Sam nie wiem, dlaczego to odwlekałem. JEZUS przyszedł do mnie ponownie i to niemalże do fizycznego świata, tuż, tuż – na samiutkim skraju fizycznej i niefizycznej rzeczywistości. Wszedł do sypialni, klęknął przy głowie i wypluł mi prosto do prawego ucha małą złotą kulkę roty.

Otwieram ją i widzę zbliżającą się złotą hostię. Obraz wlatuje we mnie i widzę drugi, jak JEZUS udziela mi komunii. Wizja wpada we mnie i wtedy pojawia się wielki napis stworzony z drukowanych złotych liter z trzema wykrzyknikami na końcu:

WEŹ KOMUNIĘ!!!

„Nie no..., to już by i głupi zrozumiał!”. Idę do kościoła. Dzisiaj środa, ale niech tam. Nie byłem na mszy ze sto lat. Zapomniałem, jak się zachowywać, kiedy klękać, kiedy się żegnać. „Trzema krzyżykami to chyba po ewangelii, albo może przed, kurczę, nie pamiętam”. JEZUS nic nie wspominał o mszy, tylko o komunii i święconej wodzie. „Pójdę wziąć samą komunię. Jak podziała, to jak Boga kocham, przyjmował będę jako najlepszy suplement”.

Już jest po wszystkim. Przy wyjściu z kościoła robię znak krzyża, obficie skrapiając się wodą święconą z misy. Mija kilka chwil i czuję jak w klatce piersiowej, w rejonie serca, robi się przyjemnie ciepło. Łagodne fale ciepła rozchodzą się do ramion i brzucha. Działa! Czuję, że to jest to! Oddech staje się wolniejszy i miarowy. W głowie znika gonitwa myśli, odczuwam większy spokój. Wolnym krokiem – co jest do

mnie w ogóle niepodobne – wracam do domu. Wszystko jakby spowolniło. Nie czuję nie wiadomo jakiej euforii, ale jest fajnie. Ciepłe wyciszenie i zatrzymanie uwagi na chwili obecnej. Ciekawe jak to wpłynie na obe?

# 7
# Odległy fokus

Hel dla dusz

Nie wiatr, nie samolot, nie drag...
Hen tam, pod Ojca nieboskłon,
Wyniesie jak kosmiczny prom,
Mesjasza Energia – Komunia Święta.

*Zawisam w bezkresnej przestrzeni. Otacza mnie półprzezroczysta kremowa mgła koloru jasnej magnolii. To najbardziej zbliżony odpowiednik barwy jaką mam w pamięci i do jakiej mogę go porównać. Ciepły i słodki magnoliowy bezkres.*

*Nisko pode mną w odległości bodajże kilkunastu kilometrów widzę wypukły kształt ziemskiego globu. Planeta jest spowita w tej samej magnoliowej energii, tyle że o innej gęstości. Mam wrażenie, jakby całą Ziemię przykrywała gigantyczna porcelanowa skorupa. Tu i ówdzie ktoś z niej wyskakuje, zawisa na ułamek sekundy w przestrzeni, i znika. Są to ludzie z Ziemi. Z tego miejsca wyglądają zupełnie inaczej: to płaskie krążki z podobiznami twarzy narysowanymi jakby srebrnym ołówkiem: kółko, a w nim szkic buzi. Rozpoznaję wśród nich kilka znajomych identów. Oblicza są jak żywe. Zaczynam rozumieć, że ja w tym miejscu wyglądam tak samo – jestem zredukowanym wizerunkiem wpisanym na powierzchni krążka.*

*Odruchowo sprawdzam, czy mam ręce. No mam. Brzuch i nogi też. Tyle, że przezroczyste. Nie widzę wprawdzie kończyn ani tułowia, jednak je czuję. „Ciekawe w jakim ciele jestem? Astralne to z pewnością nie jest. Widać przyjęcie komunii pomogło. Komunia? Aaa..., no tak! Przypominam sobie!" W tym momencie czuję jak moja świadomości się rozszerza. Jakby pamięć tego co się zdarzyło w przeszłości, pociągnęła za sobą więcej uwagi, przyczyniła się do jeszcze większego skupienia. Tak właśnie jest, gdy w poza sięgnie się do pamięci wydarzeń*

*z reala –to uzyskuje się większą świadomość; to jakby pomost budowany między światami.*

*Co to za fokus?! To zewnętrzny skrajny pierścień, tak go nazwał Monroe. „O cholera! Ależ jestem daleko od ciała! Będę od dziś brał komunię! Gdy czytałem o pierścieniach, wyobrażałem je sobie inaczej, zbyt dosłownie”.*

*Pode mną, przykryty porcelanową otoczką niższego pierścienia, znajduje się glob ziemski. A tam znajdują się plany astralne – krainy śniących i umarłych. Zaś hen wysoko nade mną, chyba kilkanaście kilometrów powyżej, jest coś w rodzaju gigantycznego sklepienia. Nie ma ono gęstości porcelany, to rozrzedzona mgła. Całość przypomina piłkę w piłce – ja znajduję się pomiędzy warstwami. Tyle, że piłki są jak przeogromne planety. Jedna ze sfer (ta mniejsza, z porcelany) kryje w sobie Ziemię, natomiast większa (z mgły) zawiera w sobie obie. Czyli wynika z tego, że tam, nade mną, chyba jest jeszcze jakiś kolejny pierścień otaczający wszystko... „Załamać się można...”. Myślałem że miejsce do którego właśnie trafiłem, jest na samym skraju. Mam nadzieję, że gdzieś jest koniec, a nie rozszerzający się ciąg: piłka w piłce, piłka w piłce, a raczej sfera w sferze…*

*„Spróbuję się wyrwać jeszcze wyżej!” W warstwie między pierścieniami, daleko przede mną, na linii horyzontu, dostrzegam wypełniający przestrzeń olbrzymi snop Białego Światła. Odruchowo kieruję się wprost na Niego. Coś mi mówi, że to osławiona wiązka Emitera widziana z bardzo daleka. „Muszę się tam dostać! Choć trochę przybliżyć fazę!” Promień jest jakby przysłonięty magnoliową mgłą, nie mogę go zobaczyć w całości. Czuję, że oddziela mnie energia zewnętrznych pierścieni i nie przebiję się wyżej. Trudno..., i tak daleko zawędrowałem. I to dzięki czemu: Komunii i wodzie święconej!*

Powrót trwał dobrą chwilę. Najpierw samoczynnie przełączyło mnie na częstotliwość ciała astralnego lub jak kto woli niefizycznego. Tkwiłem w nim, łażąc trochę bez celu w wykreowanej przez siebie lokacji – w kopii mojej sypialni. Następnie znalazłem się w obszarze przycielesnym, będącym również kopią sypialni jednak minimalnie

zmienioną. Nie był to jeszcze świat fizyczny – znalazłem się na jego skraju, ale jeszcze nie w nim samym. Leżałem dobrą chwilę w stanie paraliżu przysennego, mogłem tylko odrobinę poruszać kończynami, a następnie szarpnęło mnie i znalazłem się w ciele fizycznym – w naszej cudownej rzeczywistości.

Ciekawe ile jest tych wszystkich ciał? Ciało fizyczne, ciało obszaru przycielesnego, ciało astralne, przezroczyste, krążek z obliczem, krążek świetlny... Czy ma to swój koniec i gdzie? Czyli wychodzi na to, że tajemnica w fazowaniu, tj. wspinaniu się do wyżej położonych fokusów, to przenoszenie świadomości na wyższą częstotliwość, co wiąże się z opuszczaniem kolejnych ciał... Tak to wygląda w teorii. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Ludzie nie mogą wyjść z fizycznych, a co dopiero z następnych...

Energia JEZUSA, hostia i woda święcona, w niezrozumiały sposób rozrzedza niefizyczne powłoki, przybliżając ludzką świadomość do boskiej. Postanawiam, że zacznę eksperymentować i codziennie będę chodził do komunii. A może poprosić księdza? Opowiedzieć mu wszystko w tajemnicy, na spowiedzi, i poprosić o miesięczną porcję, o 30 opłatków? I przyjmować hostię nad ranem tuż przed startem, przeżegnać się – w imię Ojca i Syna, i siup do poza! To dopiero byłaby faza! Nie... To profanacja! Zacznę normalnie chodzić do kościoła i przyjmować komunię w środy i niedziele. Dwa razy w tygodniu wystarczy, nie ma co przesadzać. Ciekawe jaka jutro będzie faza i jak długo utrzymają się efekty działania opłatka? Po wodę święconą mogę chodzić codziennie, to żaden problem, do kościoła mam blisko. Dłoń do miseczki, cyk, i po sprawie.

# 8

# Wenusjanka Letae

Życie

Wśród tysiąca westchnień, uniesień pod nieboskłon,
Pośród tęczy zachwytów, wzruszeń kalejdoskop,
Istnieje ponad wszystko, cenniejsze niż diament,
Zawsze było i będzie, odwieczne trwanie.
Początku swego nie miało, jak i końca nie zazna,
Nieśmiertelną tułaczką swój ślad oznacza.

*Odzyskuję świadomość w pędzącej z olbrzymią prędkością lokacji. Pomieszczenie jest wielkości małego pokoju i przypomina przedział wagonu kolejowego. Przez zajmujące całą ścianę okno podziwiam krajobraz magnoliowego pierścienia. Obraz za nim jest lekko rozmazany. To przez niebotyczną prędkość. Wszystko śmiga obok mnie, jakbym leciał odrzutowcem tuż nad ziemią. Ostrożnie, pokonując mały opór, otwieram okno. Coś mnie ostrzega przed opuszczeniem przedziału. Nie jest to głos ani też mentalny przekaz kogoś z zewnątrz, więc ignoruję sygnał i, zachowując ostrożność, wychylam głowę. Dostrojenie się poprawia. Teraz nagle na twarzy czuję ciśnienie ogromnego pędu powietrza i gorąca. Oczy aż pieką od wdzierającej się w nie jasności, światło niemal mi je wypala. Mrużę powieki i staram się przyjrzeć wszystkiemu, co udaje mi się wyłowić w blasku. Patrzę z uwagą, chcę zapamiętać jak najwięcej. To dopiero będzie reportaż!*

*Pociąg z podobnymi do mojego pokoikami lokacyjnymi rozciąga się od lewej strony do prawej. Sznur wagonów nie ma początku i końca. Nikogo nie widzę w przedziałach, ale wyczuwam w nich obecność jakichś istot. Wszyscy mkniemy w stronę Wielkiego Światła. Jego źródło znajduje się daleko przede mną na linii horyzontu magnoliowego zewnętrznego pierścienia. To od niego bije taki blask i żar. „Ciekawe czy to wiązka światła Emitera? Co to za miejsce?" Szukam w głowie od-*

*powiednich wyrażeń. Nie wiem, jaką nadać mu nazwę. Muszę to jakoś „ochrzcić”. Taki zabieg ułatwia zapamiętywanie i buduje kotwicę identu. Gdy wrócę do ciała, łatwiej mi będzie przywołać to miejsce z pamięci – wystarczy że wypowiem nazwę. Do czego jest podobne? Już wiem! Do gigantycznej powietrznej autostrady. Nazwę to miejsce „autostradą międzywymiarową”, bo czuję, że... Jednak muszę to sprawdzić. Cofam się do przedziału. Okno zamyka się samo.*

*Mam wrażenie, że lokacyjny pociąg nieznacznie zwolnił. Wiem, co jeszcze zbadam! Mam zbyt mocne przeczucie i nie darowałbym sobie, gdybym tego nie zrobił...*

*Otwieram drzwi. Odczytuję wyraźny komunikat dochodzący ze środka mnie, abym nie opuszczał tej lokacji, bo nie jest to odpowiedni moment. Pytam wnętrze, czy wiąże się to z jakimś niebezpieczeństwem. W odpowiedzi nie pada słowo „niebezpieczeństwo” tylko inne, niezrozumiałe. Nie znam tego zwrotu, jednak intuicja mi podpowiada, że określenie jest „z tej samej półki”, ale o mniejszej skali. Wnętrze mówi coś o „dekompresji”, „innej częstotliwości”, że „mogę się nie wpasować”.*

*„OK, przyjąłem!”. Podejmuję decyzję: mam ochotę zbadać tylko jeden przedział – pierwszy po prawej. Odbieram stamtąd ident kogoś, kto nie jest człowiekiem... Muszę to sprawdzić. Druga okazja może się już nie trafić. Wychodzę.*

*Korytarz przypomina trochę taki, jaki znam z pociągów. W tym panuje mrok, nie widzę go wyraźnie. Idę nim ostrożnie, przesuwam się dosłownie centymetr po centymetrze, czując że Wewnętrzny Przewodnik zamilkł i w napięciu czeka, co nastąpi. Zaciskam zęby i stawiam dłuższy krok. Nagle w mojej głowie rozlega się seria głośnych trzasków, jak rażony prądem czuję przeszywające mnie silne wibracje! W jednej chwili tekstura korytarza rozpada się na drobne kawałki! Zaczynam się chwiać, jakaś niewidzialna siła zgina mnie na bok. Muszę szybko wejść do środka, bo i ja całkiem się rozlecę! Astralne ciało boli, trochę mnie mdli, ale poza tym wszystko gra. Nie wpadam w panikę, nie boję się, że stanie mi się coś złego. Biorę się w garść. Wyprostowanie się wymaga odrobinę wysiłku, ale po chwili znów udaje mi się złapać pion i wreszcie z trudem docieram do drzwi przedziału obok. Czekam jeszcze mo-*

*ment, bo wyczuwam, że z tyłu doklejają się fragmenty mnie i musi to trochę potrwać. Bez nich nie byłbym kompletny, niektóre zmysły mogłyby nie działać właściwie, miałbym problemy z dostrojeniem.*

*OK! Znów jestem cały! Mam wysoki poziom energii, ilość pozostałego mi czasu pobytu pozwala na dłuższe badanie nowej lokacji. Wchodzę. Nie... Wcześniej zapukam. Jeśli znajdujący się w środku Ktoś odmówi, nie wejdę. Chcę być postrzegany jako istota kulturalna.*

*Uznając się za przedstawiciela całej ludzkiej rasy, cichutko pukam. Dodatkowo z głębi serca wysyłam wibracje przyjaźni. „Kto by tam nie był, okażę mu szacunek…”, myślę.*

*– Czy mogę wejść z wizytą? Jestem z Ziemi.*

*– Tak – słyszę stłumiony, jakby dochodzący spod kołdry, kobiecy głos.*

*Otwieram drzwi. Przedział jest bardzo podobny do mojego. Okna w nim są szczelnie zasłonięte. W półmroku nie dostrzegam pasażera. „No nie! Tyle zachodu o nic...”.*

*– Tu jestem – znów cichutko odzywa się niewidoczna istota.*

*– Gdzie? Nie widzę cię? Jesteś przezroczysta? Czy masz bezbarwne ciało?*

*– Nie! Jestem tutaj, w kokonie.*

*– W kokonie? Nie jesteś humanoidem? Wyglądasz jak jaszczurka? Nic nie szkodzi, nie wstydź się. Chcę cię poznać, jeśli to możliwe.*

*– Nie jestem jaszczurką! – odpowiada oburzona i lekko poirytowana istota.*

*„Więc ma uczucia”, myślę. „To dobrze. Nawet jeśli wygląda jak obcy z antenkami, mi to nie przeszkadza”.*

*– Dlaczego tu jest tak ciemno? Czy mogę odsłonić okno? Zobaczę przy okazji, co to za fokus.*

*– Wolałabym nie… To wasze słońce… U nas nie ma takiego.*

*– Proszę, mogę cię zobaczyć? To dla mnie ważne.*

*– Nie wyglądam zbyt ciekawie. Jestem zabezpieczona antyświetlnie.*

*– Czym jesteś zabezpieczona?*

*– To coś w rodzaju białego proszku. Moje ciało nie zniosłoby działania promieni waszego słońca. Jestem dopiero przygotowywana do inkarnacji na Ziemi...*

*Wsłuchuję się uważnie w głos istoty. Namierzam, gdzie dokładnie się znajduje i ruszam w jej stronę. Moje oczy stopniowo przyzwyczajają się do ciemności i w końcu zauważam coś, co przypomina fioletowy śpiwór:*

*– Proszę, pokaż się – mówię. – Możesz to rozpiąć? Na pewno nie jest tak źle...*

*Istota ostrożnie rozsuwa swój „kokon" i w końcu ukazuje mi się piękna... kobieta! Jest łysa, pozbawiona brwi i rzęs. Ma pociągłą twarz z wysokim czołem, tylko minimalnie odbiegającą budową od ludzkiej, dostrzegam odrobinę większe niż u człowieka łuki brwiowe i wydatniejsze kości policzkowe. Natomiast ramiona kobiety, jej nogi i dłonie nie różnią się niczym. Zauważam piersi i zarośnięty wzgórek łonowy. Jej niebieskoszara skóra jest cała upudrowana białym talkiem.*

*Kobieta robi kwaśną minę jakby się wstydziła, ale nie własnego wyglądu i nagości, tylko tego talku...*

*– Widzisz, nie wyglądam zbyt atrakcyjnie...*

*– Co ty mówisz! Jesteś piękna! Jak masz na imię? Ja, w obecnej inkarnacji nazywam się Darek Sugier.*

*– „rrrrrrr?"*

*– Nie „rrrrrrr", tylko Darek Sugier.*

*– W twoim dialekcie moje imię będzie brzmieć… – kobieta zastanawia się dłuższą chwilę szukając odpowiednich głosek.… – Brzmi: „L……" – pada krótkie, dźwięczne imię na literę „L", ja jednak mam duży problem ze zrozumieniem tego, co stara się mi przekazać.*

*– Możesz powtórzyć?*

*– LET… – zaczyna i po chwili nieoczekiwanie kończy, jakby ktoś przyciszył głos.*

*– Najlepiej będzie, jeśli napiszesz na ścianie. Zapamiętam, mam pamięć wzrokową.*

*Widzę, jak kobieta niebieskoszarym palcem kaligrafuje: „LETA". Chwilę waha się przy ostatniej literze i w nawiasie dopisuje „E".*

*– Masz na imię LETA(E)? Z końcówką czytaną miedzy „a" i „e". Tak?*

*– To będzie najbardziej pasujący fonetyczny zapis tego słowa w twoim języku.*

*– Skąd jesteś?*

*– Z Wenus.*

*– Z Wenus? Przecież tam nie ma życia.*

*– A dziękuję ci bardzo! Jakbym o tym nie wiedziała! – odpowiada oburzona.*

*– Ależ naprawdę..., nasi astronomowie to potwierdzają. Tam nie ma nic oprócz wysokiej temperatury…*

*Pada słowo odpowiadające naszemu wyrażeniu „rząd", „rada", „starszyzna", „my"... Mówi że: „zaczęli za dużo i za szybko eksploatować złoża roślin (podaje wyrażenie o znaczeniu podobnym do „mech", „glony", „plankton", „trawa") i nastąpiło lawinowe załamanie ekosystemu. Temperatura wzrosła błyskawicznie, a atmosfera zaczęła znikać".*

*– Musiałam uciekać i szukać innego miejsca. Będę inkarnować jako człowiek na Ziemi".*

*– O kurcze! To na Wenus kiedyś było życie?! Myślałem, że na Marsie, a to jednak na Wenus! Jak wrócę, bo wiesz…, jakby ci to powiedzieć…, ja latam..., podróżuję astralnie, tzn. bez fizycznego ciała…*

*– No widzę – przerywa mi Wenusjanka i w sympatyczny sposób daje do zrozumienia, że jestem opornym w przyjmowaniu informacji chwalipiętą.*

*– To moje ludzkie ego. U nas wszyscy są egoistami. Taka planeta..., wiesz? Moje to jeszcze jest słabe. Myślisz, że jak wrócę do ciała, to mi uwierzą? U nas jest straszne zacofanie duchowe. Czy musisz się wcielać na Ziemi? Nie lepiej na jakiejś ciekawszej planecie? Na Ziemi nudno.*

*– Ziemia znajduje się blisko i jest bardzo podobna wibracyjnie. Jest też atrakcyjna. Po małych poprawkach będę tu pasować. Muszę przystosować skórę.*

*Nie pytając o pozwolenie, przykładam lewą dłoń do policzka koleżanki-kosmitki. Cera normalna w dotyku, ciepła, gładka – jak ludzka. Tylko ten niebieskoszary kolor...*

*Czuję, jak faza się spłyca. Pociąg przystaje. Wewnętrzny informator komunikuje mi, że pozostało tylko kilka sekund do przełączenia na*

*zmysły fizyczne. Dla pewności, bo takie trofeum to rzadkość, powtarzam imię. „A niech to! Zapomniałem!”. Szybko, w panice, niemal rozkazującym tonem mówię:*

*– Imię! Jeszcze raz podaj imię!*

*Bez pisania, werbalnie i tym razem zrozumiale, szepcze mi prosto do prawego ucha:*

*– LETAE.*

Jestem w ciele. „Uff... W ostatniej chwili!” Nietrudne do zapamiętania imię, jeśli już się je zna, ale za pierwszym razem musiałem zobaczyć je napisane. Obca nazwa usłyszana w dodatku w astralu nie jest łatwa do zapamiętania. Na wszelki wypadek, znając swoją sklerozę, chwytam dyktafon i, wymawiając głoska po głosce, nagrywam imię. „Zobaczę, czy znajdę je w sieci. Może w końcu przyda się do czegoś ten internet”. Włączam komputer i wpisuję w przeglądarce „LETAE”. Jest! Wyświetlają mi się informacje, że to imię. Coś sobie jeszcze przypominam: Wenusjanka zawahała się przy ostatniej literze. Napisała „a”, ale dodała w nawiasie „e”. Wpisuję więc „LETA” i po chwili czytam w Wikipedii:

*„Leta lub Lete (gr. Lethe: „zapomnienie”) – w mitologii greckiej jedna z pięciu rzek Hadesu, obok Styksu, Kokytos (z której brała początek), Acherontu i Pyriflegetonu. Wypicie wody z Lete miało powodować całkowitą utratę pamięci. Niektóre greckie wierzenia mówiły o tym, że dusze musiały to czynić przed reinkarnacją, aby nie pamiętać swoich przeszłych żywotów.*

*Platon w Fajdrosie wspomina o tym, jak to kosztując wody ze źródeł niepamięci, dusza traciła pamięć wszystkiego, co widziała wraz z bogami.*

*W „Boskiej Komedii” Dantego, zapożyczona z mitologii Lete spływa do środka Ziemi, a jej źródła znajdują się w Raju Ziemskim, na szczycie Góry Czyśćcowej. Dusze mające wstąpić do Raju, piją z niej wodę, aby zapomnieć o swoich grzechach.*

*Bibliografia: Mała Encyklopedia Kultury Antycznej, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1968”.*

To już jest coś! Nie dość, że takie imię istnieje, to jeszcze pojawia się w wierzeniach i kulturze wielu ludów. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze spotkam swoją niebieskoszarą koleżankę z Wenus. Ciekawe czy będzie coś pamiętać? A może jej imię faktycznie ma coś wspólnego z niepamięcią, z czymś co powoduje swego rodzaju amnezję? Przygotowywała się do pierwszej ludzkiej inkarnacji. Być może zostanie jej odebrana pamięć z poprzedniej planety? Byłoby to smutne... Zakochałem się? A skąd! Zbyt fioletowa była, no i te rysy twarzy, jakby pochodziła w północy Europy. Trzeba zachować luz i wzmacniać się żartem. W innym wypadku człowiek dawno by zwariował od tych informacji z poza. Toż to się nie mieści w głowie! Na Wenus było życie!

# 9
# Duch Święty

Człowiek Gołąb

„Duchu Święty, przyjdź!” – rzekłem nieświadom,
I zjawił się On – Człowiek Gołąb.
Mowa Jego jak pieśń lekka falą niesiona,
Niczym dziecię wtopiłem się w Jego ramiona.

W tym miejscu muszę przerwać moje wywody. Z jakiego powodu? Może najpierw wyjaśnię, dlaczego piszę nie po kolei. Otóż jest tego materiału zbyt wiele i ułożenie wszystkich wydarzeń chronologicznie zajęłoby mi miesiące. Piszę z pamięci od czasu do czasu posiłkując się nagraniami. Używam ich, gdy chcę przekazać słowa Wyższych Istot bez przeinaczeń. Wówczas dla pewności włączam dyktafon i uważnie odsłuchując to, co kiedyś zarejestrowałem, przelewam wszystko na papier. Tyle tłumaczenia kierowanego do tych, dla których kartki z kalendarza mają jakieś znaczenie.

A teraz do rzeczy. Dlaczego przystanąłem? Bo pragnę opowiedzieć, co zdarzyło się dzisiaj. Po prostu szok! Nie mam pojęcia, co tam w poza zaczyna się dziać, ale czuję w kościach nadchodzące zmiany. Nie wiem, kiedy nastąpią, jutro czy pojutrze. Mam również świadomość tego, że wielu rzeczy jeszcze nie wiem i tak naprawdę jestem mały w porównaniu do Istot, które spotykam. Niezmiernie trudno mi o tym mówić, gdyż mocno uderza to w moje ego. Wiem jakie to stanowi zagrożenie dla skromnej, można rzec „prostej”, osobowości. Ale skoro się wydarzyło, to chyba było mi to dane. Doszło do tego jakby przez przypadek. Ale czy przepadek tak do końca jest tylko ślepym trafem?

Zaraz coś ci opowiem. Daj mi jeszcze chwilę.

Zdecydowanie łatwiej jest wyrażać się o kimś, niż opowiadać o sobie, zwłaszcza jeśli człowiek ma mówić o sobie w superlatywach. Boję się o własne ego. „Boże, nie wiem czy mam to mówić? Iść na całość

i walnąć z grubej rury? A może to co zaczyna się dziać, stanie się wkrótce normą? Inni też tego zasmakują? Bardzo bym chciał. Wówczas zrozumieliby, o czym, łamiąc sobie język, mówił Darek". Właśnie: „Darek"! Użyję pobocznego bohatera i opowiem wszystko jako narrator. Imię „Darek" jest oczywiście przypadkowe. Nie... Prawda jest taka, że to właśnie moje imię i ja tego doświadczyłem. Odwagi!

*Tracę przytomność. Wpadam w rotę snu…*

Pauza. Muszę powiedzieć, co to jest rota snu. Widzisz, jak to jest, gdy chce się coś przekazać z poza? Ledwo zacząłem, a już muszę wyjaśnić, co z czym się je.

Akcja większości snów toczy się w obszarach przycielesnych, gdzie śniący jest bombardowany rotami. Część z nich sam wytwarza, ale też sporą cześć otrzymuje od Niefizycznych Opiekunów. Jest to swego rodzaju nauka. Śpiący uczestniczy w różnego rodzaju symulacjach, szkoleniach, i rozładowuje w nich swoje emocjonalne napięcia, i takie tam. Niewyćwiczony umysł oczywiście nic z tego nie pamięta. Człowiek budzi się rano rześki jak skowronek, a gdy go zapytać, czy mu się coś śniło, najczęściej odpowiada, że nic. A powinien raczej odpowiedzieć: śniłem, ale nie pamiętam. Wczorajsze stresy gdzieś bezpowrotnie nikną i nasz bohater jest gotów stawiać czoła trudom kolejnego dnia na cudownej planecie Ziemia.

To jest właśnie rota snu. Czyli to, co większość nazywa snem. Nie cierpię tego słowa, bo ma dla mnie pejoratywne zabarwienie. Sen w naszej kulturze kojarzy się z czymś mało istotnym, nad czym nie warto się zastanawiać. A co powiedzieć o głębszej analizie, czy też o poważnym podejściu do tematu? Czyż nie jest tak: „Eee... to mu się śniło! Sen mara, Bóg wiara!"?

Owszem nieraz śnią się banialuki, ale są to po prostu nieprzetrawione roty. Jednak gdy człowiek ocknie się z takiego snu, ale nie w ciele, tylko pomiędzy jawą a snem, i zobaczy Świetlistą Postać, która zamierza się w niego kolejną kulą z roty, to co? Szok! Chwilę potrwa przebicie się z paraliżu sennego do ciała. Potem wstanie z wytrzeszczem

oczu, gały mało mu z orbit nie wyjdą, i się zapyta: „Kurczę, co to było?! To nie był sen! Jak Boga kocham, to mi się nie śniło, to było naprawdę! Ktoś mi podał sen w kuli!"

I co wtedy? Opowie o wszystkim najbliższym, czy puści w niepamięć? A może rozwinie temat? Zacznie się tym interesować, szperać, ćwiczyć, aż w końcu napisze książkę po to, by inni mający podobne doświadczenia nie czuli się osamotnieni. Lub aby ci, którzy chcą tego doświadczyć, a nie mogą, słuchając opowieści o tym, mogli poznać chociaż namiastkę.

*Wpadam w rotę snu, zatracając się bez reszty w wydarzeniach. Przeżywam koszmar: mój kolega tonie, trzeba go reanimować. Resuscytacja nie odnosi jednak skutku. Przyjaciel zaczyna sinieć... Niestety, sen kończy się tragicznie. Biorąc rzeczywistość roty za świat fizyczny, myślę: „Szkoda mi go". Wiem, że kolega przeszedł do astrala i może nawet jutro go odwiedzę w obe, ale jednak mi go szkoda. Przeżyliśmy razem tyle pięknych chwil, tyle nas łączyło… Nagle wpadam na szalony pomysł. „A co mi tam, najwyżej ludzie mnie wyśmieją: przywołam Ducha Świętego. Skoro jest JEZUS, to musi być i On. Ożywi kumpla swoją mocą, wstąpi w niego czy coś takiego, i jakoś się ułoży". Dlaczego akurat Duch Święty? Nie wiem. Myśl sama pojawia się w mojej głowie i, przełamując uczucie zawstydzenia, wołam na cały głos przy wszystkich zgromadzanych obok zwłok przyjaciela:*

*– Duchu Święty! Przyjdź!*

*Rota gaśnie. Ląduję w innej scenerii, odzyskuję stuprocentową świadomość. Słyszę, jak ktoś w oddali deklamuje melodyjną łaciną boskie słowa Planu Wiekuistego. Wiem, że mówi o Boskim Planie. O tym co się wydarzyło i co ma się wydarzyć. Nie znam łaciny, jednak wszystko rozumiem. „Jak On pięknie mówi...". Idę w stronę Głosu. Na czymś co przypomina niewielki płaskowyż dostrzegam plac, a na nim wianuszek ludzi. Zgromadzeni otaczają deklamującego i niczym w transie wsłuchują się w Jego słowa. Recytowanie „Pana Tadeusza" przy Jego mowie jest dziecięcym gaworzeniem. Zbieram się w sobie i czym prędzej ruszam w Jego stronę! Wiem kim On jest! Przywołałem Go!*

*To Duch Święty! „Ale kimże ja jestem, że potrafię wzywać takie Istoty?!" Chcę się do Niego zbliżyć, nie mam żadnych zahamowań, gdy muszę rozsunąć tłum. Używam siły, ale jest to moc w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Żadna przemoc. Nie dotykam zagradzających mi drogę, nie rozpycham się, nie żądam, aby zrobili mi przejście. Tłum sam tworzy szpaler pod łagodnym wpływem nieświadomie wysłanej energii. I oto widzę Piękną Boską Istotą. „Co za widok! Jaki piękny Staruszek! Nie wiem ile może mieć lat, ale chyba całe eony, jest bardzo stary, czuję to swoim wnętrzem! Jak na taki wiek, tylko kilka zmarszczek?!" Ma opadające na plecy długie do pasa złote włosy, spięte na wysokości karku luźnym rzemieniem. Ubrany jest w skromną szatę w kolorze piasku, utkaną z grubego lnu. Jest przepasany grubym złotym sznurem, którego supeł zwisa przy Jego lewym boku. Jego stóp nie widzę, wydaje się, jakby się unosił. Starzec cały czas deklamuje łaciński poemat… Mówi o nadchodzących cudach, które będą naszym udziałem… Zauważył mnie. Nie przerywając ani na chwilę, umiejętnie wplata w swą opowieść nowy wątek. „Niemożliwe! Mówi o mnie! Jakie piękne rzeczy...".*

Nie mogę. Przykro mi, ale nie mogę. Ego nie pozwala. Trudno, może innym razem. No ale skoro już zacząłem, czy to będzie fair? OK, najpierw naszkicuję Jego piękną twarz, oblicze Człowieka Gołębia (bo takie miałem pierwsze skojarzenie):

*Buzia dobrze zadbanego staruszka. Niewielkie zmarszczki tylko dodają mu uroku… Twarz o delikatnych, królewskich rysach, lekko pociągła. Czoło wysokie, jakby łagodnie zdradzające nieprzeciętny intelekt i artystyczną duszę – pięknie pasujące do królewskich rysów, jednak rzucające się mocno w oczy (może to przez zaczesane do tyłu włosy...) Sam nie wiem, jak i nie rozumiem, dlaczego tak mocno zwracam na nie uwagę. Pragnę przytulić głowę do Jego czoła... Może instynktownie wyczuwam, że coś się za nim kryje – przecież tam, w Jego umyśle, są odpowiedzi na wszystkie pytania! Czuję to i potrzebuję jak powietrza! Pragnę zajrzeć do Jego głowy… Oczy różnobarwne o ciemnych odcieniach. Nie są jednego koloru i nie są to pastelowe kolory tęczy, nie są to też oczy piwne, zielone, niebieskie ani czarne, tylko po tro-*

*sze każdego z nich, niczym mieszanka wielu barw, wielu odcieni. Piękne wielobarwne oczy… Spojrzenie mądre, skupione i uważne, powściągliwe i przenikające zarazem. Mówiące: „Wiem wszystko, Tajemnice Wszechświata są dla mnie chlebem powszednim, są czymś tak normalnym, jak dla ciebie oddychanie”. Usta ma nie za duże i nie za małe, nie zacięte, nie nabrzmiałe. Normalne ludzkie usta, tyle że w cudownie piękny sposób układające się podczas deklamacji, której nie przerywa nawet na moment...*

*Ja, jak to ja, bez większych ceregieli i zahamowań, idąc na całość, całkowicie spontanicznie ujmuję głowę Boskiego Staruszka i przyciskam czoło do Jego czoła. A Ten opowiada wciąż o mnie, kierując słowa do tłumu:*

*– …Oto jest ten, w którym mam upodobanie, jego słuchajcie…*

Uff... Wreszcie wyrzuciłem to z siebie. W sumie nic wielkiego, ale jakoś ciężko mi było. Co za ulga...

# 10
# Portal czasowy i lotto

Internautyzm

W ciszy, w normalności, bez patosu i fanfar,
Na środku ulicy człowiek dogorywa.
Ujrzał go młodzieniec i w te pędy leci,
Mało tchu nie wyzionie, tak pomóc chce pewnie.
Za komórkę chwyta – nie dzwoni? A cóż to?
Jak ćma krąży w kółko – filmik sobie kręci.
Na youtube już jest – gloria będzie w sieci...

Na portal czasowy natknąłem się przez przypadek, szukając w astralu liczb do totolotka. Już widzę, jak niektórym serducho przyśpiesza... Spokojnie, nie wygrałem w lotto. Oczywiście na razie, bo nie wiadomo, co przyniesie jutro. Czy gram? Ależ skąd! Kiedyś pewien gość powiedział mi, że owszem uwierzy, że można wygrać w lotto, wykorzystując podróże astralne, jeśli zrobię to trzy razy pod rząd. Wówczas nie będzie mowy o przypadku. No i oczywiście szybko dodał, że dobrze byłoby, gdybym się z nim podzielił wygraną. To byłby wielki gest... I zostalibyśmy wtedy prawdziwymi przyjaciółmi, bo taką forsą tylko przyjaciele potrafią się dzielić... Nie dość, że mi uwierzy w to, że wychodzę z ciała, to jeszcze uzna mnie za wielce rozwiniętego, bo mam gest i pieniądze są dla mnie niczym... Czy ten człowiek się z choinki urwał? Nie, z internetu…

*Ląduję w ciemności. Dostrzegam przed sobą przejście w kształcie łuku. Zupełnie jakby niewidzialna siła wycięła w teksturze ciemnej przestrzeni kanał, w postaci małego triumfalnego łuku. Wprawdzie nie jest zbyt podobny do znanej budowli z Paryża, jednak nie wiem, do czego go porównać. Przypomina trochę przejście ze sklepieniem, jak i wielki mechanizm zegarka z zębatkami na ścianach wewnątrz łuku, i okalającymi pierścieniami na zewnątrz. Pierścieni jest kilka, ale nie*

*więcej niż dziesięć. Każdy wiruje w inną stronę z różną prędkością, szumią, jakby cięły powietrze. Zębatki w środku przypominają zapadki szyfrowego zamka lub klawesynowego bębna.*

*Całość wygląda kosmicznie. Wibruje i wydaje dziwaczny, psychodeliczny, sfałszowany dźwięk – „matematyczne popiskiwania". Wydaje się, jakby maszyna chciała zagrać, ale nie miała odpowiedniego programu do wydobycia składnej melodii. Jak żyję, czegoś podobnego w astralu jeszcze nie widziałem. Boję się tego trochę, jednak wiem, że o to właśnie prosiłem i przez cały poranek starałem się tu dostać. Od pierwszego spojrzenia na tę maszynerię wiem, co to jest. Tu w poza wszystko jest w pewien sposób skatalogowane i choć objaśnienia nie są widoczne gołym okiem, można je odczytać. Odbieram ident maszyny, aż huczy nazwą – „Portal Czasowy".*

*Ostrożnie zbliżam się do niej. Kakofoniczne, psychodeliczne popiskiwanie i szum pierścieni narastają. Przyglądam się portalowi, jest pokryty nieznanymi znakami. Nie widzę w nich żadnych podobieństw do cyfr, liter czy symboli matematycznych. Nie wiem co robić, waham się. Odechciało mi się totolotka. W pewnej chwili czuję, że sam zaczynam wibrować i bezwiednie sunę w kierunku maszynerii! Portal mnie zasysa! Wytwarza coś w rodzaju grawitacji! Nie mam wyjścia, za późno na odwrót. Natężenie cyberdźwięków w ułamku sekundy narasta do trudnego do zniesienia poziomu, maszyna potwornie hałasuje. Wszystko przyspiesza, następuje lawina zdarzeń...*

*Chwilę później jestem już we wnętrzu portalu. Pod moimi stopami nagle pojawia się świecąca, lodowa posadzka. Znikąd. Wydobywające się z niej jasnoniebieskie światło rozprasza ciemność i wtedy zauważam, jak ze ścian wychodzą małe istoty. Jest ich chmara. Popiskują, cykają i trzeszczą. To ich język, porozumiewają się za pomocą tych dźwięków. „To one tak wygrywają cybermelodię!" Dociera do mnie, że te istoty są małymi, matematycznymi geniuszami(,)operującymi energią czasu – multiprofesorowie z niefizycznej informatyki czasowej. Przypominają malutkie gekony. „Czy w swoim rozwoju są na poziomie gadów? Taki geniusz?" Jawią mi się w takiej formie, ale w chwili gdy nikną w ścianie, przyjmują postać fosforyzujących, jasnoczerwonych zna-*

*ków. Istnieją tylko jako całość. Zupełnie jakby byli jednym organizmem, elementami wielkiej zbiorowości, gdzie jednostka jest niczym a całość wszystkim, jednak „wszystko" nie może istnieć nawet bez „jednego". Pojęcie przestrzeni to dla nich czysta abstrakcja, zaś czas jedynym domem. To istoty czasu bez przestrzeni. Taką informację mi przekazują.*

*Wyłapuję co setny, a może co tysięczny sygnał komunikatu. Geniusze, a jednocześnie ułomni. To ich matematyczne ciała utworzyły portal czasowy – zbudowali go w przystępnej dla mnie formie i kształcie, które odczytali wprost z mojego umysłu po to, by łatwiej mi było zrozumieć i zaakceptować. Nie jestem dla nich atrakcyjną pod względem poznawczym istotą, ale nie jestem też intruzem. Mój rozwój biegł całkiem innym torem, jestem z zupełnie innego wymiaru; pasujemy do siebie jak pięść do nosa i nic atrakcyjnego ode mnie nie uzyskają, bo moja osoba ich w ogóle nie interesuje. Nie są mną tak zaciekawieni jak ja nimi. Nie czuję się jak intruz, ale nie jestem też witany z otwartymi ramionami.*

*Pojawia się ktoś w rodzaju przywódcy. Jest ciut większy od pobratymców, poza tym cała reszta patrzy właśnie na niego, dlatego właśnie myślę, że to ktoś ważny. Szybko pyta mnie piskami, które o dziwo rozumiem:*

*– Na jaką datę ustawiamy bęben?*

*– Na jutrzejsze losowanie lotto – mówię*

*Chwila ciszy, po czym słyszę jakby jeden wielki ćwierkający śmiech i hasło:*

*– Zróbmy mu dowcip!*

*Matematyczne gekono-znaki błyskawicznie wchodzą do bębna. Na moją prośbę ustawiają go tak, jak im wskazałem, czyli na dzień jutrzejszy, po czym z chichotem dodają kilka dużych obrotów w tył. Widzę, jak przy tym równiutko układają się w coś w rodzaju kodu. Pięknie to wygląda. W mgnieniu oka dokonują skomplikowanych matematycznych obliczeń zrozumiałych tylko dla nich. Są jak super-serwer służący do wyliczeń logarytmów czasowych… Trwa to dwie, trzy sekundy, po czym czuję, jak zaczynam ślizgać się po lodowej posadce. Następuje gwałtowne, krótkie szarpnięcie najpierw w przód, co odczytuję jako jutro, a następnie długie szarpniecie w tył, po czym dobiega do mnie piszczący komunikat wodza:*

*– Wysiadka! Przystanek 1985.*

*Portal zanosi się od skwierczącego śmiechu, wywala mnie na chama w tył, i ląduję w astralnej kopii świata lat osiemdziesiątych minionego stulecia. Cały drżę, ale nie ze strachu. Znam się na dowcipach i wcale nie mam im tego za złe. Od początku wiedziałem, że nic mi nie grozi. Jednak dygoczę i nie mogę nad tym zapanować. Czuję po za tym mocne przyspieszenie myśli, ich gonitwę w czaszce, jakbym zażył olbrzymią dawkę kofeiny. Mam też lekkie zawroty głowy, przez co obraz dociera do mnie z sekundowym opóźnieniem.*

*Wracam do ciała. Nie muszę ponownie przechodzić przez portal, wystarczy, że pomyślę o ciele i skieruję się na nie. Jest blisko. Ale zanim ląduję w świecie fizycznym, pojawia się Opiekunka. Przygląda mi się, widać po jej minie, że jest przestraszona. „Jeśli Ona się boi, to chyba nie jest za ciekawie...", przychodzi mi na myśl. Mówię jej, że byłem w Portalu Czasowym, że teraz dziwnie się czuję.*

*– Spotkałeś tę energię?! – pyta podekscytowana, co do Niej w ogóle nie podobne.*

*– Tak. Było fajnie. Wycieli mi numer. Chciałem...*

*– Wracaj szybko do ciała! Zapamiętaj wszystko dokładnie! To bardzo cenne doświadczenie!*

*Opiekunka bierze mnie pod łokieć i układa w obszarze przycielesnym. Po chwili budzę się w świecie fizycznym. Nieznacznie tylko drżę, jakbym był lekko przestraszony.*

I tak dzięki pragnieniu zdobycia pieniędzy, przypadkowo odkryłem coś, co przyprawiło mnie nie tylko o zawrót głowy. Różnych rzeczy spodziewałbym się w astralu, ale energii manipulującej czasem?... Myślałem, że czas jest nierozerwalnie związany z przestrzenią, a to całkiem oddzielne rzeczy.

Kiedyś próby zdobycia upragnionych sześciu liczb stały się moją obsesją. Bardzo mocno wkręciłem się w ich poszukiwanie i walczyłem o nie jak lew. Nie chcę w tym miejscu nikogo zniechęcać: mi się to nie udało, ale to nie znaczy, że komuś innemu też się nie powiedzie. Pieniądze są często, o ile nie lepiej powiedzieć „zawsze", podstawową ener-

gią motywacyjną w życiu człowieka. Obok, rzecz jasna, seksu. Światem – przynajmniej obecnym – rządzą pieniądz i seks. Nie jest tak? Więc skoro owa energia jest tak powszechna, to dlaczego nie zaprząc jej do pracy? Czyste marnotrawstwo. Trzeba sobie porządnie wbić do głowy: „Odczytam numery lotto w astralu!”. A potem: jazda do obeowania! A jeśli się nie powiedzie z numerkami, to przynajmniej wyjdę z ciała i czegoś doświadczę. Nauczę się eksterioryzacji, albo spotkam coś lub kogoś. Do wychodzenia z ciała trzeba się nieustannie motywować.

# 11
# JEZUSOWE prześwietlanie

Imię Jego

Księgi wszechświata całego,
Wszystkie, nie tylko Wiekuiste,
Nie pomieszczą imienia Jego...
Jakież ono piękne! Jakże świetliste!
Fragmentu skrawek zaledwie słyszałem,
A wydał się bezkresnym trwaniem.

A imię Jego między innymi imionami,
A imię Jego imieniem wszystkich imion.

Jedno z pierwszych szokujących odkryć dla mało wtajemniczonej duszy, która myślała, że zmieni świat... Było to kilka lat temu... Tak oto zapisałem:

*Piszę na świeżo. To, czego dzisiaj doznałem, mocno mną wstrząsnęło. Sam już nie wiem, co mam o tym myśleć. Opiszę wszystko jak było, i absolutnie niczego nie będę interpretował. „Boże, zupełnie nie wiem, o co chodzi".*

*Trwa sen. Początkowo uczestniczę w nim i mam tylko pamięć. Świadomość zacznie napływać stopniowo, a jej kulminacja nastąpi na samym końcu w szczytowym momencie doświadczenia. Zupełnie jakbym miał wszystko zapamiętać, ale w nic nie ingerować – jedynie bacznie obserwować. Oto, co się wydarzyło...*

*Stoję, a raczej unoszę się parę centymetrów nad kamienistą drogą. W oddali widzę rozległy dziedziniec, wielkie podwórze między parterowymi budynkami. Patrząc z góry przypomina to literę „C". Na placu panuje spory ruch, wielka krzątanina zaabsorbowanych ludzi. Każdy jest czymś pochłonięty, jeden gada do siebie, inny próbuje coś robić. „Właściwie czym oni się zajmują?" Zadaję sobie to pytanie i w tej sa-*

*mej chwili uświadamiam sobie, że przed sekundą sam tam byłem i śniłem jako nieprzytomny. Przypomniało mi się.*

*Napływa do mnie więcej świadomości i uwagi. Dociera do mnie, że na podwórzu są śpiący ludzie, istoty we śnie. Przyglądam im się uważnie: to normalni, zwykli ludzie, w sumie mało interesujący. Poza tym nic ciekawego się nie dzieje – łażą wte i wewte. Pośród nich są nieco wyżsi, zamarli w bezruchu ludzie o innym spojrzeniu i wyrazie twarzy. Spoglądają na śpiących, bacznie obserwują ich poczynania. Przypomina to jakąś szkołę, czy może wybieg dla drzemiących.*

*W sumie nie jest do nich aż tak daleko. „Może podejść i zbadać to z bliska?", myślę. Musiałbym przejść przez kamienny, łukowy mostek zawieszony nad wartkim strumieniem. W potoku nie płynie woda tylko jakby tęczowa bryza, ulotna substancja z kolorowej mgły. To przecież ta sama co przy Szczelinie! I w tej chwili napływa do mnie jeszcze więcej świadomości. „Dobra, podejdę bliżej, by to zbadać", decyduję. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że nie mogę się ruszyć. Ktoś z tyłu o ciepłych wibracjach unieruchamia mnie i mówi bez słów: „Obserwuj, co się będzie działo". Wtedy następuje nieoczekiwany zwrot akcji.*

*Z tyłu dziedzińca, na samym jego końcu, dosłownie ze ściany budynku wyłania się Postać. Jest całkowicie inna niż pozostałe. Ma narzuconą na siebie zwiewną biało-błękitną szatę. Nie jest w nią ubrana – to tylko pewne przykrycie, forma kamuflażu. Materiał nie dotyka Jej ciała, ale zasłania Ją całą wraz z głową. Istota nie idzie, lecz jakby płynie. Materiał powiewa na Niej z gracją i wzniosłością, jakby był dumny, że dostąpił zaszczytu i służy jako mgliste odzienie. „Kim jest ta istota?", zastanawiam się. Coś mi się przypomina. Spotkałem Ją nie tak dawno temu.*

*Napływa do mnie kolejny fragment wspomnień a wraz z nim większa świadomość. Istota bardzo się wyróżnia z otoczenia, nie da się Jej przeoczyć. Jest całkowicie inna… „O Boże kochany, co Ona robi?!" Jestem świadkiem niesłychanej rzeczy, pierwszy raz widzę coś takiego: Postać w zwiewnej szacie staje na środku wielkiego podwórza pośród śniących. Wygląda, jakby była wrośnięta w przezroczystą taflę energii i łagodnie obracając się wraz z nią wokół własnej osi, prześwietla tym*

*niemal niewidzialnym polem ludzi na placu. Inaczej tego nie nazwę... Postać zdejmuje na chwilę z poszczególnych osób ich śniącą strukturę i totalnie je obnaża; sprawdza w ten sposób, kto jest kim i jakie robi postępy... Jakby ten ktoś szukał swoich ludzi i wynajdywał ich spośród śniących. O! Znalazł jednego, a teraz drugiego! I kolejnego! Jest ich sporo. „Boże, oni są ze złota! Z jakiejś dziwnej złotej substancji...”.*

*Mniej więcej co dziesiąty jest Jego człowiekiem, Jego częścią. A On, wielki, dogląda ich, sprawdza, czy wszystko jest ok i czy tajemniczy proces przebiega pomyślnie... Nie jest wysoki, ale wielki w swojej strukturze i w tym, kim jest. Wyczuwam Jego ogromną siłę i coś, co można nazwać wybitnym profesjonalizmem w jakiejś skomplikowanej dziedzinie wiedzy. Jest idealny w tym, co robi. „O Boże! Kto to jest?!”*

*W tym momencie wyczuwając moją myśl, przerywa obracanie się i rusza w moją stronę. Zbliża się powoli, dostojnie, niczym unoszony na falach. Nie przerywa prześwietlania, wciąż towarzyszy mu ściana przezroczystej energii inwigilacyjnej. Idzie do mnie i wszystko sprawdza. Już jest przy kamiennym moście. U jego progu niczym dwaj strażnicy siedzą istoty o nieokreślonej płci. Tafla prześwietlającego pola przechodzi przez nie i wtedy dostrzegam, kim naprawdę są ci dwaj...*

Tu muszę koniecznie przerwać i przypomnieć o czymś ważnym: jestem niewierzący, nie wyznaję żadnej religii (przypominam, że to zapis sprzed paru lat). To co za chwilę napiszę, jest jak najbardziej obiektywne i widziane chłodnym okiem obserwatora, jakim dzisiaj byłem w czasie tego wydarzenia. Wierzę w istnienie Boga jako wyższej siły, ale nie jestem religijny.

OK, a teraz z powrotem do sprawozdania z poza:

*Istota przykryta biało-niebieską szatą-mgłą prześwietla przy okazji siedzących strażników, którzy przed chwilą wyglądali jak całkiem zwykli ludzie, zaś za sprawą inwigilacyjnej tafli nagle ukazują mi się jako Aniołowie: prawdziwi Aniołowie ze skrzydłami! „Boże kochany! Czyli oni jednak istnieją!” Są ze złota, ze złotej materii! Tak jak niektóre z tych osób na podwórku. Lecz tamci nie mieli skrzydeł, a ci najnormal-*

*niej w świecie je mają. Na przedprożu mostu jak gdyby nigdy nic siedzi sobie dwóch Aniołów..., jakby to było coś najnormalniejszego na świecie! Przezroczysta tafla, a wraz z nią Tajemnicza Postać, przesuwa się dalej, wtedy Aniołowie z powrotem zamieniają się w zwykłych ludzi. Nawet nie są poruszeni całą sprawą. Mają na sobie zwykłe ubranie, jakieś dżinsy, tkwią przed wejściem na most niczym posągi.*

*Wyższa Istota pokonuje teraz „rzekę" z kolorowej mgły i zbliża się do mnie. Jeszcze tylko musi minąć kolejnych dwóch strażników znajdujących się po mojej stronie. Myk, inwigilacja, i znów w całej okazałości widzę Aniołów. Teraz mogę im się przyjrzeć jeszcze dokładniej, bo znajdują się o parę kroków ode mnie. Nie są uśmiechnięci, ale nie są też smutni. Są neutralni i bardzo spokojni. „Jacy fajni! Jacy cudowni! Jakby ich ktoś posprejował złotą farbą. Ale piękne te złote skrzydła!" Myk! Wyższa Istota wyłącza taflę inwigilacji i aniołowie z powrotem przyjmują ludzką postać. Jednego rozpoznaję ze snu. Tak! To on! To on mi wszczepił w brzuch kulę świetlną.*

*Coraz więcej świadomości, coraz więcej pamiętam… Zbliża się kulminacyjny moment! Mówię myślą do tego, którego rozpoznałem:*

*„Wiem, jak masz na imię! Sorry, że wtedy śmiałem się z ciebie, ale mi nie pasowało twoje imię. Myślałem, że byłeś jakąś atrapą, nieprawdziwy. Twoje imię odbiegało od moich przekonań, ale teraz już wiem, kim jesteś. Faktycznie, Aniołowie istnieją, a twoje imię, to Gabriel. Tak?".*

*Koleś-Anioł, na chwilę się uśmiecha i przytakuje, po czym natychmiast ponownie wraca do pokerowej twarzy…*

Muszę zrobić sobie jeszcze jedną pauzę, bo to jest tak niewiarygodne, jakby zostało wzięte z kosmosu. Nie wierzyłem w Aniołów. Nawet naśmiewałem się z nich! Wyznawałem zasadę: „nie zobaczę, nie uwierzę". Teraz zobaczyłem i już wiem, że oni istnieją. Okazuje się, że od dawna miałem z nimi kontakt, tylko na siłę naginałem swoje przekonania, bo jakoś tak mi nie pasowali do całości. Pora zweryfikować swoje doświadczenia i wyciągnąć wnioski: nigdy nie należy zamykać się w myślowych schematach.

Czyli wychodzi na to, że w religiach po trosze ukryta jest prawda, tylko że strasznie zniekształcona przez osiadły na niej kurz czasu i próby wykorzystywania jej do manipulacji, od której tak usilnie staram się uciec. Udało mi się to, uwolniłem się, ale przy okazji ucieczki zamknąłem się w myślowym schemacie, nie dopuszczając do świadomości, że może istnieć ktoś taki jak Anioł. Zwracam honor. Prawda zawiera się w religii, jednak religia jako całość systemu przekonań nie do końca jest niepodważalną prawdą, gdyż niesie ze sobą wiele zniekształceń. Niestety, czas i ludzkie ego robią swoje, a i duży w tym udział ma także niedoskonała forma przekazu prawdy, czyli słowo pisane...

*Nadchodzi kulminacyjna fala przypływu uwagi i świadomości. ON jest coraz bliżej mnie. A może to ONA...? Nie wiem, ale mam wrażenie, że pod mglistą szatą kryje się Ktoś wielki. Kim może być? Coś mi świta...*

*Nagły błysk! Zasłona opada. Istota zaczyna prześwietlać sama siebie, by pokazać mi, kim jest… Ktoś z tyłu chwyta mnie i unosi, abym mógł GO obejrzeć w całej okazałości. Postać jest w kolorze złota, ma na głowie koronę, a na niej pieczęcie-loga. Inaczej tego nie nazwę. Każdy symbol oznacza coś innego. Odczytuję z nich, że posiadacz korony wywiera wpływy w podległych mu rejonach. „Podległych" to niewłaściwe słowo – rejonach którymi się opiekuje i naucza czegoś. Ma bardzo duże wpływy i rozległe królestwo swej nauki. Jego korona to suma innych koron, jak gdyby był królem królów. Opadam lekko w dół, teraz przyglądam się Jego twarzy. Między oczami ma kolejną pieczęć-logo. Jest to zbiór najcudowniejszych i dobrych myśli z wymiarów, z których pochodzi, i doświadczeń, które zebrał. W logo dostrzegam starożytne filozofie najsłynniejszych myślicieli. Widzę ich twarze, profile zmieniają się i przechodzą jeden w drugi. Myk, myk, myk: ktoś jak Arystoteles, Sokrates, ktoś z Indii? Ktoś w turbanie, ktoś z poza ziemi, niehumanoid… Przemiana zachodzi coraz szybciej i w końcu widzę jeden uniwersalny cudowny profil o wspólnym mianowniku. „Boże, to ktoś nadzwyczaj mądry! Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości". Suma wszystkich mędrców wszech czasów żyjących nie tylko na Ziemi. Bo on jest*

*z innego wymiaru. Badam Go dalej. Pomaga mi w tym istota znajdująca się za mną. Mój MTJ? Nie wiem, nieważne. Opuszcza mnie i widzę, co wielki król królów ma na szyi, a ściślej mówiąc tam, gdzie jest jego jabłko Adama. Wypisz wymaluj, to postać JEZUSA! Szczęka mi opada, nie wiem, co powiedzieć. Czuję niewerbalny komunikat w głowie:*

*„Głoszę nauki miłości...".*

*To dla mnie za wiele jak na jeden raz. „Co za Postać! Co za ISTOTA! Jezu Chryste!"*

*„Czyli ty jesteś JEZUS CHRYSTUS?", pytam wysyłając do Niego myśl.*

*Znów odpowiada mi niewerbalnie:*

*„Między innymi złożony z niego...".*

*„Czyli to jesteś Ty, JEZUSIE? Na imię masz JEZUS? To jeden z członów Twojego długiego i nie do wypowiedzenia imienia? JEZUS to Twój aspekt. Twoja część. Czyli jesteś JEZUSEM, a raczej czymś więcej...?"*

*Opuszczają mnie niżej i widzę na wysokości serca coś, co... Nie sposób tego oddać słowami... Nawet nie próbuję, to jest takie piękne COŚ... Jestem teraz jeszcze niżej… Czuję, że faza się cofa. Pierwszy raz się cieszę z tego powodu. Za dużo widziałem jak na jedno doświadczenie – to za wiele nawet dla takiego starego podróżnika jak ja...*

*Gdy myślę o sobie, ktoś z tyłu delikatnie pochyla mi głowę, umożliwiając mi w ten sposób obejrzenie siebie w blasku prześwietlającego promienia odbitego od złotej Istoty w koronie. Chcą, abym w końcu dowiedział się i przyjął do wiadomości, kim jestem, gdzie przynależę, czym jest moja tożsamość. Tyle…*

Jestem z powrotem w ciele. Wstaję z łóżka i widzę spowijającą wszystko niebieską poświatę. Automatycznie wykonuję test rzeczywistości. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie jestem jeszcze w poza. „Nie..., to na pewno real". Dziwnie się czuję. Trochę kręci mi się w głowie i jakoś tak się chwieję, ale nie ciałem fizycznym tylko w środku. Nad głową czuję przestrzeń i wiatr, przedmioty w realu mają niebieskie kontury...

Tego dnia będzie mi ciężko wrócić do rzeczywistości, a raczej do stanu umysłu, w którym muszę żyć w realu. Najchętniej usiadłbym, zastygł w cudownym bezruchu i milczał...

Cóż mogę jeszcze rzec... „Zwracam Ci honor, JEZUSIE. „Pojechałem" po Tobie swoją niewyparzoną gębą w mojej pierwszej książce... Jeśli kiedyś napiszę drugą, to przede wszystkim ze względu na Ciebie... Naprawdę istniejesz. Dziwnie to brzmi, bo wydawało mi się, że jestem Twoim przeciwnikiem, a jednak nie. Mamy tą samą tożsamość i... barwę...".

Wpis ten dedykuję kościołowi katolickiemu, do którego, proszę mi wybaczyć, nadal nie będę uczęszczał. Chyba, że księża zaczną praktykować obe/ld.

* * *

Jak to wszystko w życiu nagle się zmienia... Zacząłem chodzić do kościoła! Wprawdzie tylko do komunii i po wodę święconą, ale jednak. Nie warto palić za sobą mostów. Nie wiadomo co człowiekowi może się przydarzyć w życiu, co może go spotkać, eksplorując świat poza. „Jak dobrze, że Cię spotkałem, JEZU! Dziękuję Ci, że mi się objawiasz. Choć wiem, że gniewanie się jest Ci obce, to jednak jeszcze raz przepraszam za moje szyderstwa. Wiesz przecież, że to było tylko droczenie się. Tania, dziecięca prowokacja".

Swoją drogą szkoda, że księża nie zaczęli praktykować obe. To by dopiero była rewolucja! Myślę, że kościół jest zbyt hermetyczny i zbyt oporny na nagłe zmiany, reformuje się z kilkusetletnim opóźnieniem, bojąc się utraty wiernych i wpływów. A przecież trzeba wprowadzać zmiany. Powolutku, ale jednak – ostrożnie, by nie wystraszyć opornych na zmiany, skostniałych myślowo. Trzeba iść z duchem czasu, nie ma innego wyjścia.

Zresztą czy kościołowi obce są przypadki występowania zdolności pozazmysłowych wśród duchownych? Znamy je przecież z historii. Wspomnę choćby ojca Pio. Najpierw uznano go za szarlatana, prawie ekskomunikowano, a po śmierci wyniesiono na ołtarze. Albo Joan-

nę d'Arc, którą spalono na stosie, bo wydawało się, że działa nie pod wpływem Boga , lecz diabła. Została zrehabilitowana i uznana za świętą kilkaset lat później. Jest jeszcze św. Faustyna od Miłosierdzia Bożego. Kazano jej więcej pracować, by nie miała takich wizji, że to szatan przychodzi do niej a nie JEZUS. Mówiono, że wariuje, nie zaś że ma kontakt z Bogiem. Została kanonizowana kilkadziesiąt lat po śmierci... Dlaczego kościół reaguje na Boże sygnały z takim niedowierzaniem i opóźnieniem? A o ile by poszedł do przodu, gdyby w seminariach uczono obe?

Nie ma sprawy, ja mogę wykładać. Święci posypią się jak z rękawa.

# 12

# Uzdrowienie z carcinomy

Cancer

Carcinoma non grata mada faka,
Jak ja cię hydro nienawidzę.
Kolejne wcielenie superdemona,
Panoszy się w mikroświecie.

Dwóch Aniołów jasność wyłoniła,
Pod ramię trzymali obłożnie chorego.
Szukał nadziei w mojej osobie:
– Uzdrowił matkę, uzdrowi i jego.
Po trudnej walce obaj wygraliśmy:
On życie wieczne, ja śmierć ego.

12 sierpnia 2006 roku moja matka trafiła do szpitala, bo ją bolał brzuch. Lekarze postawili standardową diagnozę: zapalenie pęcherzyka żółciowego; standardowy zabieg: *cholecystektomia;* a jeszcze wcześniej standardowe badania: krew, mocz i...; prześwietlenie płuc.

– Pani Mario, wyniki nie są za ciekawe. Istnieje podejrzenie...

– Panie doktorze? I co teraz? Co mamy robić?

– Dalsze leczenie już nie u nas – na pulmonologii i torakochirurgii. Lecz wcześniej potrzebne będzie skierowanie od lekarza rodzinnego...

– Skierowanie od rodzinnego?

– Tak, musi wypisać, bo nie przyjmą pani na pulmonologię.

– Poczekajcie, a macie skierowanie...

„Co za biurokracja! Będę teraz jeździł od lekarza do lekarza za świstkami. Boże, dodaj mi sił, abym nie zwariował. Jak Boga kocham, czas na rebelię! Ciekawe, co powiedzą na płucnym? Niech zrobią jeszcze raz prześwietlenie. Może to jakaś pomyłka... Boże, co za koszmar! Ci ludzie, w poczekalni. Normalnie jak w jakimś obozie. Piżamy, nawet niektóre w pasy, łyse głowy u kobiet i dzieci...”.

Kolejne badania potwierdziły obecność tego czegoś i to nie tylko w płucach. Są również przerzuty na wątrobę.

– Panowie, rozumiem, że obaj jesteście synami, tak?

– Tak pani doktor...

– Bądźmy szczerzy..., rokowania nie są za dobre... Jest to śmiertelna choroba...

– Ile mamie zostało czasu?

– Tego nikt nie może stwierdzić...

– No, ale ile?! Rok, dwa, pięć lat?

– Choroba jest w zaawansowanym stadium... Nie jest za dobrze... Wciąż szukamy źródła. To co jest w płucach i w wątrobie, to przerzuty...

– Może je wyciąć? Naświetlić?

– Nie możemy rozpocząć żadnego leczenia bez ustalenia źródła...

Matce porobiono wszelkie możliwe badania: gastroskopię, bronchoskopię, usg, tomograf, mammografię, jeszcze raz prześwietlenie. Nie powiem, trafiła na dobrych lekarzy. Byli bardzo wyrozumiali i uprzejmi, a przede wszystkim okazali się fachowcami. Po paru tygodniach znaleźli źródło. Okazała się być nim macica...

– Panie doktorze? Ja przepraszam, za moje ciągłe sugestie, ja wiem, że nie jestem zbyt kompetentny w tych sprawach, ale czy nie dałoby się tego wyciąć? Usunąć źródło?

– To jest przypadek nieoperacyjny... Nowotwór, jest... w zaawansowanym stadium.

Tu sobie pomyślałem: „Nie *jest*! Co oni chrzanią?! Nie *jest*! To tyko wyniki badań, głupi papier, klisza, zwykła klisza. To *jest* podejrzenie o nowotwór, taki *jest* wynik badań. Ale nowotwór to nie *jest*, nie ma go! Proszę, matka siedzi na łóżku, dobrze wygląda, trochę zapłakana. Co za koszmar!"

Dopiero teraz płaczę, gdy to piszę... Dziwne, ale wtedy nie płakałem – *wiedziałem, że choroba to iluzja, nie chciałem dać jej satysfakcji.* Inni płakali, ja nie! Obiecałem też sobie, że nawet jeśli matka odejdzie, to zrobię wszystko, żeby nie cierpiała. Załatwię jej jakieś fajne narkotyki, a na pogrzebie nie uronię nawet łezki! Takiego wała! Ale póki co,

będę działał. Zrobię wszystko, żeby nie umarła. Podejmę się tego nie tylko dlatego, że ją bardzo kocham, ale przede wszystkim zrobię to dla siebie. „Bo se, kurna, nie życzę tego doświadczać! Zrobię to też dla Ciebie, Boże, żeby Ci zepsuć Twój Boży Plan... Błagam Cię Boże, pomóż mi...".

Coś mi wciąż mówiło, że wszystko będzie OK. Może to jakiś mechanizm obronny mojego ego, oszukiwanie samego siebie? Bez przerwy myślałem, że matka z tego wyjdzie. „Co ty Darek, to wyrok! Jeszcze, żeby to było tylko w jednym miejscu. Ona ma to w całym ciele. Nie ma ratunku. Słyszałeś, co mówili lekarze...", takie głosy do mnie docierały.

„Co mogę zrobić w tej chwili, by pomóc matce, odmienić los, przyszły los?", zastanawiałem się. „Medycyna konwencjonalna niech robi swoje, nie należy jej lekceważyć, nawet jeśli przepisane przez lekarza leki mają dać efekt placebo. A nuż pomogą. Co jeszcze? Matka niech się modli. Żeby jej tylko dewocja nie odpierniczyła... Wszyscy niech się modlą, zresztą i tak na pewno to robią. Modlą się o jej zdrowie, a jak coś pójdzie nie tak, to o lekką śmierć. Ja nie muszę się modlić! Mam z Bogiem na pieńku, więc non stop prowadzę boży dialog. Cóż mogę więcej?"

„A co mi szkodzi, najwyżej zrobię z siebie idiotę: będę codziennie przyjeżdżał do matki i, jak to się śmiesznie nazywa, kładł dłonie na podejrzane miejsca".

Tak też robiłem. Ja znachorem? Zawsze się naśmiewałem z uzdrowicieli. Mówiłem o nich, że mają ręce, które liczą, a nie leczą. „A może by tak pojechać do któregoś z nich? Co jeszcze mogę zrobić, by odmienić los? Myśleć pozytywnie?" Myślę, myślę, aż od tego myślenia normalnie kości mnie bolą, gdy sobie, kurczę, uświadomię, że za pół roku moja matka może pójść do piachu... Ale nie widzę tego. „To będzie zima, mróz, nie kopanie tylko kucie grobu, jak u ojca..." Nie, nie widzę tego... „Czy umrze latem, pożyje sobie trochę dłużej?" Tego też sobie nie wyobrażam..., naprawdę tego nie widzę, nie oszukuję sam siebie! W ogóle, ta sytuacja mi zakrawa na jakiś absurd. Koszmar raczej, ale jednak sen. „Co mogę jeszcze zrobić, by odmienić los? Przy-

szły los, przyszłe teraz? No jak to, co? Niech ja cię tylko dorwę w poza *carcinoma*!”.

Dlaczego po tylu latach nie znalazłem łatwego sposobu na opuszczenie ciała? Wyszedłem z wprawy? Mam coś zipać żeby wychodzić? Ale czy wtedy będzie to wyjście czy halun? Mam „na koncie” tysiące wyjść i wciąż napotykam na te same bariery. Ale zastanawiam się też, czy jeśli wychodziłbym z łatwością, to czy nie wylądowałbym w psychiatryku? Tam wszyscy co chwilę wychodzą z ciał.

„OK, tej nocy musi się udać!”

*Ciemność, szaromglista ciemność. Powoli napływa świadomość. Kieruję się w stronę głębszej fazy. Po lewej kształtuje się obraz OSPUO. Gdzie wyląduję tym razem? To MOSiR, basen, już idę po kafelkach. Dopływa do mnie więcej świadomości. Po drugiej stronie basenu dostrzegam mężczyznę. Patrzy na mnie. To ratownik, kierownik basenu. „Jest! Mam w końcu pełnię świadomości!” Dla pewności powtarzam na głos: „Jestem świadomy, jestem świadomy...” Teraz błyskawicznie wraca mi pamięć: ratuj matkę! Dobra! Tylko, żeby faza się nie cofnęła. Idę w stronę mężczyzny. Nie spuszczam z niego wzroku. Teraz udaje, że mnie nie widzi. Wypalam:*

*– Czy matka będzie żyć?*

*– Może być tak, że umrze.*

*„Więc nie jest tak źle”, myślę. „Powiedział „może”, to znaczy, że oni sami jeszcze nie wiedzą i jest nadzieja”. Myśli płyną jak błyskawica. Poznaje tego jegomościa, niby-ratownika. To ten sam, który parę lat temu odpowiedział mi na pytanie: „ile będę żył?” Spojrzał wtedy ponad mną, jakby pytał o przyzwolenie Kogoś, kto stał za moimi plecami. Powiedział cyfrę i widząc moją konsternację, po chwili dodał: „Na teraz”.*

*Wszystko jest w naszych rękach, a więc do dzieła! Odchodzę na bok, tu jest jeszcze lepsza faza, OSPUO bardziej wyraziste, lepiej ukształtowane. To dobre miejsce. Wysyłam sygnał:*

*„MTJ, pomóż mi uratować matkę!”*

*Ledwo co zdążyłem pomyśleć i już jest. Silny strumień znajomej Energii pcha w plecy. Lecę. „Niemożliwe! Nie wierzę! To jakaś bajka!*

*Czyżby miało się to okazać takie łatwe? Niech ja dorwę tego raka, wyrwę sukinkota!"*

*Lecę i lecę..., dawno podróż nie trwała tak długo. „Aby się tylko faza nie cofnęła...". No właśnie, a co z fazą? Nie spłyca się, ani nie pogłębia. Utrzymuje się na stałym poziomie. Tylko ten ruch do przodu i mijane kolejne krainy OSPUO. Nie są to moje OSPUO'a. Jedno, drugie, następne... Sporo ich jest. Wlatuję, lecę jakiś czas jakby przez cudzą krainę snu, która rozsuwa się, odsłaniając kolejną i następną... „A cóż to?" Faza zmienia kierunek, zacieśnia się i wreszcie zwęża. Ląduję. Pamiętam, co mam zrobić, mam pełnię świadomości i pamięć... Strumień MTJ-a gaśnie. „Czyżby się nie powiodło?" Nic z tego nie rozumiem.*

*„Cóż to za dziwna kraina?" Na lewo ode mnie płynie rzeka, raczej wartki strumień, jest w nim silny prąd. Widzę mały mostek w kształcie łuku. Dalej coś*, *czego nie znam. Nieznana mi faza... wąska, bardzo wąska. Z prawej strony jest krótka ścieżka, prowadzi do drzwi, za nimi rozpoznaję znaną mi fazę świadomego snu. Natomiast za moimi plecami nie ma nic, tylko powrót do ciała. Przede mną, mleczna mgła.*

*Wiem już, o co chodzi: muszę dokonać wyboru! Decyduję się: „Gdzie jest ten zafajdany rak?!"*

*Subtelna i ledwo zauważalna siła, która nagle pojawia się za mną, obraca mnie w stronę mostka i nieznanej fazy. „MTJ, czy to Ty?", pytam w myślach? Już Go nie ma. Dalej! Nie czekać! Przez mostek! Biegnę, ale nie za szybko, by się nie unieść, bo mógłbym stracić kontrolę nad fazą. Pod łukowym sklepieniem mostku odkrywam, że nie płynie tam żadna rzeka tylko strumień energii ściągającej do ciała. Krok w niego i znalazłbym się z powrotem w realu. Wywaliłoby mnie i z leczenia nici... Opuszczam więc mostek i wchodzę do jaskini, jamy czy kanału...? Tak, to jakiś kanał. „No nie! Tego to już za wiele!"*

*Wszystko co widzę, jest alegorią i przypomina animowany film „Było sobie życie". Ależ tu duży ruch! Ciągła, bezustanna praca... Stworzonka, małe istotki niepodobne do niczego co dotychczas widziałem, uwijają się w wielkiej żywej maszynerii.*

*„Gdzie to jest?!"*

*Jakaś czerwona istotka sięgająca mi do kolan, nie używając głosu przekazuje mi:*

*„Tu, u góry, pracujemy nad tym...”.*

*Spoglądam wyżej i dostrzegam coś czarnego. Przypomina to zwykłą sadzę, osmolenie od kopcącego płomienia. Jest w trzech miejscach. Sięgam ręką i z niebywałą łatwością ściągam to coś – zwykłe, czarne matowe pozłotko. Nawet mi rąk nie brudzi. Zastanawiam się, co z tym zrobić? Przecież nie cisnę tego tutaj w kąt i nie zostawię. Jestem jak zwykle w samych gatkach, nie mam kieszeni. Takie trofeum ma mi przejść koło nosa? Wkładam to coś, za gumkę i pytam stworzonko:*

*– Jest jeszcze gdzieś?*

*Nic nie odpowiada, tylko jeszcze bardziej się uwija, jakby chciało nadgonić robotę. „Dobra, nic tu po mnie, zresztą faza się spłyca”.*

*Zabieram trofea i spadam stąd. Mostu już nie ma, jest za to chwiejna kładka, strumień ściągający do ciała zamienił się w szeroką, rwącą rzekę. „Czyli faza się spłyca”, myślę. Trudno utrzymać równowagę, idąc po tej desce. Jakoś mi się udaje i po kilku krokach ląduję na drugim brzegu. Faza wyrównana. Teraz ruszam ścieżką do drzwi. Otwieram je, wchodzę do środka. Po prawej za biurkiem siedzi kobieta:*

*– Jest jeszcze gdzieś to...? – wyciągam zza paska od spodni czarne, matowe pozłotko.*

*„Spodnie?! Mam już na sobie spodnie?! O..., i kurtkę! Kurde, zaraz będę w ciele! Szybko!”*

*– Mów, czy jeszcze gdzieś jest!?*

*– Pracujemy nad tym – pada odpowiedź.*

*Pyk. Jestem ponownie w ciele.*

Wyniki badań z 15. listopada 2006 roku, czyli niecałe trzy miesiące od rozpoznania, wykazały brak obecności ognisk chorobowych. Matka jakimś cudem wyzdrowiała.

„No i co, *carcinoma* mada faka! Co masz mi do powiedzenia? Jesteś malutka! Jesteś zwykłym śmieciem, czarnym, matowym pozłotkiem!”

A więc właściwie co pomogło? Wszystko na raz. Medycyna konwencjonalna – naprawdę, nie należy jej lekceważyć. Matka trafiła na

dobrych lekarzy, pokładała w nich nadzieję, zaufała im. Nie dostała żadnej chemii i w tym wypadku był to strzał w dziesiątkę.

A wiara matki? Chciała żyć. Bezustannie modliła się do Boga, żeby odmienił... Sygnał szedł pierwsza klasa pod sam EMITER.

Wsparcie rodziny: „Marysiu, będzie dobrze". I ich sygnały: „Boże, co to będzie jak Marysia umrze. To taka dobra kobiecina".

Może ten ksiądz, spotkany na onkologii? „Proszę księdza, ksiądz się pomodli za matkę...".

„Kochani, Bóg z wami, święć się imię twoje". Ale Darek wie swoje. Czy codzienne nakładanie rąk pomogło? Gdy to robiłem, wysyłałem mentalny sygnał, drąc się wniebogłosy. Po cichu oczywiście. Rozmawiałem z Bogiem i *carcinomą*. Prosiłem Stwórcę, błagałem Go, groziłem Mu, kląłem, obiecywałem... Zaś *carcinomie*? W stosunku do niej to ja byłem bogiem – złym, okrutnym władcą! Nie zawsze miałem dość energii, niekiedy po prostu nic mi się nie chciało, miałem doła. Wówczas tylko przykładałem ręce i coś od niechcenia plotłem w myślach...

Do matki przyjeżdżałem tylko wieczorami dosłownie na 10 minut. Robiłem wtedy jeszcze coś... Nadal to robię. Trochę mnie to wypala, zupełnie jakbym wciąż trzymał to coś w nieustającym szachu... „Muszę koniecznie zmienić podejście..., to wewnętrzne napięcie (teraz już trochę osłabło), ale muszę się go pozbyć, wyciszyć".

Nieważne co pomogło. Ważne, że matka jest z nami. Nie chcę przypisywać zwycięstwa wyłącznie sobie, broń Boże! Odnieśliśmy je wspólnie... Miałem jeszcze dwa podobne fazowania do *carcinomy*. A właściwie do tego, co po niej pozostało, do śladów jakie po sobie pozostawiła. Do lekko nadszarpniętej psychiki matki...

PS

Prawda jest taka odnośnie *carcinomy* mada faka: nie musisz być obemaniakiem, by nieść pomoc innym, zwłaszcza swoim bliskim, osobom które kochasz. Naprawę, tak jest! Wiem dobrze, że każdy z was może odmienić swój los, przyszłe teraz. I nie chodzi tu tylko o choroby. Słyszę niewerbalny głos, który mówi:

*„...przekaż im to...*

*...nie bój się...*
*...powiedz to głośno...*
*...MIŁOŚĆ odkształca przyszłość..."*

* * *

Dzisiaj jest 21 maja 2011 roku. Dzięki bogu matka jest zdrowa. Jakoś się udało. Upłynęło trochę czasu od tamtych wydarzeń..., niemal pięć lat. Ponieważ pierwotna wersja powyższego zapisu niosła ze sobą zbyt duży ładunek emocjonalny, musiałem ją przeredagować. Pełno w niej było przekleństw i to jeszcze kierowanych bezpośrednio do Najwyższego. Nie pogniewał się, rzecz jasna, ja natomiast nie chciałem utrwalać wyzwisk na papierze. „Dziękuję Ci Boże, że mi pomogłeś. To było niezłe igrzysko".

Ciekawi mnie, dlaczego niektóre sprawy, wydawać by się mogło śmiertelnie poważne, daje się wyprowadzić na prostą, zaś prozaicznych, z pozoru łatwych do zmienienia, ruszyć się nie da. Podam przykład: od lat mnie boli głowa. Są takie dni, kiedy ból jest mniejszy, jednak przez większość czasu czuję się tak, jakby mi rozsadzało czaszkę. No i ten kręgosłup...  Czasem rano trudno mi się podnieść. Próbowałem coś temu zaradzić w obe i... nic. Jak bolało, tak boli. Poza tym mam wrodzoną alergię, czy coś w tym stylu, i uczulenie na tlenek żelaza, czyli rdzę. Wystarczy krótki kontakt z nią, a następnego dnia moje palce wyglądają jak zżarte przez jakiś kwas. I z tym próbowałem coś zrobić w astralu, ale na razie nic mi nie wyszło. Widocznie jest tak, że jeśli coś komuś jest pisane, to musi tak być... Najwyraźniej uzdrowienie mojej matki było jej pisane.

Po co o tym wspominam? By powiedzieć, że żaden ze mnie cudotwórca, skoro nie potrafię wyleczyć sam siebie z doskwierających mi dolegliwości. Może ból głowy i to uczulenie z czasem przejdą same, ale póki co cierpię przez nie. I jeszcze jedno... Długo zastanawiałem się, czy po uleczenia matki i opublikowaniu opisu choroby w internecie powinienem ponownie umieszczać go w tej książce. Dzisiaj trochę żałuję, że wstawiłem go do sieci. Ale skoro już się tam znalazł, to byłoby tchórzostwem, gdyby nie pojawił się tu jeszcze raz.

W pewien sposób ukręciłem na siebie bat tym wpisem. Po tym, jak znalazł się w internecie, zacząłem otrzymywać e-maile od wielu osób. Ludzie pisali co chwilę, prosili o uzdrowienie, o spotkanie, żebym chociaż spróbował... Było mi tak przykro i źle ze sobą samym, że nie potrafię odmówić, że biorę na siebie coś takiego... Znalazłem się pod ogromną presją. Musiałem w końcu odmówić, bo nie sposób było żyć cudzym życiem. Średnio dziesięć e-maili dziennie z prośbą o wyleczenie, a wieczorem jeszcze telefon. Jakim cudem miałem to zrobić? Kogo wybrać? Komu odmówić? A kimże w końcu jestem, żeby dokonywać tak odpowiedzialnej selekcji? Powiedziałem światu o sprawie mojej matki po to, by dać ludziom nadzieję i świadectwo, a nie stać się skorumpowanym znachorem. By podkreślić ważność praktyki obe, którą każdy może rozpocząć. Należy zakasać rękawy i do dzieła. Wiem, co to znaczy pogrzebać bliskich, bo sam wielu pochowałem. Znam to uczucie po stracie kogoś – straszny ból, miesiącami pęka serce... Ale dlaczego mam to brać na siebie? Ty wziąłbyś? Dlatego opisuję wszystko, co wiem na temat eksterioryzacji, niczego nie ukrywam. Przy odrobinie chęci i samozaparcia każdy może nauczyć się tej praktyki. Wyćwiczyć, udoskonalić, a jeśli zajdzie taka potrzeba, to zastosować nawet w ekstremalnych sytuacjach i spróbować uratować życie bliskiej osoby. Tak brzmi mój przekaz.

# 13
# Archanioł Gabriel, lusz, czakry i chuć

Czerwona Księga

Przyszedł do mnie Gabriel o ósmej nad ranem,
Zupełnie jak sąsiad co po sól zachodzi.
Kładzie Księgę na środku stołu,
Wielką, czerwoną – o co tu chodzi?

Pierwszy raz natknąłem się na Niego niespełna dziesięć lat temu. Początkowo całkowicie Go zlekceważyłem, śmiałem mu się w twarz, biorąc za tzw. atrapę. Tak nazywałem na początku swojej przygody z obe wszelkie postaci, które trudno mi było sklasyfikować. Nieznane to wyśmiane. Teraz wiem, że to było trochę infantylne podejście. Mało kreatywne, a na pewno nie zbliżające do odkryć i dojrzałych wniosków. Myślałem, że coś sobie ubzdurałem i stworzyłem we śnie. Jednak On żadną atrapą nie był. Dobrze, że już wówczas prowadziłem dzienniki, skrzętnie notując w nich nawet najdrobniejsze szczegóły wypraw poza ciało. Po czasie ponowny wgląd do zapisków ułatwia wiele rzeczy.

Samo zdarzenie pamiętam, jakby było wczoraj, właśnie dzięki notatkom w dzienniku. Pomagają mi one nie tylko utrwalić na papierze dany moment, ale przede wszystkim pozwalają później odtworzyć go w pamięci lewej półkuli mózgu odpowiedzialnej za analizę, logikę, naukowe podejście do sprawy.

Leżałem w obszarze przycielesnym na niskiej częstotliwości pierwszej fazy snu. Pojawił się znikąd ze święcącą kulą i zaczął mi ją wciskać w brzuch. Jego dotyk trochę mnie parzył, a i sama kula była dość gorąca. Najprawdopodobniej to mnie właśnie obudziło. Byłem już w miarę wprawiony w eksterioryzacji i na pewno zuchwały. Chwyciłem Go za przedramię, żeby mi się nie wyrwał, i zapytałem o imię. Chyba dopiero za drugim lub trzecim nagabnięciem odpowiedział, że „Gabriel”. Parsknąłem śmiechem, rzuciłem coś w stylu „Nie kituj!”.

Wyglądał normalnie: młody mężczyzna o łagodnych rysach lub kobieta z domieszką męskich cech. Taki młodzieniec. Krótkie, czarne, kędzierzawe włosy, ciemne oczy. Nie zauważyłem w nim nic szczególnego, no może poza samym spojrzeniem i zachowaniem. Pierwsze było zbyt mądre jak na zwykłą postać ze snu, atrapę; drugie: Gabriel wyraźnie unikał mojego wzroku. Wcisnął parzącą kulę białej energii w mój brzuch i zniknął w ciemności. W dzienniku odnotowałem poza tym, że postać na bank musiała być atrapą i to mimo oznak posiadanej świadomości, którą widziałem w jej oczach.

Chyba zasugerowałem się książkami Roberta Monroe... – on w swoich „Podróżach..." nic nie wspominał o Gabrielu. Były to czasy, kiedy ślepo podążałem za moim idolem. Klapki na oczy i nic tylko „Trylogia" – porównywać i sprawdzać. Wiele zawdzięczam Bobowi, nadal go szanuję i jestem pełen uznania za to, co wniósł do naszej rzeczywistości. Jednak moja droga jest inna. Nasze doświadczenia są tak samo podobne, co i różne. Niektóre kwestie identyczne, a inne absolutnie odmienne.

JEZUS wraz ze swoją Świtą operują nie tylko w Systemach Przekonań. Ich wpływy rozciągają się również poza skraj zewnętrznych pierścieni. Oprócz tego same Systemy Przekonań nie mają, jakby się mogło wydawać, tylko pejoratywnego zabarwienia i nikogo nie więżą. Widziałem na własne oczy, jak rezydenci tak zwanych Systemów Przekonań zabierani są gigantycznymi statkami do wyżej położonych stref. „Czyli co? Wychodzi na to, że religia wcale nie jest czymś złym". Leciałem chwilę za takim statkiem, próbując wyśledzić jak najwięcej, jednak mogłem przesunąć fazę tylko do pewnej częstotliwości. Statek wpłynął w Strumień i jakby się w nim rozpuścił – niczym kostka lodu przytknięta do rozgrzanej do białości stali. Wiedziałem, że tamci odchodzą na wyższe wibracje.

Temat z Gabrielem w roli głównej powrócił dopiero po latach. Na pewien czas jakoś Go wyparłem, nie dopuszczałem do siebie. Myślałem: „Skoro Monroe o Nim nie pisał, to Go pewnie nie ma, więc po co sobie zawracać nim głowę". W jaki sposób Go namierzyłem? Dzięki Bobowi, mówiąc szczerze. W „Trylogii" pisał coś o „luszu", ener-

gii, którą ponoć my, ludzie, mamy produkować niczym dojne krowy. Pomyślałem: „Chcę zobaczyć lusz..., sprawdzę. Fajnie by było dowiedzieć się o tym nieco więcej”.

*Budzę się, czując na sobie przenikliwe spojrzenie Istoty stojącej przy czymś, co przypomina rozdzielnię wodociągową. Postać trzyma dłonie na dużym kurku i wpatruje się we mnie świdrującym spojrzeniem. Strasznie morzy mnie sen, z trudem odzyskuję świadomość. Pomaga mi w tym skupiony wzrok Istoty. Komunikuje się ze mną niewerbalnie, pomagając sobie gestami. Dostrzegam wyraźne kiwnięcie głową. Jakby udawała niemowę. Dziwacznie to wygląda. Choć nie słyszę dźwięków, wyraźnie odczytuję jej mowę ciała. Oczy wysyłają myśl:*

*„Hej! Ocknij się. Patrz!”*

*Leżę na czymś w rodzaju miękkiej waty. Przy ciele jest puszysta i niewyczuwalna, pół metra dalej przechodzi łagodnie w coś, co przypomina białe siano. Wetknięta jest w nie matowobiała rura – prowadzi w stronę rozdzielni, załamując się kilka razy pod kątem prostym.*

*Napływa do mnie więcej świadomości, rozbudzam się, chcę wstać. Istota kręci głową na „Nie!”. Bez sprzeciwu wykonuję polecenie. Zastanawiam się, dlaczego nie powie normalnie „nie”, tylko bawi się w pantomimę. Przypatruję się uważnie Postaci. „Skądś Go znam...” I w tym momencie Gość od kurka błyskawicznie odwraca się do mnie plecami, dając mi wyraźnie do zrozumienia, abym nie skanował Jego identu. Znikąd pojawia się płaszcz, którym teraz się nakrywa. Normalnie materializuje go na moich oczach, po czym nasuwa kaptur i teraz stoi jakby obrażony. Odpuszczam. I tak już wiem, kim jest. Gość powoli odwraca się. To ten sam, który kiedyś mi wszczepił kulę w brzuch. To Gabriel! Tak mi się wówczas przedstawił. Robi minę, dając do zrozumienia, abym się w końcu przymknął i patrzył, bo przecież chciałem zobaczyć lusz. Faktycznie, chciałem. Zapomniałem o wysłanym sygnale. „Tak! Chcę”. I w tym momencie Gabriel przekręca kurek. W rurze pojawia się świetlistobiała energia. Kolor bieli z domieszką ultramaryny,*

*niebieskawy jak łuk elektryczny. Widzę również inne jasne barwy, pełną gamę kolorów tęczy z przewagą ultramarynowej bieli.*

*„Już? Widziałeś? To teraz się obudź, bo zapomnisz”,*

*komunikuje telepatycznie z domieszką groteskowej pantomimy Gabriel.*
*Chwile później budzę się w ciele.*

A więc to jest ten osławiony lusz! Przypominam sobie, że kiedyś już miałem takie doświadczenie. Podobna sceneria, podobna postać, o ile nie ta sama. I ta energia w rurach. „Kurczę, wiele razy o czymś takim śniłem, tylko nieświadomie”. Przez głowę przelatują mi skrawki wspomnień. „Czyli musi się to odbywać w czasie głębokiego snu. Ciekawe czy każdej nocy upuszczają z nas lusz, czy tylko od czasu do czasu, gdy nagromadzimy go odpowiednią ilość?” Nie mam z tego powodu doła i nie czuję się jak wykorzystywana dojna krowa. Wiem, że to jest normalne i nawet mi to odpowiada. Skoro zajmuje się tym Anioł, to musi to być dobre. Bardziej intryguje mnie zachowanie Gabriela. Dlaczego jest taki powściągliwy? Strasznie mnie to ciekawi.

*Leżę w pokoju na podłodze. Upalny poranek nie sprzyja przesuwaniu fazy, ale mimo wszystko próbuję. Męczę się kilkadziesiąt minut i już mam odpuścić, gdy nagle czuję, że coś zaczyna się dziać. Poddaję się procesowi oddzielania od ciała i zamieniam się w obserwatora. Po chwili jestem w obszarze przycielesnym. Rozluźniam się jeszcze bardziej, ale odnoszę wrażenie, że nici z tego, zbyt mocno tkwię w płyciznach fazy. Mając świeżo w pamięci ident Gabriela, drę się wniebogłosy, by coś zaradził. Zawsze przywoływałem MTJ-a, ale tym razem chcę sprawdzić, czy pojawi się Anioł i czy wyczuję różnicę, bo a nóż MTJ to Anioł. Nawet jeśli nic nie wskóra, to może uda mi się poznać Go bliżej.*

*Po piątej czy szóstej próbie przywołania Go czuję, jak po lewej wyłania się postać. Ta sama co przy kurku z luszem! „A niech to!”*

*– Gabrielu, to Ty?*

*Cisza. Powtarzam pytanie nieco głośniej uważając, by nie poruszyć fizyczną krtanią. Faza jest za płytka na werbalizację przekazu.*

*– Powiedz coś! Dla mnie to bardzo ważne! Przedstaw się, błagam!*

*Gabriel rozgląda się, jakby sprawdzał, czy nie ma nikogo w pobliżu, po czym robiąc z dłoni tubę szepcze mi prosto do ucha:*

*– Archanioł Dżabrail jestem.*

*– Jak? Powtórz! Nie Gabriel tylko jak?*

*– ...dżabrail-dżabrail-dżabrail... – słyszę zlepek słów i dopiera po chwili dociera do mnie, że to słowo „Gabriel" tylko inaczej wypowiadane.*

*– Boże! Myślałem, że Aniołów nie ma. Mów do mnie! Mów cokolwiek! Błagam! Co za fart! Anioł do mnie przyszedł! Elegancko! – z trudem opanowuję ekscytację.*

*„O co spytać? Taka okazja! Zapytam o fazę, jak ją pogłębiać, o technikę poprawiającą dostrojenie". I już czuję jak Gabriel bierze mnie za rękę i okrężnymi ruchami pociera nią moje udo. Bez zbędnych pytań wykonuję zalecenie. Mam rozcierać niefizyczne ciało. Kiwnął głową, że „tak". Zaczynam trzeć. Kilkanaście sekund później czuję, jak na udzie powstają ciepłe wibracje. Błyskawicznie rozchodzą się po całym ciele. Teraz już bez przeszkód mogę wstać.*

*Jestem zszokowany całą sytuacją, bo nie dość, że przywołałem Gabriela, to jeszcze poznałem nową techniką na pogłębienie fazy. Proste i genialne rozcieranie. „Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?"*

*Co jeszcze? Znając życie, długo będę czekał na następny raz.*

*– Gabrielu pokaż mi czakry, czy one w ogóle istnieją...?*

*Jeszcze nie kończę, a już Gabriel chwyta mnie pod ramię, wygina w łuk i każe stęknąć. Sam robi dokładnie to samo, stojąc z boku. W tym momencie dzieje się coś niebywałego! „Co za sztuczka!" Gabriel wsuwa swój bok na mniej więcej kilkanaście centymetrów we mnie, normalnie zrastamy się niefizycznymi ciałami! Teraz za sprawą połączenia wszytko wykonuję dokładnie tak jak On. Prężę niefizyczne ciało i mocno wyginam do tyłu, wydając przy tym silne stęknięcie, identyczne, gdy dźwiga się duży ciężar. W środku czuję, jak powstaje tłocznia brzuszna, i oto z całego korpusu (brzucha i klatki piersiowej) przez napiętą skórę wyłania się coś w rodzaju kręgosłupa z golfowych piłeczek. Połączone są grubymi jak palec żyłami. Nie przylegają do siebie ściśle, tyl-*

*ko zachowują odstępy, jak duże korale luźno nawleczone na nić. Co mi to przypomina? Może oczy, jądra, jajniki z całym kompletem żył, nerwów i nasieniowodów. Nie jest to obrzydliwe, wygląda bardzo ciekawie. W życiu nie widziałem czegoś podobnego! Myślałem, że czakry to jakieś kwiatki, a najwyżej kolorowe płaskie krążki. A to normalne organy. „Ale czad!"*

*Gabriel zrobił się purpurowy na twarzy od wstrzymywanego powietrza, pewnie ja też. Moje czakry są nieco inne, ale może dlatego, że mniej wystają. Nie potrafię ich tak wysunąć jak On. Nie są wcale mniejsze. Szybko liczę, ile ich jest: tyle samo. Zupełne, lustrzane odbicie. Gabriel mówi bez słów, abym uważnie patrzył, to wypełni je energią, bo rozświetlone lepiej widać. I w tym momencie czuję, jak z góry znad głowy zstępuje ciepłe światło. Biegnie wewnątrz po pionowej osi wzdłużnym kanałem, kierując się w dół. Wypełnia kuliste organy błyskawicznie, szczelnie niczym ciecz lub gaz. Czakry zaczynają świecić znajomym blaskiem. Natychmiast kojarzę tę energię. To przecież lusz! A niech to!" Znów pojawia się ta wstydliwa przypadłość: nie mogę zapanować nad erekcją...*

*Ni z tego, ni z owego Gabriel szybko zamyka dopływ luszu, chowa czakry, prostujemy się. Pojawia się Wielka Przezroczysta Postać o przyjaznym, ale głęboko ukrytym idencie. Zamieram, ale nie ze strachu, tylko po prostu nie mogę się poruszyć. Tamten bierze Gabriela zdecydowanym ruchem na bok i najnormalniej w świecie ochrzania. Daje mu reprymendę jak ojciec nieposłusznemu dziecku. Przysłuchuję się uważnie, ale mówi szeptem i wyłapuję tylko piąte przez dziesiąte. Chodzi o mnie, że i tak już dużo zobaczyłem i na pierwszy raz mi starczy, że za wcześnie na takie pokazy, że ma mnie natychmiast odprowadzić do ciała. Gabriel posłusznie niczym żołnierz wykonuje polecenie. Bierze mnie pod bok i pędem wciska w fizyczne ciało. Budzę się w realu.*

„No to ładnie! Co tam się do licha dzieje w tym astralnym świecie?! Kim była Wielka, Przezroczysta Postać? Czy to był jakiś Superanioł, a może JEZUS?" Nie wiem. Ident miał szczelny, zdołałem uchwycić tylko kilka kropel tożsamości. Był nastawiony przyjaźnie, to pew-

ne. Bardziej rozwinięty od Gabriela. Czyli jest jakaś hierarchia. A niby wszyscy jesteśmy równi... Jednak nie ulega wątpliwości, że bardziej doświadczeni lepiej ogarniają całość i to oni wydają polecania. Mniejszym nie pozostaje nic innego jak posłusznie i z szacunkiem wykonywać ich rozkazy. Zupełnie jak w wojsku: na stołówce po służbie wszyscy są sobie równi, zaś w czasie manewrów obowiązuje ściśle ustalona zależność.

Z moim nowym niefizycznym przyjacielem, aniołem Gabrielem, miałem się spotkać jeszcze wiele razy. Robiliśmy różne dziwne rzeczy, przeważnie mojego pomysłu, ale wstyd o nich pisać. Gdyby ktoś z zewnątrz dowiedział się o tym, mógłby się poczuć mocno urażony. Świętokradztwo przy tych wyskokach to jak kradzież śliwek z sadu sąsiadki, gdzie gałęzie zwisają na naszą działkę. Nic więcej nie powiem.

Ale chuć mamy z Gabrielem straszną...

# 14
# Szatan, wampiryzm i przedsionek piekła

Bestia

A imię bestii ciąg dwunastu znaków.
Nim zdążyłem spytać, co znaczą one,
W pierś mi się wbiła, gryząc serce moje.

Nie mam zamiaru dłużej tego ukrywać: niestety, szatan istnieje. Przypomniał o sobie. Przyszedł dziś do mnie wraz ze swoją ekipą diabłów, jakby wiedział, że będę o nim mówił... Nie mam wyjścia, muszę zapaskudzić jego imieniem moją złotą rotę przeznaczoną dla ludzi. „Będę pisał o tobie małymi literami, bez emocji i po dziennikarsku, jeśli w ogóle tak się da. Po to, aby każdy mógł cię namierzyć, bo nie grasz uczciwe. Jesteś jak recydywista, co wypija krew, nie zostawiając śladu. Manipulator lokacji sennych, kłamca i kameleon. A twoim sługom zawsze śmierdzi z ryja wódą i butaprenem. Poważnie! Ćpasz haj prosto z lokacji narkomanów, albo to oni są w waszej sferze wpływów".

„Przychodzisz do mnie, gdy jestem słaby, w melancholii, po to by mnie osłabić jeszcze bardziej. Ale ja o tobie opowiem, poskarżę się BOGU...".

Po raz pierwszy świadomie (bo pewnie bez mojej wiedzy odwiedzał mnie od dawna, choć tego nie wiem, trudno mi to stwierdzić) spotkałem go przy drewnianym stole *vis a vis* karczmy z bali, gdy po imieninach u cioci na mocnym kacu próbowałem wyjść z ciała. Pomyślałem wtedy: „Szkoda marnować poranka. Kac aż trzęsie w środku, ale spróbuję wyjść". No i wyszedłem. „Od razu trafiłem na ciebie. Czyli lubisz te wibracje? To jest twoje środowisko?"

Przedstawił się, choć od razu wiedziałem, kim jest. Powiedział, że jest sługą ciemnej otchłani. Natychmiast zmaterializowałem w dłoni kawałek szkła i zastygłem w bezruchu, czekając na rozwój akcji. Broń

pojawiła się bez udziału woli, jakby to mój strach ją stworzył. W każdej chwili byłem gotów zakatować złego. Jednak on, o dziwo, zachowywał się nadzwyczaj normalnie. Nie był agresywny, siedział przy stole szczelnie owinięty czarnymi bandażami. Wyglądał jak czarna, egipska mumia. Widziałem z tyłu tych, którzy za nim podążają, chmarę młodych ludzi...

Nie chcę mieć jakichś nieprzyjemności, ani też włóczyć się z kimkolwiek po sądach. Już raz zostałem skazany i wiem, co to za syf znaleźć się w sądzie. Ano tak, jestem po wyroku. Co prawda niewielkim i w zawiasach, ale jednak. Mam teraz brud w papierach i mogę się pożegnać z parlamentem. A tak chciałem być prezydentem... Żartuję oczywiście. „Czy dobrze słyszę? Ten, który się podaje za inkarnację św Piotra jest skazańcem?" – taka jest prawda i nie mam zamiaru jej ukrywać. Zarówno tego co dotyczy reala jak i poza. Zawsze byłem zwolennikiem ujawniania całej prawdy. Czy pomijanie jej nie jest kłamstwem?

Wracając do szatana... Z tyłu za nim widziałem rzeszę bardzo młodych ludzi. Może zabrzmi to nieprawdopodobnie, ale byli to w przeważającej części fani zespołów grających muzykę z gatunku „czaszki i przekręconego krzyża", tacy, którzy lubują się w propagowaniu szeroko pojętego zła. Być może traktują to jak zabawę, ale jednak. Znalazł się tam pewien dobrze znany polski zespół... Nie będę mu robił reklamy, a przy tym, jak już wspomniałem, po sądach włóczyć się nie zamierzam. Stado głupich dzieciaków żyjących w przekonaniu, że zło jest zabawne. „Ładnie skończyło to towarzystwo, nie ma co – za plecami sługi ciemności".

„Pisz Darku, pisz, co to był za zespół, my ci pomożemy. Jakby co, będziemy pikietować przed sądem".

Już to widzę... W gębie każdy mocny, zwłaszcza w internecie, a jak przyjdzie co do czego, po bułki do sklepu boją się wyjść.

Wczoraj wypiłem trochę piwa. No może więcej niż trochę, bo upał był straszny, wakacyjne klimaty, itp. „A ty, szatanie, znów do mnie przylazłeś. Dobry sposób, by cię lepiej poznać. A może nie wolno mi w ogóle pić alkoholu? Ilekroć się napiję, to na ciebie natrafiam. Nawet małe ilości cię przyciągają. Nie bardzo mam ochotę o tobie mó-

wić, bo od razu wpadam w jakieś dziwne klimaty i czuję cię blisko siebie. Nie jest to przyjemne. Opowiem teraz światu, co robią twoi ludzie, ci, którzy ulegli wpływom ciemnej otchłani. Niektórym to się zapewne spodoba, naród uwielbia sensację".

Kiczowaty zespół z umorusanymi mąką gębami w płaszczach zerżniętych z „Matrixa" manipuluje maluczkimi, a oni jak stado baranów albo pokornych cieląt nadstawiają swe gardła. To właśnie widziałem: solistę satanistycznego zespołu czerpiącego energię w poza wprost z czakry gardła swoich fanów! Podchodzą do niego zauroczeni, bo wiadomo, to idol, a ten wpija się w ich szyje. Wyciąga czakrę i ssie kulkę, aż mu się policzki zapadają. Po chwili fan przewraca oczami i półprzytomny pada na ziemi, zaś idol rośnie w siłę. Normalnie na moich oczach pompuje się o kilka procent, zwiększając swój rozmiar. Działa na fanów, modulując tembr swojego głosu, potem bierze następnego z kolejki i sytuacja się powtarza. Obrzydlistwo! Po przebudzeniu się oczywiście żadna ze stron niczego nie pamięta. Robią to bezwiednie w nieświadomych snach, w astralu na pierwszym planie. Bo tak się składa, że niewyćwiczona ludzka świadomość nie tworzy pomostu między światami i żyje jakby dwoma życiami. Jedno tu w świecie fizycznym, drugie tam w świecie ducha.

Do kogo należą plany astralne, gdzie uprawiany jest ten niecny proceder? „A do ciebie szatanie! To twoje ciemne podziemie!"

Widziałem jak inne tak zwane gwiazdy szklanego ekranu również tak czynią. Nie tylko soliści satanistycznych zespołów, ale i muzyki pop, tak samo jak niektórzy znani aktorzy i prezenterzy. Zwłaszcza starsze jednostki hołdują temu procederowi. Czy w ten sposób nieświadomie próbują walczyć z czasem? Botox wykrzywia im twarze w dziwaczny grymas, a ci za wszelką cenę pragną pozostać młodzi. Nie oszukujmy się, trzeba to nazwać po imieniu: to przecież w czystej postaci wampiryzm! Pompują gardła cudzą energią, luszem swoich oddanych fanów! A najdziwniejsze jest to, że robią to za ich przyzwoleniem. Jeden w amoku ciągnął mnie za rękę, abym mógł się lepiej przyjrzeć – obie strony są chore.

Kiedy wybiłem się na wyższą fazę, by spojrzeć na to z góry, zobaczyłem ludzi nieustanie obudowywanych sennymi lokacjami. I nie były

to ospuo tworzone tylko przez nich samych. Młody człowiek chcący się wydostać przez drzwi, trafia na identyczne miejsce, z którego próbował wyjść. Mała dezorientacja i... znów śpi. Inny, w którym budzi się świadomość, szybko zostaje rozproszony. Wystarczy wstawić mu do pokoju projekcję gołej baby, a od razu traci uwagę. Temu kto się boi psów, stawia się pod drzwiami ziejącego złością pitbulla. Próbujesz wyjść z samochodu, a tu znikąd nadjeżdża tir. Wszystko podane w niezwykle subtelny sposób, na granicy agresji, tak, abyś nie odzyskał świadomości w poza, ani ocknął w ciele fizycznym. Kontynuuj swój koszmar, a oni będą się przyglądać. To są właśnie te cwane szatańskie sztuczki, ingerencje złego, który karmi się naszymi lękami. Nie wygląda to za ciekawie.

Wybiłem się wyżej i zauważyłem kolesia o wyglądzie recydywisty. Miał specyficzny wyraz twarzy, jakby przed chwilą coś ukradł lub został przyłapany na masturbacji... Nigdy go nie zapomnę. Moja niespodziewana wizyta zupełnie zbiła go z tropu. Jeśli to byłby świat fizyczny, a JEZUS nie miałby nic przeciwko temu, utłukłbym gościa na miejscu! Wampir wampirów! Siedział na czymś, co przypominało dłuży fotel na podeście, i wielką rurą wetkniętą w odbyt zasysał energię z kilkudziesięciu lokacji na raz! Sukinkot!

Od razu podaję receptę dla tych, którzy wychodzą z ciała i chcą ominąć tę częstotliwość. Jest prosta: należy unikać alkoholu, narkotyków i wychodzić po cichu, nie szumiąc zanadto myślami. Jesteśmy dla nich atrakcyjni, póki nie mamy świadomości w poza. Gdy ta się budzi i człowiek zaczyna zauważać, co jest grane, na ogół odstępują. Przyjdą może z raz, by się upewnić, czy aby na pewno utracili kolejnego dawcę, a potem sobie pójdą. Jeśliby cię częściej odwiedzali, natychmiast weź komunię! Wcale nie żartuję. Opłatek Przymierza podniesie wibracje twojego ciała i uczyni je niedostępnym dla demonów.

Mam opowiadać dalej, czy za bardzo cię wystraszyłem? Proszę wybaczyć, ale czuję potrzebę, by o tym poinformować. Mam nadzieję, że nie należysz do grona ludzi lubujących się w czarnej magii, ezoteryce spod ciemnej gwiazdy, a na forach nie masz nicka z rogiem w tle, czy awatara z rogami. Chyba coś przekręciłem. Jeden czort, dziecinada-że-

nada. „Oj, ten internecik, co on potrafi zrobić z ludzi, co może w nich wyzwolić, a jaką bywa pożywką dla ciemnej energii...". Nie przesadzam! Wyjdź z ciała i zobacz, jak to wygląda od drugiej strony.

*Ciemność. Znajduję się w lokacji jednego z userów forum o tematyce obe. Siedzi otoczony ekranami. Jest pochłonięty bez reszty tym, co się dzieje na monitorach. Śledzi każdy ruch, każdy wątek. Czyta tematy, mruży oczy w błogiej przyjemności i odpływa. Nagle gwałtownie się ekscytuje, mało nie spada z fotela. Coś go oburzyło. Znów przygasa. Za chwilę śmieje się do rozpuku. I znów opadają mu powieki ze znużenia jakby nie spał dwie noce. Gdzieś odpływa... Wsuwam się bliżej. Oczy ma zalepione czarną przesłoną. Widziałem już coś takiego. Wygląda to jak druga powieka, tyle że z czarnej błony. Wiem, co to oznacza: gość zasnął na amen. To ten, który najgłośniej obnosił się ze swoim przebudzeniem, wywyższał się i zachowywał jak big-brother. A teraz śpi jak niemowlę. Może jego skrytym pragnieniem było obudzić się i stąd ta frustracja, żółć wylewana na innych? Spróbuję mu to uprzytomnić. Skupiam się na jego głowie i mentalnie wysyłam łagodne powitanie.*

*– O! Darek! Dlaczego cię nie ma w internecie? – zareagował prawie natychmiast.*

*Nie odzywam się ani słowem, nie mam ochoty o tym mówić. Zbyt rozległy temat. Zamykam się i próbuję zamazać ident.*

*– To ty, Darek? Dlaczego poszedłeś z neta?*

*„No jaki upierdliwy..., nie da mi spokoju".*

*Wycofuję się powoli. Próbuję zmaterializować na sobie płaszcz z kapturem, ale słabo mi to wychodzi. Za małą mam, widać, potrzebę.*

*– Wróć…, za mało ci dopiekłem…*

*Pach, i w ułamku sekundy jego twarz pokrywa mu się długimi cierniami jak u jeża, niemal zmienia się w pysk drapieżnego zwierzęcia i nagle wbija mi się w środek klatki piersiowej. Nie czuję zbyt ostrego bólu, jedynie lekki dyskomfort. Nic więcej. Nie dostał się do czakry serca. Łapię go za pysk i zdecydowanym ruchem wyrywam z klatki. Siłuję się dobre trzy sekundy, bo koleś mocno się wgryzł. Nie ma zmiłuj dla takich…*

Co zrobiłem? A skąd pewność, że nikt nie wykorzysta tego w niecnych zamiarach? Widzę, jacy są niektórzy ludzie, a ściślej mówiąc: co nimi kieruję, co nimi manipuluje...

*Szatan wpada do mojego pokoju i zaczyna swoje harce. Czarne przystrzyżone do skóry włosy, złodziejskie oczy, rysy twarzy ostre, agresywne, rzymski nos. W ręku trzyma czarny przedmiot. Przyglądam się, co to jest. Rękawica bokserska na długim kiju? „Nie no..., kabaret!”*

*– Nie wiesz, co to jest?! Nie wiesz?! To ja mam wiedzieć?! Taki jesteś mądry?! Zaraz zobaczysz! – grzmi werbalnie.*

*Wypluwa z siebie potok słów, dobrze je słyszę, ale nie trafiają do mnie. Nie czuję strachu, raczej ciekawość. Łazi po mojej lokacji i straszy nie wiadomo czym.*

*– Uuuuuu! Nie podoba mi się to, co robisz! Bardzo źle!*

*Jest szybki. Raz jest tu, raz tam, ale nadal nie dzieje się nic złego. Grozi, próbuje nastraszyć, że zaraz coś mi zrobi, ale nie atakuje.*

*– Stój! Zatrzymaj się! – wydaję komendę pewnym głosem.*

*Diabeł zatrzymuje się jak na rozkaz. Podchodzę bliżej. Na głowie ma małe rogi ledwo widoczne spod skóry. Może to nie szatan tylko ktoś zajmujący niższą pozycję w hierarchii? „Aniołowie, diabły... Co tu się dzieje? Co mam z nim zrobić?” Przytulać go na pewno nie będę. Czuję, że to ostatnia rzecz, jaką by chciał. Jest z całkiem innego bieguna. Teraz obudowuje się czymś: ni to murem, ni to tarczą. Na moich oczach stopniowo powstaje półkolista czarna bariera ochronna. Mur zaczyna go otaczać. Szybko zapuszczam sondę: koncentruję się tak mocno, jak tylko potrafię, kierując myśl ponad tarczą. Skupiam uwagę na tym, co znajduje się poza nią. Jakbym przenosił część swojej świadomości poza tę barierę. Przypomina to podróż mentalną. „Skubany! Zna ten trik! Zbudował drugą identyczną tarczę!” Przyspieszam. On też. Za wszelką cenę nie chce, abym zajrzał za tarczę. „Czy coś ukrywa, czy robi to z czystej złośliwości?” Podganiam myśl. Nie mam pojęcia, skąd znam tę sztuczkę, widocznie moje inne „ja” to pamięta. Rzucam sondę o jeden krok dalej niż on i zmysłem wzroku jestem już po drugiej stronie. Udało się. Przełamałem barierę.*

*Widzę wielką ziejącą otchłań, czarną próżnię. Nie dostrzegam nic oprócz pustki. Wycofuję ostrożnie sondę. Teraz zauważam diabła. „Więc jesteś skorupą ciemnej otchłani niczego, nawleczoną na nicość postacią. Nic prócz ciemności w tobie nie ma…”.*

Pach! Zmiana lokacji!

*Stoję obok diabła w kościele. Duża katedra w stylu gotyckim. Ciemno. W środku oprócz nas nie ma żywej duszy. Jak to się stało, że nas tu przeniosło? O! Diabeł ma na sobie nazistowski mundur. „Widzę, że zdążyłeś się przebrać. Po co ta maskarada?” Stoi odwrócony plecami do mnie. Dałbym mu kopa, ale może się przykleić. Niekiedy tak bywa z demonami – kleją się jak rzepy. Zaryzykuję. Zamach i potężny kopniak w zadek. Uderzenie przenosi diabła o parę metrów do przodu, ale po za tym nic się nie dzieje. Nawet nie pisnął, stoi dalej sztywno plecami do mnie. Zuchwały..., jak gdyby chciał powiedzieć, że to go nie rusza. Nie atakuje. Bałem się, że może się na mnie rzucić, a ten zupełnie nic. Drażni mnie. Ten faszystowski mundur napawa mnie obrzydzeniem, wprost nie mogę na niego patrzeć. Wyzwala we mnie niepohamowaną agresję. Zaciskam zęby i posyłam mu kolejnego kopniaka. Diabeł przyjmuje go, nawet się nie uchylając. Uderzenie znów przesuwa go o kilka metrów. Walę kolejny raz, następuje uderzenie za uderzeniem i po chwile jesteśmy w ciemności. „Ożeż ty! O to ci chodziło!”*

Pach! Zamiana lokacji!

*Leżę zanurzony głęboko w obszarze przycielesnym. To mój pokój, tyle że mocno zmodyfikowany, pomalowany na kolor wulkanicznej czerwieni. Na lewym nadgarstku czuję chłód metalowej klamry. Obejma uwiera mnie i nieprzyjemnie drży, jakby była podłączona do prądu. Podnoszę ramię i słyszę brzęczenie łańcucha. Natychmiast macam wolną ręką. „No nie! Jestem skuty łańcuchem! To ta menda mnie zakuła! Tylko kiedy? Może straciłem przytomność w katedrze? Tak!” Przypominam sobie, agresja pochłonęła mnie bez reszty, za bardzo oddałem*

*się kopniakom. Czyli wygrał. „A niech to! Muszę uważać, nie panikować! Grunt to zachować spokój. Wykorzystać każdą możliwą okazję do eksploracji nieznanych obszarów. Czy coś mi grozi? Nic! Przecież tu jestem nieśmiertelny, bólu też się nie boję. Żeby tylko nie stracić świadomości... Wszystko zapamiętam, a kiedy wrócę do ciała, to będę miał supermateriał". Właśnie takie myślenie dodaje mi sił.*

*Czuję, że drugi koniec łańcucha znajduje się gdzieś z tyłu i że tam ktoś jest. Odbieram wyraźny ident osoby. Sygnał tego kogoś biegnie po łańcuchu niczym kablem telefonicznym, tamten jakby chciał mi powiedzieć: „Trzymam cię na uwięzi, i co teraz?" Bez chwili zastanowienia odpowiadam przekleństwem, wysyłając po łańcuchu mentalną, zabarwianą agresją odpowiedź: „Gówno!" Wibracje-słowa płyną w dół. Chwila przerwy. Czuję jak ten ktoś odbiera moją myśl, mnoży ją swoją energią razy dziesięć i w mgnieniu oka ripostuje, puszczając do mnie skondensowaną odpowiedź. Łańcuch-link aż się trzęsie od tej odzywki. „A niech to!" Trzask, i uderza mnie w rękę potężna fala zimnych wibracji. Chwilę drżę jak w gorączce. „Jedno moje niewielkie przekleństwo tak go zasiliło?", zastanawiam się. „Co to za energia, która potrafi wzmacniać agresję? Wracać do ciała, czy kontynuować badanie?".*

*Czuję, że mam mały problemem. Mogę przerwać to doznanie, wystarczy parę obrotów w lewo i znajdę się w ciele. Jednak wiem, że później mogę tego żałować. Rzadko trafiam na tego typu energie, mam więc teraz dobrą okazję na ich poznanie. Szybka decyzja: „Zostaję. Będę uważnie obserwował". Czekam dłuższą chwilę. Nic się nie dzieje. Nadal czuję obecność złej siły na drugim końcu łańcucha, ale nikt mnie nie atakuje. Postanawiam się odwrócić. Powoli, ostrożnie wykonuję zwrot przez lewe ramię i w końcu kilkanaście metrów z tyłu poniżej mnie, dostrzegam spowitego purpurowo-czerwoną energią człowieka-świnię z rogami. Przyglądam mu się uważnie. Dziwne, że wyraża na to zgodę. Taki agresor i pozwala się obejrzeć? Trzask! Strzelił mnie lekko łańcuchem, jakby chciał powiedzieć: „Ja tu rządzę, patrz!"*

*Jest czerwony jak wieprz przypieczony na ruszcie. Twarz zmutowana. Ma cechy zarówno człowieka jak i prosiaka. Rogi niewielkie, wysunięte z czaszki na kilka centymetrów. Rozwiewa czerwień mgły i pre-*

*zentuje się, jakby chwaląc się swoją sylwetką. Spodziewałem się kopyt, a to stopy gada! Ogon gruby, wielki jak u dużego jaszczura. „Ale hybryda! Zaraz, zaraz! On ma kulę u nogi! Normalną, taką jakie kiedyś mieli przypięte więźniowie. Nie rozumiem...”. Wyraz oczu ma taki, jakby się dobrze wstawił alkoholem i nażarł na maksa. Usta uchylone, jest senny, pogrążony w płytkiej ekstazie. Obrzydliwy. Ale po co ta więzienna kula?*

*Nie boję się go. Kiedyś myślałem, że jeśli zobaczę demona, to się wystraszę na śmierć. Okazuje się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. To prawda. W ogóle odnoszę wrażenie, że moja wizyta była ściśle zaplanowana i po trosze jest kontrolowana przez kogoś z góry. Nie wyczuwam przy mnie Opiekunów. Jestem tu sam jak palec, jednak wiem, że gdzieś tam u góry Wyższa Siła wszystko widzi i jeśli coś pójdzie nie tak, natychmiast przyśle mi kogoś z pomocą. Koniec już tego oglądania. Jeszcze tylko mały eksperyment. Spróbuję mu przypieprzyć i zanim powróci riposta czmychnąć do ciała. Jeszcze nie kończę myśli, a już widzę jak demon się ożywia. Nie ma co go drażnić. Rezygnuję. Widać moja agresja go zasila. „Co to za bydlę? Kto go stworzył? Kto go uwięził?”*

Pach! Zamiana lokacji!

*Siedzę na najniższym stopniu schodów, pod stopami mam czerwony piasek. Mam na sobie skromną, białą szatę. Po prawej oparty ramieniem JEZUS. Siedzimy obok siebie jak starzy dobrzy przyjaciele. „Wiedziałem! Czułem, że gdzieś jest i wszystko kontroluje!” Uśmiecha się i nuci pod nosem. Melodia dobrze znana z kościoła, księdzoska intonacja:*

*…jaszczur miał ogon iii rooogiii….*
*…dostał kulę uuu nooogiii…*
*…aaameeen…*

*„No nie! Rozbroił mnie tą melodią!” Razem się śmiejemy. Po chwili JEZUS nadal się uśmiechając, pyta myślą:*

*„Chcesz zwiedzić piekło?”*

*Przestaję się śmiać. Sam nie wiem. Boje się trochę.*

*„Ale z Tobą?"*

*„Nie. Zaczekam tutaj".*

*„Bez Ciebie się boję. A będą czymś kusić? Będzie jakaś próba? A jak nie podołam i Cię zawiodę?"*

*„Przestań".*

*„Wybacz mi, ale nie tym razem. Czuję, że mam dość na dzisiaj. A czy mógłbym tylko zerknąć sondą? Nie sobą tylko oczami. Mentalnie, z daleka, żebym wiedział, czego się spodziewać. To doda mi odwagi…".*

*Kilkanaście metrów przed nami pojawia się diabeł. Stoi i pokazuje kierunek na lewo. Zapuszczam sondę. Widzę kolejnego diabła – wryty w ziemię jak drogowskaz, z uniesioną ręką tym razem skierowaną w prawo. I już przed oczami mam karczmę z drewnianych bali. Idę do niej. „Co jest?! Przeniosło mnie! Za słabo uważałem i wysunęło kotwicę!"*

*Przemieściłem się ściągnięty zmysłem wzroku, za którym podążyły inne zmysły! Moment nieuwagi, zagapienia i mentalka zamieniła się w normalną podróż. Może to i dobrze, bo sam bym się na to nie zdobył...*

*Nie jest źle. JEZUSA nie czuję przy sobie, jednak widzę Go w oddali, nadal siedzi na schodach. Czeka na mnie. To dodaje mi śmiałości. „Rozniosę to piekło!" Naciskam klamkę, drzwi skrzypią, wchodzę do pomieszczenia urządzonego w stylu dawnej karczmy. Za drewnianym, wielkim stołem siedzi stary diabeł. Podsuwa mi coś w rodzaju dużej, czarnej tablicy i mówi myślą:*

*„Przybij dłonią. Wyraź zgodę na wejście", po czym uchyla za sobą przestrzeń.*

*Widzę coś w rodzaju wielkiego kanionu spowitego czerwoną mgłą. Przyglądam się uważnie tablicy. „A co, jeśli to podstęp? Podpiszę jakiś cyrograf i zaprzedam duszę diabłom? Nie zaufam mu". Zresztą tablica wygląda mi na pułapkę... Jest brudna..., pokryta grubą warstwą czarnej substancji.*

*„To nie podstęp. Wymagania..", komunikuje oszczędnie, jakby stronił od słów.*

*„Dobra pokaż mi ją. Muszę się bliżej przyjrzeć".*

*„Kurde! Jakie to czarne!” Nie jest to ani smoła ani sadza, ale coś równie paskudnego, jakaś substancja do utrwalenia odcisku. Wiem, co zrobię. Zamykam się szczelnie, tak by nie przeciekła nawet najmniejsza myśl i szybko przechodzę do działania. „Już nikt nie wejdzie do tego zasranego piekła!” Chwytam tablicę i rozpierniczam ją diabłu na głowie. A ten jak gdyby nigdy nic wyciąga spod stołu drugą identyczną i pyta:*

*„Wchodzisz, czy nie?”*

*„Nie!”*

Budzę się w ciele. Stchórzyłem. Nie jestem taki chojrak, jak myślałem. „Może następnym razem, gdy nabiorę więcej odwagi...”. Sięgam po dyktafon i gadam pół godziny, zdając relację. Dobrze, że zrezygnowałem z prowadzenia pisanych dzienników. Notowanie zabrałoby mi cały dzień, a i tak pewnie bym wszystkiego nie zapisał. „Taka okazja...”. Trochę żałuję. Teraz myślę, że to nie był podstęp. Mogłem zwiedzić piekło. „...Zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał...”, jak oznajmia pismo... – tak mówi Ewangelia. „Czyli JEZUS był z odwiedzinami w piekle. Skoro mój Ukochany Nauczyciel tak postąpił, to i ja powinienem...”.

# 15
# Natrętni Przeszkadzacze

Anielska ochrona

Przydzielono mi sześciu, by czuwali nade mną,
We dnie i w nocy, bestie odganiając.
Kędzierzawo-rudych, skrzydlatych ochotników,
Spośród hufców Michała Anioła.

Jeśli już zacząłem opisywać obszar ciemnych energii i z deka zapaskudziłem przekaz, pragnąłbym poruszyć problem trzech charakterystycznych istot zamieszkujących ten rejon. Nie są tak czarne ja szatan z jego ekipą, ale z pewnością nie świecą na biało. Mają pośrednią barwę, powiedzmy że jest to szary grafit, nie więcej. Choć od pewnego czasu trzymają się ode mnie z daleka, wciąż je widzę w oddali. Natrafiam na nie w miarę regularnie. Ich środowisko to odległy skraj zewnętrznego pierścienia.

Już wyjaśniam.

Po wyjściu z ciała na daleką fazę, gdy astralne powietrze jest klarowne jak u nas przed burzą, i nie ma ani odrobiny mgły zakłócającej widoczność, można sięgnąć wzrokiem aż po horyzont. Wtedy oczom podróżnika ukazują się specyficzne energie. Trwają jakby w oczekiwaniu na coś bardzo ważnego. Ten fokus nazywa się „Zgromadzenie". W przeważającej części są to Jasne, Dobre Energie, jednak pośród nich jest niewielka grupa czerwonych. O nich właśnie opowiem. Ich środowisko, a właściwie poczekalnia, znajduje się wysoko w górze na odległych częstotliwościach. Jednak czasem zapuszczają swoje sondy do obszarów położonych niżej i z ukrycia próbują wywierać w nich swoje wpływy. Niekiedy włażą z brudnymi buciorami do naszych snów! Takie towarzystwo!

„Pora przedstawić waszą trójkę, bo a nuż któryś z podróżników na nich trafi. Po co ma przechodzić przez to co ja i niepotrzebnie bać się

was. Teraz będzie się śmiał i da sobie radę”. Zacznę od najciemniejszej, najbardziej perfidnej energii:

## Tornado DNA jako Ściskacz-Obkurczacz

Około godziny 23 postanowiłem położyć się do łóżka. Zwykle nie wychodzę z ciała o tej porze, bo wtedy trudno o fazę, a jeśli nawet się zdarzy, to bywa nieprzyjemna, płytka i muszę nieustanie walczyć o jej utrzymanie. Jednak tego wieczoru poczułem klimat do wyjścia. Rozpocząłem procedurę oddzielania się od ciała i już po krótkiej chwili znalazłem się w poza.

*Stoję w ciemnym pomieszczeniu. Naprzeciwko mnie widzę postać. Ni to facet, ni kobieta... Jest płaska jak gdyby wycięta z kartonu, ma tylko dwa wymiary. Rozszyfrowuję nieudolną projekcję. W końcu odzywa się do mnie:*

*„No i co teraz?”*

*Nie odpowiadam, tylko obserwuję. Wyczuwam niecne zamiary. Próbuję zbudować mentalny mur, ale nic z tego: istota odczytała moje myśli. Błyskawicznie, jakby machnięciem ręki, rozproszyła moją uwagę. „Kurcze! To kontroluje cudze myśli!” Wycofuję się. „Ooo! Nie mogę się poruszyć”. Ze wszystkich stron czuję narastające ciśnienie, otacza mnie jakaś niewidzialna energia i zaczyna ściskać. Poznaję ją. Kilka razy natrafiałem na ten byt. Nazwałem go wówczas „Ściskacz-Obkurczacz”. „Co za siła!” Nie mogę się jej przeciwstawić. Pozostaje mi tylko się poddać. Nie jestem w stanie nawet zawołać myślą o pomoc.*

*Przenosi mnie z fazą do obszaru przycielesnego. Obkurczacz wciąż mnie ściska, zawężając fazę. Czuję agresję nie do pokonania. Wracam do ciała. Nie mam najmniejszych szans.*

Biorę parę głębokich wdechów, wciągam powietrze w fizyczne płuca, przełamuję strach i wysyłam komunikat: „Chcę się z tobą spotkać i porozmawiać, proszę o dialog. Skupiam się na tej myśli i przesuwam fazę. Po chwili znów jestem w poza.

*Stoję vis a vis czegoś, co przypomina trzy gigantyczne, zachodzące na siebie hutnicze kominy rozszerzone u podstawy i u wylotu. Stykają się bokami, łagodnie scalone tworzą jedną część. Są przeolbrzymie: średnica ich podstawy ma dobre kilkaset metrów. Sięgają wysoko w niebo. Faza wybitnie daleka. Widzę wyraźnie aż po horyzont. W końcu dociera do mnie, że to nie kominy. To on! Ściskacz-Obkurczacz! Rozpoznaję jego ident. Tylko w tym fokusie tak wygląda. „Dobrze, że nie odrzucił mojego zaproszenia. Zaraz spróbuję go bliżej poznać…”.*

*Komin po lewej wibruje męskim pierwiastkiem, prawy żeńskim oba zachodzą na środkowy, który jest czymś pośrednim, obojnaczą fuzją. Biorę go na cel i podpływam bliżej. Faza przesuwa się o kolejną częstotliwość i na moich oczach gigantyczne kominy lewy i prawy wsuwają się do środkowego przemieniając go w tornadopodobną spiralę zbudowaną z niezliczonej liczby białych kul nawleczonych na rurowy kanał. Pnąca się ku górze struktura przeogromnych rozmiarów przypomina wzór DNA. „Co za cholerstwo!?” To Coś składa się z tysięcy bytów połączonych spiralnym kanałem. Odczytuję, że białe kule to istoty. Jedna z nich wylatuje z tego monstrum i zaczyna się do mnie zbliżać. Po chwil dochodzi do szybkiej wymiany myśli…*

W wolnym tłumaczeniu, pomijając niektóre szczegóły (a i nie pamiętając wszystkich, bo nie sposób), dialog brzmiał mniej więcej tak:

*„Trafne określenie. Jestem wznoszącą się nieskończoną spiralą istot”.*

*„To ty mnie tak skurczałaś?”*

*„Podobało ci się?”*

*„Nie bardzo”.*

*„Chcesz się do mnie przyłączyć? Zobacz jaka jestem wielka i silna! Jest nas wielu!”*

*„Nie dziękuję. Wolę być tu, gdzie jestem”.*

*„Skoro nie chcesz...”*

*„Odczytuję, że byłaś człowiekiem. Rozmawiasz jak człowiek”.*

*„Tak. Byłam. Dawno temu. Teraz jestem wielka”.*

*„I ego też ci urosło”.*

*„Bo jestem jak Bóg wielka!”*

*„OK. Nie będę ci przeszkadzał w twojej doskonałości. Pnij się w górę pod samo niebo. Widzę, że brakuje ci czegoś tam na samej górze, nie jesteś skończona”.*

*„Tak. To wolne miejsca. Przyłączysz się? Staniemy się jednym”.*

*„Nie. Nie podążasz tą drogą, co ja. Jesteś dla mnie, mówiąc delikatnie, niewłaściwą energią. Coś mnie od ciebie odpycha. Czy te białe kule to ludzie?”*

*„Miedzy innymi. Wszyscy przyłączeni z własnej woli”.*

*„Nie ukradłaś ich lub jakoś omamiłaś?”*

*„Nie... To głównie bezosobowościowcy. Niewiedzący, co ze sobą zrobić, dokąd podążać. Wyłapuję ich i daję propozycję przyłączenia się do grona. Gdy urośniemy odpowiednio…”.*

*„Czy mogą w każdej chwili odejść od kupy?”*

*„Oczywiście. Nie ma przymusu, ale jak widzisz, nikt nie odchodzi”.*

*„Będziesz mnie jeszcze niepokoić w obszarze przycielesnym i obkurczać?”*

*„Stałeś się dla mnie mniej atrakcyjny, ale będę przypominać o sobie od czasu do czasu”.*

*„Po co to robisz?”*

*„Zabawna demonstracja wielkości”.*

*„Czuję jednak, że tylko w obszarze przycielesny jesteś taka mocna. Dlaczego tutaj mnie nie obkurczasz, w tym fokusie?”*

*„W niższych jest więcej odkształcalnej energii do manipulacji…”.*

*„Dziękuję za spotkanie. Faza mi się kończy. Nie odprowadzaj”.*

*„Boisz się mnie, prawda? Jak będziesz chciał się przyłączyć…”.*

Ładna zbiorowość, nie ma co... Mówi się, że niegrzecznie jest oceniać innych. A grzecznie jest tak ściskać i przeszkadzać w wychodzeniu, manipulować innymi? A ładnie to tak się puszyć i lansować na Boga? Przywłaszczać sobie świadomości? Niby z własnej woli... Akurat! Ocena sama ciśnie mi się na usta i nie mam zamiaru powstrzymywać się przed stwierdzeniem, że to była zła energia. Wielki wyłapywacz jaźni. Przeszkadzacz i despotyczny pseudobóg.

## Gwiezdny Habitowiec jako Cofacz

*Budzę się w nocy na polanie wśród niezliczonej rzeszy pogrążonych w głębokim śnie ludzi. Wstaję i nie wierzę w to, co widzę: jak okiem sięgnąć, na trawie leżą ciała poukładane jedno obok drugiego niczym śledzie. Z trudem mogę utrzymać świadomość. Strasznie morzy mnie sen. Coś mi podpowiada, żebym zerknął w górę. Na nocnym niebie zamiast gwiazd dostrzegam niepoliczalną liczbę wielokolorowych świetlnych punktów. Są duże i małe, w skupiskach, jak i pojedyncze, świecą na biało oraz innymi kolorami. Poruszają się w różnych kierunkach. Całe niebo tętni życiem przemieszczających się energii. Są podobne do gwiazd, ale wiem, że nie są to żadne ciała niebieskie tylko żywe istoty. Co za widok! Chcę lecieć do nich i zbadać to zjawisko, ale nie mogę. W tym ciele jestem za ciężki. Pozostaje mi tylko patrzeć. W oddali widzę wczorajszą Spiralę DNA. Wiem, że to ona. Z tej odległości też rozpoznaję ten ident. Jej kule są czerwone. Czy to kolor agresywnej siły? Za dnia przecież były białe…Widzę skupiska istot tak wielkie jak Droga Mleczna, gwiazdy lecące w szyku, ułożone w płaskie geometryczne figury, coś w rodzaju komet ze świetlistym warkoczem, niebieskawe mgiełki, neonowożółte poświaty. Wiem, że to wszystko to żywe, Świadome Energie…*

*Nade mną nie ma sklepienia niebieskiego, jest za to przeogromna przestrzeń, sięgający w górę, niekończący się kosmos usiany niezliczoną ilością Istnień. Nazwa tego odległego fokusa sama ciśnie się na usta: to „Zgromadzenie". Wielkie skupisko gapiów oczekujących na…*

*W oddali zza linii horyzontu wyłania się wielka Postać, ułożony z gwiazd wizerunek człowieka w kapturze. Gigantyczny gwiazdozbiór zbliża się i w odległości kilkuset metrów ode mnie materializuje się, przybierając postać przeogromnego mnicha w habicie. „Co jest grane?" Nachyla się nad leżącymi ciałami i wypatruje. Po chwili dotyka raz tego, raz tamtego. Kogo sobie upatrzył, ten znika. „On ich cofa do fizycznych ciał!", wpada mi do głowy.*

*– Hej! Co robisz? Ja nie śpię! Mam świadomość! Wszystko zapamiętam!*

*O! Następny się budzi.*

*– Ja to ćwiczę. Pochłania mi to dużo energii. Nie rób tego!*

*– To mój przydział, zajęcie.*

*– Poczekaj chwilę. Porozmawiajmy. Proszę. Czy byłeś człowiekiem?*

*– ...*

*– Dlaczego milczysz? Powiedz, czy byłeś?*

*– Nie.*

*– To jakim prawem to robisz?!*

*– Zostałem przydzielony.*

*I zimna energia dalej jak robot czyni swoją powinność. Stróżuje, by nikt nie otworzył oczu...*

Choć na pierwszy rzut oka istota może się wydawać nieagresywna, a nawet neutralna, to czy takie postępowanie widziane z perspektywy podróżnika jest właściwe? Na pewno nie. Wyjść z ciała to nie bułka z masłem. Taki Cofacz stanowi niezłą przeszkodę. Kim dokładnie jest i kto go wysłał? Wsadzam go do szuflady i opieczętowuję, nadając mu miano „złej przeszkadzajki”.

## Mumino-Słoń jako Podglądacz

*Wychodzę z obszaru przycielesnego na głęboką, nocną fazę. Zerkam w lewo i w prawo. Znów rzędy śpiących ciał. W górze gwiaździste niebo Świetlistych Istot. Jedna, złożona z trzech czerwonych kul różnej wielkości obniża pułap i wypuszcza coś w rodzaju jasnoczerwonej mgły. Odczytuję to jako kamuflaż. Energia nie chce być dostrzeżona. Postanawiam użyć fortelu: kładę się z powrotem w obszarze przycielesnym, wygaszam ident, udaję, że śpię. Zastygam w bezruchu, staram się nie myśleć, aby maksymalnie zamaskować świadomość i nie emitować siebie na zewnątrz. Unikam nawet kontaktu wzrokowego. Wciąż mam ich w polu widzenia, ale nie patrzę bezpośrednio w ich stronę. Kątem oka dostrzegam, że zaczynają odsłaniać chmurę! „Dali się nabrać! Przybliżają się! Ależ są blisko!” Dzieli nas zaledwie kilkadziesiąt metrów, wysokość bloku, nie więcej. Znów wypuścili zasłonę dymną. Widać wyczuli moje podniecenie. Czekają... „Co oni tu robią? Po co przyszli?” Po-*

*woli zaczyna narastać we mnie złość. Wkurza mnie coś, czego nie rozumiem. „Co to za zabawa w ciuciubabkę? Faza zaraz mi się skończy i niczego się nie dowiem. A niech to! Zaryzykuję. Żeby tylko nie zdążyli uciec!" Zrywam się na równe nogi i krzyczę:*

*– Stać! Nie ruszać się!*

*Potem daję potężnego susa w ich stronę. Krótki lot, szarpnięcie jakbym się od czegoś odczepił i już jestem przy nich. Trzy czerwone wirujące kule. Jak nic bije od nich świadomość! „To są jakieś istoty!" Bez chwili namysłu chwytam jedną – najmniejszą – i wciskam sobie pod pachę. Kula jest wielkości piłki do koszykówki. Jeśli to zła energia, to będę miał z nią mniejszy problem niż z większą. Tamci nie reagują. Są chyba w szoku, zamarli. Nie atakują, czyli nie jest tak źle. To ja jestem w tej chwili agresorem. Trudno, wolę tak, niż gdyby było odwrotnie. Nagle olśniewa mnie odkrywcza myśl. Wpadam na pomysł, by zejść z kulą na ziemię. Bez chwili namysłu obniżam pułap. Łatwiej opadać, niż się wznosić. Może zachowuję się jak furiat, ale to tylko mi pomaga. „Dość tej bierności! Muszę wiedzieć! Jeśli nikt nie chce mi powiedzieć, o co tu chodzi, to sam się dowiem". Mam plan!*

*Zbliżamy się do ziemi, i nagle na moich oczach, kilkanaście metrów od powierzchni, czerwona kula świadomości z lekka przygasa i formuje się w kosmiczne stworzenie. Wiedziałem! Wejście na niższą częstotliwość narzuca nieuchronnie wygląd! „No pokaż tą swoja mordę!"*

*Stworzenie przypomina krzyżówkę świni ze słoniem z domieszką muminka. Ident ma niewyraźny, ale udaje mi się zobaczyć rysy twarzy. Ni to trąba, ni to nos, duże liściaste uszy, oczka jak u kreta zapadnięte w pucołowatej mordce. Obniżamy się o dalsze kilka metrów, jesteśmy tuż przy powierzchni ziemi. Pojawia się tułów z dziwacznymi jakby uformowanymi z surowego ciasta kończynami. Dotykamy gruntu. Pach! I w jednej chwili mumino-słoń przyjmuje ludzką formę. „Tego to już za wiele!" Zmienia się w... motocyklistę w czarnej skórze z kaskiem na głowie! „Ożeż ty!" Wypuszczam dziada spod pachy i daję krok w tył. „Czyli zetknięcie się z powierzchnią ziemi automatycznie narzuca wygląd... Jakby astralny grunt (jego energia), wrzucała przybysza na odpowiednią fazę i odziewała pasującą powłoką! Co za odkrycie! Ale dla-*

*czego ten gość ma kask? Znów zakrywa ident? Zdejmę mu go!" Teraz obcy stoi jak wryty. Widać, że szok mu jeszcze nie minął. Cyk! Jeden mocniejszy mentalny ruch i zrywam kask z istoty. To człowiek. Ma jak najbardziej ludzką twarz. Tylko te oczy..., jak u złodzieja, jakby miał coś na sumieniu. Może dlatego, że kolor jego rdzennej energii jest czerwony, niefizyczny plan przydzielił mu takie a nie inne spojrzenie?*

*Przybysz ma w sobie coś odpychającego. Podobne spojrzenie mają diabły, ale to nie jest przecież żaden diabeł tylko obcy. A może diabły to właśnie negatywni obcy? Tyle, że ten nie ma rogów. A co jeśli rogi pojawiają się dopiero na niższej fazie. Coś mi mówi, że właśnie tak jest. „Trzeba by było go zaciągnąć w dół i sprawdzić. Gdzie tu są jakieś schody, uskok...". Ni stąd ni zowąd zjawiają się dwaj bardzo podobni do niego kolesie. Od razu rozpoznaję ich identy i natychmiast kojarzę. To ci sami, którzy byli z nim ukryci w czerwonej chmurze. Stają murem i dają do zrozumienia, żebym już odpuścił. Faza i tak ma się ku końcowi, więc nie protestuję.*

*Już mam wracać do ciała, gdy nagle z mojego tułowia, niczym odklejając się ode mnie, wylatuje kopia mnie! Najnormalniej w świecie wychodzi ze mnie drugi ja! Stoję jak wryty! Ten inny ja-aspekt, energicznie gestykuluje i, pokazując palcem na jednego z obcych, skarży się:*

*– To on! To ten! Rozpoznaję go! Wczoraj przyszedł do pokoju, chował się za szafę i gapił się! To podglądacz! Zasrany obserwator!*

Lekko zszokowany ląduję w ciele. „Co to było? Co to za istoty? Aż aspekt ze mnie wyleciał!" Żałuję, że nie zaciągnąłem jednego z nich na niższą fazę, może wtedy dowiedziałbym się czegoś więcej. W sumie nic złego mi nie zrobili, to raczej ja wystraszyłem ich. Tylko po co obserwują? Nie przepadam za inwigilacją. Niech spoczną na dnie szuflady z podpisem: neutralni podglądacze.

To już cała niesławna trójka istot. Jest ich więcej, ale te typy są najbardziej charakterystyczne: Ściskacz, Spychacz i Podglądacz. Jak się przed nimi uchronić? W pewnym sensie już jesteś chroniony, gdyż wiesz o ich obecności i dlatego już nie będziesz dla nich tak atrakcyj-

ny jak wcześniej. Manipulatorzy dotąd wywierają swe wpływy, dopóki człowiek nie jest ich świadom. W nieświadomości ich siła. Jeśli jesteś trochę zaawansowany w astralnych podróżach (choć z tego, co mi wiadomo, a nad czym ubolewam, nadal jest niewiele takich osób), to możesz się z nimi spotkać i zweryfikować to, o czym mówię. Jednak jeśli nie chcesz mieć z nimi kontaktu, wychodź z ciała „po cichu", nie szum tak myślami, panuj nad nimi, wyciszaj je. Przyciągają ich przede wszystkim głośne, rozproszone myśli. Natomiast myśl ukierunkowana i zabarwiona pozytywną energią jest dla nich niesłyszalna. Na przykład kiedy ja wychodzę, myślę o..., no o kim? Zgadnij. Oczywiście, że o Nim – o Ukochanym JEZUSIKU. Pomaga na wszystko! Bardzo podnosi wibracje!

# 16
# Epoka Lipca

Epoka klapsa

Skąd ta moda, skąd ta fala?
Wszyscy oczekują końca świata...
Dlaczego tak jest? Po co to komu?
Bo każdy skrycie nienawidzi systemu!

*Zawisam w bezkresnym kosmosie. W oddali dostrzegam glob Ziemi. Za chwilę zobaczę coś, co pozwoli mi na uzyskanie większego wglądu w to, co się obecnie dzieje na naszej planecie.*

*Po lewej z czarnej przestrzeni, otchłani wielkiej jak Droga Mleczna, w której wydawałoby się, że prócz nicości niczego nie ma, pojawia się Ciemny Wiatr. Wirowym ruchem powietrznej trąby gna w kierunku Ziemi. Przystaje niedaleko mnie i materializuje się jako hybryda diabła i Hitlera. Wypisz wymaluj Adolf, tyle że z doprawionymi krowimi rogami, racicami i ogonem. Wygląda groteskowo, ale też trochę strasznie. Odwraca się do mnie plecami i komunikuje niewerbalnie:*

*„Już mnie zobaczyłeś, więc teraz patrz, czym się zajmuję".*

*I zaczyna wysyłać w stronę Ziemi lej z czymś w rodzaju smoły. Kleista, czarna substancja osadza się na wirującym globie i po chwili zostaje on cały zalepiony. Z pięknej niebieskiej planety robi się czarna kula smoły. Diabło-Hitler nie odchodzi. Nadal trzyma w ręku maź i wciąż zasila tą energią Ziemię. Planeta niczym olbrzymi motek włóczki nakręca na siebie kolejne warstwy diabelskiej energii.*

*Gdy to się dzieje, po prawej z bezkresu kosmosu zaczyna się wyłaniać mlecznobiała mgła a razem z nią Świetlista Postać Starca w białej szacie ze złotym kosturem. Długie, białe jak śnieg włosy, broda po pas, dobrotliwe, łagodne ojcowskie spojrzenie. Porównanie go do Gandalfa z „Władcy Pierścienie" było by zbyt dalece idącym uproszczeniem.*

*Lecz trochę podobny jest. Nie uśmiecha się, ale też nie smuci, jak gdyby to, co za chwilę zrobi, było rutyną. Nie raz już to robił we wszechświecie. Takie są koleje ewolucji. Pochyla kostur w stronę osmolonego globu i wysyła promień białej jak śnieg Świetlistej Boskiej Energii. Czarna smoła natychmiast zmienia barwę na jasnoszarą, z każdym obrotem Ziemia nabiera coraz więcej bieli. W pierwszej chwili dochodzi do fuzji obu kolorów, aż w końcu po kilku obrotach planeta staje się biała. Nawet nie jest już niebieska tylko właśnie śnieżnobiała...*

Taki los czeka Ziemię i nas. Odwieczna walka dobra ze złem, Czarnej Energii z Białą, gdzie w ostatecznym rozrachunku Boskość bierze górę nad Otchłanią. Czy to nie cudowna nowina? Lepszych informacji nie mogłem zdobyć!

Ostatnio po wyjściu z ciała nie mogąc się doczekać tej chwili, zapytałem JEZUSA, kiedy to nastąpi, kiedy skończy się proces oczyszczania, bo na razie nic nie dostrzegam, świat jest taki, jaki był. JEZUS odpowiedział żartobliwie:

*„Nie bądź taki przyszłościowiec”.*

A gdy go zapytałem, czy czeka nas apokalipsa, o której pisał św. Jan, odparł enigmatycznie z humorem:

*„Apokalipsa?*
*EPOKA LIPCA!”*

I dodał niewerbalnie, że nastąpi epoka wiecznego lata, w sensie dobra i światła, i żebym się nie martwił i dłużej nie zaprzątał sobie tym głowy.

Nie dawało to mi jednak spokoju. Siedzi gdzieś we mnie głęboko ukryty strach przed globalną katastrofą. Może to za sprawą hollywoodzkich filmów? Czasem ktoś mi wciśnie jakiś film, żebym go sobie kończenie obejrzał, „bo fajny”. No to oglądam i, chcąc nie chcąc, ładuję sobie do głowy obcy program, sensację wykreowaną lękiem reżysera. Potem mi to zostaje...

Nie zwracając uwagi na swoją upierdliwość (uważam, że jest to cecha jak każda inna, a dociekliwy człowiek z żyłką reporterską musi ją posiadać), postanowiłem przy okazji kolejnego spotkania z JEZUSEM poprosić go o rotę dotyczącą nadchodzących zmian. Gdy tylko wyfazowałem się z ciała, podpłynęła do mnie złota skrzynia z drukowanym białym napisem „EPOKA LIPCA". Otworzyłem ją bez namysłu:

*Widzę miejsce, które najbardziej przypomina aulę wykładową. Dominują dwa kolory: biały i zieleń sali chirurgicznej. W środku nie ma żywej duszy, jestem tylko ja jako obserwator, który przybył z wizytą. Wszystko przygotowane i zapięte na ostatni guzik. Takie odnoszę wrażenie. Miejsce czeka na ludzi. Nie mam pojęcia, czy znalazłem się w budynku czy w środku statku powietrznego. Nie ma tu kątów, pomieszczenie jest owalne. Domy na ogół są kanciaste, ten zaś, jeśli nim jest, ma kształt kolisty. Nade mną zamiast sufitu dostrzegam atrium (dobrze mi znane z innej roty). Przez przeszkloną kopułę widzę błękitne niebo. Jeśli to jest wnętrze budynku, to z pewnością bardzo wysokiego... Znajduję się chyba na ostatnim piętrze.*

*U góry po lewej znajduje się wielki falisty balkon przypominający takie, jakie są w nowoczesnych kościołach, tyle że z siedzeniami jak w kinie. Identyczne fotele widzę na dole: biało-zielone, ustawione ciasno jeden przy drugim, tak aby w gmachu zmieściło się jak najwięcej osób. Na środku, niczym w amfiteatrze, przygotowano miejsce dla wykładowcy. Zerkam przez atrium na lazur nieba. Mam wrażenie, że za chwilę Ktoś zstąpi do sali, by rozpocząć wykład o czymś Niezmiernie Dobrym...*

Jedno jest pewne – nadchodzi Epoka Zmian. Nie da się temu zaprzeczyć. Kiedy zobaczymy jej spektakularne owoce? BÓG raczy wiedzieć... Póki co, za oknem mam to samo co wczoraj. Jeśli proces przemian przyjmie formę rewolucji, to na pewno zmiany dostrzeże jeszcze nasze pokolenie. Jednak jeśli to będzie tylko ewolucja, to niekoniecznie. Czuję w kościach, że raczej nastąpi to pierwsze, choć nie chciałbym wyciągać zbyt pochopnych wniosków, bo mogę się mylić. Nieje-

den wyszedł na idiotę, oznajmiając światu, że tego a tego dnia nastąpi Koniec Świata. Data zmienia się, a gość zapada się ze wstydu pod ziemię, ewentualnie, przekłada termin kataklizmu, wciskając ludziom kit, że czegoś tam nie wziął pod uwagę i dlatego źle wyliczył.

Gdyby sam BÓG mi powiedział, kiedy dokładnie nastąpi gwałtowna zmiana lub koniec, powtórzyłbym to bez wahania. Idąc za przykładem naszych wybitnych polityków, na pytanie: „Kiedy to nastąpi?", odpowiadam: „Nie mam wiedzy na ten temat".

Biorąc pod uwagę, że postęp w ewolucji wykazuje tendencję do przyspieszania i to niekiedy z prędkością logarytmu dziesiętnego (przykładowo przez cały XX wiek dokonano tylu odkryć, nastąpiło tyle wydarzeń, ile miało miejsce przez poprzednie dziesięć wieków), można przypuszczać, że „Epoka Lipca" nadejdzie dość szybko. Może nie będzie to rewolucja, a jedynie przyspieszona ewolucja? Taki Boski Zastrzyk, pozytywny kopniak, który przesunie nas w rozwoju o parę wieków. Są to jednak tylko dywagacje lewej półkuli mózgu, teoretyzowanie. Nie ma to jak informacja z pewnego źródła, prosto z poza. Aż mnie skręca w środku, że nic więcej nie wiem o tych zmianach.

# 17

# Znaki na Niebie

Pięć krzyży

I widziałem pięciu – na krzyżach wisieli,
W ramiennym szyku jak gwiazdy na niebie.
Na przedzie wisiał On – JEZUS Nazarejczyk,
Po bokach my – Jessego korzenie.

Ktoś kiedyś powiedział..., nie wiem, czy to nie było w Biblii.... Wstyd się przyznać, ale nie znam za dobrze Pisma Świętego. Coś mi podpowiada, że aby zachować świeżość przekazu, nie jest wskazane, abym zaczął studiować Boży Testament. A no tak! Dobrze powiedziałem. Nie czytając Biblii, nie studiując jej wnikliwie, zachowuję świeżość przekazu, nie ulegam podświadomym wpływom pisanego słowa, ani też nie nakręcam się na nie wiadomo jaką świętobliwość, tylko zachowuję obiektywizm i normalność. Tak to czuję. Nie powinienem przynajmniej na razie zaglądać do Pisma Świętego. Za jakiś czas może zajrzę, by coś zweryfikować, ale teraz nie. Póki mam, że się tak wyrażę „religijne wyjścia" lepiej nie ulegać wpływom pisanego słowa. A korci mnie strasznie. Zagmatwane to, nieprawdaż? Człowiek pragnie, ale i się wzbrania, ciekawe która cześć w końcu weźmie górę... Czytać, czy nie czytać Biblii...

Ktoś napisał, w Biblii to było, że „będą znaki na niebie...". Otóż, jakby to powiedzieć..., widziałem je. Daję głowę, że to były one! Gdy tylko je zobaczyłem, wiedziałem, że to owe słynne znaki. Całe niebo usiane świetlistymi, niczym ze złotego fosforu, napisami, znakami i matematycznymi symbolami, wielkimi i małymi krzyżami, krzyżykami przekręconymi jak iksy, sigmami, omegami, i BÓG raczy wiedzieć jakimi jeszcze. Większość z nich była mi kompletnie obca.

Tamten widok utkwił mi głęboko w pamięci, zresztą nie było to aż tak dawno temu, zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Gdzie to widzia-

łem? Niestety, nie w fizycznej rzeczywistości, nad czym bardzo ubolewam. Bardzo blisko niej, ale jednak..: w poza – w płytkim obszarze przycielesnym. Miałem wtedy wizję przy zamkniętych oczach fizycznych a otwartych niefizycznych. Ilekroć przypomnę sobie o niej, zerkam w niebo w nadziei, że ujrzę tamte znaki w realu, jednak do tej pory nie zobaczyłem nic niezwykłego. Jedyne krzyże jakie czasem widać na niebie, to przecinające się ślady smug pozostawianych przez odrzutowce.

Co to były za symbole, dowiedziałem się wczoraj, gdy wpisałem w przeglądarce imię, które zostało mi w głowie po obudzeniu – brzmiało: „JESZUA". To imię Naszego MESJASZA. Nuciłem je potem przez pół dnia niczym letni przebój. Gdy je wklepałem, po kilku poszukujących kliknięciach natknąłem się na alfabet aramejski. To było to! Na niebie jako złote znaki widniały wyrazy utworzone z pojedynczych liter tego właśnie alfabetu! Te same fikuśne symbole!

Zastanawiam się, czy nie zrobić sobie koszulki w napisem „JEZUS", ale po staro-aramejsku, tak dla hecy i niepoznaki. Bo któż domyśli się, że to imię BOŻEGO SYNA? Jeśli napiszę po polsku, to będą mnie wytykać palcami jak czuba...

„A nich mnie! Kur zapiał...!" Właśnie przed chwilą, zanim skończyłem to zdanie, w głowie usłyszałem pianie koguta! Jak Boga kocham! W środku głowy słyszałem „ku-ku-ry-ku!" Przysięgam! Co się dzieje?! Czuję, że coś źle zrobiłem. Aaa... no tak! Teraz się zastanawiam, czy tego fragmentu nie wyciąć. „Niech zostanie. Muszę chwilę odsapnąć...".

Już jestem z powrotem. Spróbuję na chłodno przeanalizować, co się stało. Czytam raz jeszcze to, co jest u góry w akapicie od słów „zastanawiam się...". Najpierw czuję jakby lekkie dławienie w gardle, potem dyskomfort i po chwili... „Tym razem cisza..., nic nie pieje... Ja pierniczę! Zostawiam to!" Nich to będzie jako pieczęć przypomnienia o mojej niedoskonałości, o moim ciągłym wypieraniu się JEZUSA... Dużo jeszcze przede mną... „Przepraszam Cię JESZUA!"

Właściwie czego się boję? Wstydzę się. Boję się doświadczać wstydu, upokorzenia, ludzkich spojrzeń, jeszcze nie tak dawno podobnych

do moich, gdy patrzyłem na kogoś, kto afiszował się z symbolami religijnymi. Byłem nietolerancyjny, teraz sam się boję nietolerancji, trudności związanych z nową, odwróconą o 180 stopni drogą.

Imię „JEZUS" nie zdewaluowało się przez przeszło dwa tysiąclecia. Nadal posiada siłę mimo prób opluwania Go i profanowania. Cóż za mocne imię, cóż za mocny symbol?! Więc dlaczego nie przyłączyć się do tego Imienia, nie nosić Go na koszulce napisanego po polsku? Po co się kryć i wypierać? To tak jakby napisać „jestem Polakiem" po chińsku i chodzić dumnie po Berlinie. Może i złe to porównanie.

Kolejną wizję miałem nie tak dawno temu, przed paroma tygodniami. Przyszła zza kilku warstw fazy o różnej częstotliwości. Tak jakby ktoś wyciął w fakturze nieba... nie wiem, do diaska, jak to opisać...! Przypuśćmy, że biorę kilka grubych tektur, układam je jedną na drugiej. Każda z nich to inna częstotliwość poza – zbiór wielu fokusów ułożonych w stertę. Teraz niewidzialna ręka wycina ostrym laserem duży prostokątny otwór we wszystkich warstwach naraz. Właśnie przez taką dziurę w niebie miałem wizję. Co to oznacza? Że wizja choć w obszarze przycielesnym, w tak zwanej mentalce, dotyczyła bardzo odległej częstotliwości. Rzadko zdarza mi się przeżyć coś takiego. Na ogół wychodzę z ciała całym sobą (nie tylko zmysłem wzroku), przedzieram się przez kolejne warstwy fokusów i ląduję na określonym pierścieniu. A tu będąc prawie w ciele, miałem wgląd.

*Po lewej i prawej stronie wyciętego w niebie wielkiego, prostokątnego otworu stoją dwie olbrzymie postacie. Nie muszą się przedstawiać. Mają to wypisane na sobie. Wydrukowane złotą czcionką nieskończenie długie nazwy oplatają ich monumentalne sylwetki. Imion nie sposób ich powtórzyć. Choć wydają mi się znajome, nie pamiętam, gdzie mogłem je usłyszeć. W pamięci odnajduję tylko jeden człon: „Jonasz". To On, a ściślej mówiąc jeden z jego aspektów, właśnie tak ma na imię.*

*Obie postacie, jak odczytuję, są prorokami. Mówią coś do mnie. Głos każdej z nich brzmi jak chór. Wsłuchuję się uważnie i otwieram najmocniej, jak tylko potrafię. Mówią coś o nadchodzących zmianach,*

*że „to nieuchronne", i „było zapisane od początku w Księgach...". Odruchowo wytężam umysł, czy aby nie wspomną coś o jakiejś dacie...*

*Nagle głośno i wyraźnie, tak, żebym z łatwością zapamiętał, pada:*

*... – Chciałeś zobaczyć...*

*...Patrz...*

*Wtedy jeden z jednej, a drugi z drugiej strony zaczynają mocniej rozdzierać otwór w „stercie" częstotliwości. Prostokątna zasłona niebios rozsuwa się i po chwili widzę wielki czerwony księżyc. Przyglądam mu się uważnie. Wygląda dziwnie... Na jego powierzchni jest mnóstwo kraterów. O ile się nie mylę, to na Księżycu w realnym świecie nie ma ich aż tyle i nie są tak wielkie. Tu niektóre przypominają olbrzymie wygasłe wulkany. No i sam satelita Ziemi ma przecież inny rozmiar..., a to „coś" jest dziesięć razy większe od zachodzącego słońca! Rdzawo-bordowa czerwień też mi jakoś nie pasuje. „To nie „nasz" księżyc". Szukam na nim jakichś istot. Nikogo nie dostrzegam. Planeta (lub raczej wielka planetoida) jest martwa...*

Nie zamierzam komentować tej wizji, choć słowa same mi się cisną na język. Dodam tylko, że pod koniec powiało niezłą grozą. Ale skoro nie ma to być apokalipsa, a tylko „Epoka Lipca", to czego się bać? Kiedy to nastąpi? BÓG raczy wiedzieć. Jedno jest pewne, że się wydarzy, bo tak zostało zapisane na samym początku... Co nastąpi i w jakiej formie? Nie mam pojęcia.

*Budzę się w sypialni. W rogu pokoju stoi Gabriel. Za plecami trzyma, jakby starał się dyskretnie ukryć, czerwone, okrągłe, duże jak koło od ciężarówki coś. Wychylam się, jak mogę, by zerknąć, co to takiego. Anioł chyba nie spodziewał się mojego nagłego przebudzenia, bo robi kwaśną minę i bez słów, jak to On, kręci głową na „Nie", zasłaniając jednocześnie przedmiot. Najwyraźniej spartoliłem mu robotę, budząc się w niewłaściwym momencie. Anioł wydaję się trochę zmieszany. „Fajnie!" Cieszy mnie to, bo uświadamiam sobie, że ja jako zwykły człowiek też mam coś do powiedzenia. Wiem, nieraz zachowuję się tro-*

*chę nieprzyzwoicie, ale co mi tam, czy mam coś do stracenia? Jestem po prostu chorobliwie ciekawy wszystkiego i tyle. „Co On tam chowa? Co to jest?”*

*Substancja ma konsystencję gumy lub bardziej galarety, to wielki, okrągły bieżnik koloru czerwonej krwi. Zauważam na nim symbole.*

*– Hej, Gabrielu, przesuń się trochę, odsłoń! Co to jest?*

*„A niech to! To przecież pieczęć!”*

# 18
# Galilejszuk

44 tysiące

Szybko decyduj po czyjej stronie jesteś,
Anioł we śnie stawia już pieczęcie.
144 tysiące opieczętowanych,
Jak BOGA ubłagasz, może więcej nas będzie.

Czerwcowy poranek. Wczesna godzina a już skwar, parno jak w tropikach. Mam okno skierowane na północ, lecz wpadające przez nie światło i tak zdołało już wypełnić cały pokój. W takich warunkach ciężko wyjść z ciała, trudno o głęboki relaks. „Może zainstalować klimę? Dużo by mi pomogła... Wczoraj było podobnie, przedwczoraj też. Co za lato!” Statystyczna liczba wyjść nieuchronnie się zmniejsza, za to moja frustracja narasta. Nie czuję się za dobrze bez wychodzenia, obe jest dla mnie jak tlen. Przydałaby się chociaż jakaś wizja... Wiadomo jednak, że wolałbym wyjść. Nie ma lepszego urlopu dla starego Ziemianina, jak chwila na odsapnięcie w poza.

„Wizja, wizja..., postarać się choćby o wizję”. Dobra byłaby i mentalka! Lepsze to niż nic! Biorę kilka głębokich oddechów parnego powietrza, relaksuję się, skupiam i otwieram umysł... Jasna nicość pod zamkniętymi powiekami nabiera przestrzeni. Fizyczne oczy wyłączają się...

*Na tle Świetlistego Krążka widzę Złotego Gołębia. Jego ident aż grzmi – to Duch Święty bez dwóch zdań! W dziobie trzyma białe pióro. Siada mi na ramieniu i bez słów mówi:*

*„...Pisz, masz moje wsparcie...”*

Otwieram oczy. „Mam wykorzystać upalne poranki do pisania?” Czemu nie. Skoro i tak trudno o wyjście, to przynajmniej w użyteczny sposób zagospodaruję czas. Włączam komputer i notuję:

„GALILEJSZUK. Nieistniejące na fizycznym planie Miasto JEZUSOWE. Owiane tajemnicą nawet w Ducha Świecie. Piękna gama wymieszanych kultur. Każda Jaźń znajdzie tu coś dla siebie...”.

Pierwszy raz natrafiłem na to miejsce, jak to często u mnie bywa, przez przypadek, no i nie ukrywajmy – dzięki odrobinie uporu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zaprowadziły mnie tam myśli czy może wibracje rdzennego ja. Byłem w Galilejszuk do tej pory jeszcze kilkanaście razy (oczywiście liczą się w pełni świadome wizyty; półświadomych, mglistych wypraw i pobytów nie biorę pod uwagę). To niewiele, ale i tak sporo się dowiedziałem.

Gdzie jest to miejsce? Rozciąga się w szerokim paśmie częstotliwości niefizycznego świata – od bliskich obszarów przycielesnych, gdzie śniący rezydenci zazębiają niejako swoje OSPUO’a o jego skraje. Zupełnie nieświadomie wbudowują swoje przedsionki sennych lokacji w mury miasta, w ściany kamienic, tworząc tym samym podświadome przejścia, kanały łączące.

Jak to wygląda z punktu widzenia człowieka będącego we śnie? Wyobraź sobie, że śnisz we własnym pokoju, bo tak zwykle bywa, otwierasz drzwi na balkon, a tam zamiast znanego ci widoku znajdujesz właśnie to miejsce – Galilejszuk.

Spokojnie, powoli, zaraz je opiszę...

Tak wygląda dolna częstotliwość czyli przedproże – taka przybudówka senna. Zaś górny zakres częstotliwości? I tu niespodzianka: znajduje się za fokusem sławnego Parku! Uwierzycie?! Galilejszuk okala Park! Jest czymś wyższym niż poczekalnia Fokus 27! Natomiast skraj górnej częstotliwości galilejszukowego planu bezpośrednio przylega do... – pozostawiam to Tobie do odkrycia, przyjacielu. Czy po śmierci, czy po wyjściu... sam to odkryj. By ułatwić ci zadanie, opiszę to miasto. Jeśli tam zawitasz, to w samo południe nad głową na środku rynku COŚ ujrzysz. Będzie jak słońce w zenicie...

A teraz pozwól, że opiszę to Miasto.

Pierwsza rzecz jaka się rzuca w oczy to niespotykana wyrazistość. Miasto wygląda bardziej realnie niż fizyczny plan. Trudno to sobie wyobrazić. To tak, jakby w naszym świecie wszystko było mocniej oświe-

tlone i nie posiadało cienia. Żywe Kolory, każdy szczegół jest dopracowany z niesamowitą starannością i wprawia w zachwyt, nawet bruk na ulicy. Galilejszuk jarzy się kolorami, światłem jakby emanującym ze środka tekstury, przez co kontury przedmiotów tam występujących są mocniej podkreślone.

Miasto jest mieszaniną wielu stylów architektonicznych. Gdy w nim wylądowałem po raz pierwszy, natychmiast pojawiła się seria skojarzeń: „Co to za Praga?”, pomyślałem. „Nie, to nie Praga, raczej Rzym, no ale ten rynek..., wielki jak w Krakowie, tyle że zamiast sukiennic...”.

Gwałtowne cofnięcie do obszaru przycielesnego i w głowie usłyszałem donośny męski głos, który zakomunikował:

*„...Brawo! Odkryłeś nową lokację...”*

Tyle odkryłem za pierwszym razem. Dużo, prawda? Niewiele..., ale mając wyraźny ident miejsca i zachętę Narratora, można powalczyć o więcej. Hop-siup i już następnej nocy wylądowałem na rynku w Galilejszuk... Ależ skąd! Żeby to było takie proste... Wiele moich kolejnych prób zakończyło się fiaskiem. Z wyjściem mam mniejszy problem, natomiast gorzej jest z dostaniem się na wyższą częstotliwość. Faza i dostrojenie muszą być głębokie, bo w przeciwnym razie łazi się w kółko.

Pewnego razu wyszedłem z ciała i zacząłem wołać wniebogłosy, że chcę się tam dostać, że to mnie strasznie interesuje, i takie tam. Ktoś się zjawił? A w życiu! Nie poczułem nawet najsłabszego podmuchu Mocy MTJ-a za plecami. Zamiast tego, gdy się gwałtownie obejrzałem, bo byłem już nieźle wkurzony i moja cierpliwość się kończyła, zobaczyłem w teksturze astralnego planu wycięte coś, co przypominało hybrydę oka i kamery. Gdy tylko tamto mnie dostrzegło, natychmiast się odwróciło i zastygło w bezruchu. Fajnie to wyglądało: jakbym PANA BOGA przyłapał na podglądaniu. Mimo że to była tylko sonda, wyczułem wyraźnie bijący od niej Boski Ident. No mówię wam, niezłe jaja!

Czyli co? Krótka wskazówka, narobienie smaku, a potem... „radź sobie sam człowieku”? Samodzielność ponad wszystko, a doświadcze-

nie najlepszym nauczycielem? No to do boju! Im częściej będę próbował odnaleźć to miejsce, tym większe prawdopodobieństwo, że w końcu do niego trafię.

*Znajduję się vis a vis dobrze utrzymanej kamienicy, identycznej jakie można zobaczyć w Gdańsku. Strzelisty budynek przylega bocznymi ścianami do sąsiadujących, nieco niższych. Na frontowej ścianie znajdują się strome schody prowadzące ku otwartym drzwiom. Wszystko jest wyraźniejsze niż w realu, wręcz przytłaczająco rzeczywiste, jakby podrasowane świetlistą kreską i dodatkowymi kolorami. „To jest to miejsce! To jest ta lokacja! Ciekawe jak się nazywa? Na pewno ma jakąś nazwę", myślałem.*

*W drzwiach kamienicy dostrzegam niewyraźną kobiecą postać. Dlaczego jest zamazana, skoro wszystko dookoła niej jest takie rzeczywiste? „Idę, muszę się jej przyjrzeć z bliska, może się czegoś dowiem". Mam normalne ciało, takie jak fizyczne: bose stopy, krótkie spodenki, ale nie, jak zawsze, gatki, tylko dżinsowe szorty. Jestem ubrany w białą koszulę rozpiętą na piersi. „Ale czad! Czuję się jak na wakacyjnej randce!"*

*Staję w progu i, okazując grzeczność i dobre wychowanie, kłaniam się i przedstawiam. Kobieta, a ściślej: istota o kobiecych cechach (bo z tej odległości dostrzegam więcej), nie jest pełna, czegoś jej brakuje – przypomina ludzki aspekt. Nie odpowiada, tylko kurczy się w sobie, ale nie ze strachu, broń Boże. Wygląda to bardziej na nieudolny kamuflaż lub zamazywanie identu.*

*„Dlaczego się przede mną chowasz? Co tu robisz? Co to za miejsce?"*

*Istota powoli się otwiera, ale nadal milczy.*

*„Proszę. Bardzo mi zależy. Tyle energii mnie kosztuje próba dostania się tu. Chociaż ty nie rób mi zawodu, błagam…".*

*„Nie wolno mi z nikim rozmawiać. Mam zakaz".*

*„O! Odezwała się! To już jakiś sukces! I to w dodatku po ludzku: myślą, a nie głosem, ale jednak".*

*„Dlaczego jesteś inna? Płaska i niewyraźna? Coś mi podpowiada, że... Czy masz ciało, jak ja? No wiesz, fizyczne, tam na dole?"*

*„Nie…”.*

*„Tak myślałem! Umarłaś?”*

*„Yyy... yyy...”.*

*„W takim razie co tu robisz?”*

*„Przygotowania do inkarnacji…”.*

*„Który raz?”*

*„Pierwszy”.*

*„No co ty?! Ale numer! Więc dlatego jesteś taka niewyraźna! Wyglądasz jak płaski malunek. Pokaż się!”*

*Oglądam ją ze wszystkich stron. Jest jak witraż z kolorowej mgły, imitujący ludzką postać…*

*„Zaraz przyjdzie i się skończy...”, mówi istota, wysyłając kolejną myśl.*

*„Kto przyjdzie?”*

*„On”.*

*„Co za On? Ależ cię trzeba za język ciągnąć!”*

*„Wielki Nauczyciel...”.*

*Domyślam się, kto Nim jest. Wolę się jednak nie upewniać, bo coś mi mówi, że w takich okolicznościach wypowiedzenie Jego imienia może Go błyskawicznie przywołać, a wtedy cenne „przesłuchanie” dobiegnie końca. Czuję się trochę, jakbym coś kradł, ale mimo wszystko jestem taki ciekawy... Głód wiedzy jest nie do wytrzymania, zagłusza wszelką etykę. „Na pewno by się nie pogniewał...”, tłumaczę sobie. „Może jest i czuwa nad wszystkim, ale chyba zezwala na to, skoro to się dzieje. Niepotrzebnie robię sobie wyrzuty”.*

*„Z jakiej jesteś planety?”, dopytuję dalej. „Na pewno żyłaś gdzieś już we wszechświecie...”.*

*Istota szuka odpowiedniej nazwy, najpierw w sobie, potem we mnie. Otwieram się bardziej, by jej ułatwić dostęp do moich myśli i zgromadzonych doświadczeń. Kręci głową, że nie mam odpowiedników. Najbliższe pasujące określenie będzie zlepkiem kilku wyrażeń i nie odda pełnej nazwy planety. W końcu jednak pada melodyjne słowo, brzmiące trochę tak, jakby pochodziło z któregoś dialektu używanego w Indiach:*

*„Madżajachara”.*

*„Zapamiętam. Nie jest trudne – Madżajachara. Nie wiem, dlaczego kojarzy mi się z wulkanami”.*

*„A to miejsce jak się nazywa?”*

*„Zabroniono mi mówić. Naprawdę nie mogę. Nie nalegaj”.*

*„Dobrze. Nie będę już cię niepokoił. Dziękuję za to, co mi mogłaś dać. A oto mój prezent prosto z serca. Otwórz się proszę...”.*

*Kładę prawą dłoń na piersi mglistej istoty i emituję z siebie Energię Miłości, jak tylko mogę najlepiej…*

*„Zasysaj, zasysaj śmiało, pobieraj, to cię fajnie napompuje...”.*

*Istota na moich oczach zaczyna się rozświetlać i nabierać wyrazistości. „Wiedziałem, że to zadziała! Wiedziałem!”*

*„Co to jest?”, pyta.*

*„Miłość. Wzbudziłaś ją we mnie. Powiedziałaś, mimo że ci zabroniono. Doceniam to i okazuję wdzięczność. Jeszcze raz, jak twoja planeta się nazywa?”*

*„Madżajachara”.*

*„Powodzenia w nauce stawania się człowiekiem!”*

Miejsce nowo odkrytej lokacji okazuje się czymś w rodzaju portalu łączącego wymiary. Wszystko wskazuje na to, że jest punktem, w którym zatrzymują się istoty inkarnujące z zewnątrz Systemu. Wciąż jednak nie wiem, jak się nazywa i nie mam pojęcia, po co te podchody i tajemnice. Widocznie tak musi być. Mam słabą pamięć do obcobrzmiących zwrotów, ale niech no ja tylko usłyszę nazwę tego miejsca! Jak boga kocham, zapamiętam! Madżajachara zapamiętałem, to teraz nawet z trudniejszym sobie poradzę.

„Jakież to wszystko fascynujące!” Czuję się jak pionier, który odkrywa nowe szczyty. „Muszę się dowiedzieć więcej!” Ależ się nakręciłem! Ident tej lokacji aż mi huczy w głowie. Teraz będzie łatwiej. Będę kuł do upadłego, aż stworzę porządną mapę tego miejsca!

*Z chlupnięciem, jakbym się wykluł z niewidzialnego kokonu, ląduję na wąskiej, wybrukowanej uliczce. Po lewej i prawej budynki, niska, zwarta zabudowa. Przedziwna mieszanina stylów architektonicznych:*

*europejskie kamienice minionych stuleci stoją ściana przy ścianie z domami, na których elewacjach dostrzegam elementy kultury orientalnej i śródziemnomorskiej. Pięknie się komponują, w zestawianiu tak różnorodnych cech nie ma elementów burzących harmonię. Różnice w wysokości, kolorze i stylu elewacji tworzą coś niebywałego. Do każdej z kamienic można wejść bezpośrednio z ulicy. I tu znów cała paleta przeróżnych form i kształtów: od zwykłych drewnianych drzwi z progiem prawie że na krawężniku, schodów z pięknymi balustradami, wysuniętych nieznacznie ganków, aż po wejścia skryte pod filarami arkad. Wszystko skomponowane finezyjnie i z niezwykłym smakiem. Piękna harmonia.*

*Moje dostrojenie jest tak doskonałe, że wprost przytłacza mnie realizm tego świata. Jest tu mnóstwo światła, ale nie oślepiającego, tylko jakby rozproszonego, wydobywającego się z każdego zakątka. Zerkam na niebo – ani jednej chmurki, czysty lazur. Odruchowo szukam słońca. „Kurczę, nie ma! A nie! Jest! Tyle, że w zenicie. Boże, to nie słońce...!" Szybko schowało się za mnie, uciekło za głowę. Co się odwrócę, to ono znów się ukrywa. Ucieka poza kąt mojego widzenia. „Ja pierniczę! Mówi do mnie mentalnie!" Daje wyraźnie do zrozumienia, żebym się nie odwracał, że nie czas na to. Nie powinienem poruszać głową. Wyrażam zgodę. Już nie będę nagabywał. „Ciekawe kto to? MTJ? JEZUS?" Nie mam pojęcia. Ktoś przyjazny, ale bardzo stanowczy. Nie wnikam w to. Odpuszczam.*

*Po co właściwie tu się wyfazowałem? Po to, by zwiedzić, ile się da, i utrzymać się w fazie. Ale miałem zrobić coś jeszcze..., coś ważnego...*

*Z folderu pamięci natychmiast wylatuje informacja: „Zdobyć nazwę miejsca!" No tak! Dobrze, że to sobie zakodowałem. W poza niekiedy atakuje straszna skleroza, jak gdyby nie zawsze napływała pamięć z fizycznego mózgu. Człowiek będący poza ciałem posiada świadomość, wie gdzie jest, ale często nie wie, po co się tam znalazł.*

*„Dobra! Szybko! Muszę kogoś zagadać. Już ja go przesłucham!"*

*W oddali widzę grupkę osób. „Są trochę za daleko...". Nie darowałbym sobie, gdyby cofnęło mnie w drodze do nich. „Może ta pani na ganku?"*

*– Ej poczekaj! Nie uciekaj!*

*„Wszyscy są w zmowie czy co?", denerwuję się. Schowała się w środku. „Trzeba było z zaskoczenia...".*

*Nie mam wyjścia. Ruszam krok za krokiem, mocno uderzając stopami o ziemię, tak by zakotwiczyć zmysł czucia. „Nie lecieć, nie wolno latać w takich miejscach!”. Po co ryzykować cofnięcie. Pewnie wyglądam dziwacznie. Idę, jakbym narobił w portki, ale teraz najmniej mnie to interesuje. Muszę zdobyć nazwę tego miejsca!*

*Już jestem prawie, prawie... „Ale fajnie ktoś sobie posiał trawę na budynku”. Normalnie darń trawy rośnie na pionowej ścianie. Gdzieniegdzie widzę też żółte mlecze. I na dodatek wiatr wszystko muska. Źdźbła trawy błyszczą i falują przy każdym podmuchu. „Ale bajer!” Tylko w poza można spotkać takie wspaniałości...*

*Starając się nie szumieć myślami, by zbyt wcześnie nie zwrócić na siebie uwagi, wbijam się w sam środek grupki. Wybieram jednego z tubylców. Błyskawicznie nawiązuje kontakt wzrokowy. Wychwytuję imię. Łatwe i pospolite: „Piotrek” – jakby miał napisane tuż nad głową. Następnie przechodzę do procedury zakodowanej w folderze pamięci: robię pewną sztuczkę, którą podchwyciłem u Gabriela – chwytam gościa pewnym ruchem za oba nadgarstki, nie za dłonie tylko właśnie za nadgarstki, ale w inny sposób – na krzyż, moja prawa ręka na jego lewej, i odwrotnie. Po czym lekko, ale zarazem stanowczo przyciągam go do siebie. Nie tracąc kontaktu wzrokowego nawet na ułamek sekundy, głośno i wyraźnie w sam środek głowy, przyjaźnie ale bardzo stanowczo przekazuję:*

*„Proszę, co to za miejsce? Mów nazwę!”*

*– Nie mogę ci powiedzieć, bo nie masz przygotowanego umysłu – odpowiada natychmiast tamten na głos i bardzo rzeczowo.*

*– Jak to nie mam? Jestem świadomy miejsca i mam pamięć z ciała tam na dole.*

*– Nazwa jest trudna i jej nie zapamiętasz.*

*– Spróbuję. Proszę.*

*– Dobra. Ja ci powiem – odzywa się Gość z boku i artykułuje długi zlepek dźwięków, głównie samogłosek, jakby czytanych wspak.*

*– Ej! Nie rób sobie jaj! Co to jest? Dlaczego mówisz do mnie od tyłu? Nie możesz normalnie wypowiedzieć nazwy miasta? Nie cuduj, postaram się je zapamiętać.*

*– No, widzisz. On ma świadomość. Powiedzmy mu.*

*– Najpierw krótki test. Sięgnę do twojego umysłu i zobaczymy.*

*– Dobrze. Zaglądaj, aby szybko, bo faza mi się kończy.*

*– Dlaczego wiadomości na Polsacie i TVN lecą o 18.30?*

*– Co ty gadasz? Nie wiadomości tylko „Wydarzenia" i „Fakty", i nie o 18. 30 tylko o 18.50 i 19.00. Zresztą główne wiadomości są nadawane na Jedynce od zawsze o 19.30, jeszcze za komuny o tej porze leciały.*

*– No widzisz. Ma pomost i analizuje. Ale cię zaskoczył!*

*– Pomost? – pytam.*

*– Połączenie z pamięcią.*

*– Pewnie, że tak. Was też zapamiętam. Przecież mówię. Po co te testy? Ty zresztą, też mógłbyś powiedzieć, bo słyszę, że już nie nadajesz na wspak. Proszę, tak mi zależy, jak się nazywa to miasto?!*

*– Dobra. Powiedzmy mu.*

*– No dalej! Bo mnie zaraz ściągnie! Faza się kończy. Ciało mi się zaczyna odzywać.*

*– Za trudna nazwa do zapamiętania, nie dasz rady.*

*– Nie chrzań! Tylko dawaj nazwę! Niech będzie choćby skrót, wyraz bliskoznaczny, odpowiednik, błagam!*

*– No dobra, może się uda. Synonim tej nazwy miasta to… GALILEJSZUK.*

*– GALILEJSZUK! GALILEJSZUK! Nie „Galilea", choć brzmi podobnie tylko „szuk" na końcu. Dam radę! Zapamiętam! Dziękuję wam! Teraz mogę spokojnie wracać do ciała. Sorry za uścisk!*

*Dopiero teraz widzę, że nikogo już nie trzymam. Widocznie spryciarz wywinął mi się jakoś i nawet tego nie zauważyłem. „Nic nie szkodzi, mam nazwę! Ale trofeum!" Wykrzykuję na głos dla pewności, by nie zapomnieć:*

*– GALILEJSZUK! – i nie czkając na samoistne przyłączenie, gwałtownie wycofuję się do ciała.*

*Grupka mieszkańców patrzy się na mnie z wyrozumiałością i po krótkiej chwili rozpływa się w jasnej nicości.*

Otwieram oczy. Jestem w ciele. W głowie rozbrzmiewa... „galilejszuk, Galilejszuk, GALILEJSZUK...”.

„Udało się! Przeniosłem je tutaj!”

Ktoś, kto nie wychodzi z ciała, może pomyśleć: „A cóż wielkiego się stało? Jakąś nazwę zapamiętał i się chłop jara”. Otóż nazwa czy też imię ma w poza (w realu też, ale w mniejszym stopniu), że się tak wyrażę, magiczną moc. Jest jak pieczęć. Dysponując nazwą, mam bardziej klarowny ident. Teraz by tam trafić, w podróży będę wspomagał się nie tylko obrazami, ale też słowem. To będzie jak mantra nucona pod nosem, która niczym nić zaprowadzi mnie do kłębka. Jak będziesz chciał, jeśli wyrazisz życzenie, ciebie też tam zaprowadzi, i dowiesz się, czym jest Galilejszuk i słońce w zenicie...

# 19

# Przerywnik z superdemonem

Bestia

O ślepiach krwistych z gasnącego żaru,
Przyszła do mnie bestia z granitu ociosana.
Nie była jedna – z modułów zbudowana.
Ni maszyna, ni istota, jak ogon skorpiona!

Jestem zmuszony chwilowo zejść z obranego kursu tworzenia roty i zamiast trzymać się wyznaczonego planu, zatrzymać się na moment. Chcę opowiedzieć, co przed chwilą zdarzyło się w poza. Szok! Tak złej energii blisko mnie jak żyję, nie widziałem! Diabeł przy niej to pikuś. Nikogo nie chcę straszyć, broń Boże.

*Budzę się w sypialni. Pokój jest mocno zmodyfikowany, z trudem go rozpoznaję. Parę metrów przede mną stoi trzech esesmanów z karabinami gotowymi do strzału. Ledwo słyszę, ale wyłapuję ochrypły trójbrzmiący głos jakby małego chóru. Nie rozpoznaję dialektu, jakim mówią. Jeden z nich coś gada do drugiego, że się budzę i trzeba będzie się mną zająć. Zachowując zimną krew, postanawiam nie cofać się do ciała. Jeden ich strzał, a wylądowałbym w nim tak czy siak. Tak mi się wydaje, że po to przyszli, więc niczego nie ryzykuję. Widzę, że jestem w przezroczystym ciele. Obok mnie leży quasiciało – identyczne jak fizyczne, ale wiem, że to nie ono, tylko ciało obszaru przycielesnego. Wolno oddycha. Jest pogrążone we śnie. Niewprawiony podróżnik pewnie wziąłby je za fizyczne.*

*Kilka metrów ponad jego głową unosi się magnoliowa kula – powłoka z odległej fazy Skrajnego Pierścienia. Jest wielkości głowy. Sądząc po rozmiarze, idealnie by pasowała do środka mózgoczaszki. Poza tym ma krótki ogonek u dołu, przez co przypomina balonik ze sznurkiem. Wygląda mi to na rdzeń lub coś podobnego. W sumie to taka owalna piłka*

*uformowana z ciasta z doczepioną witką. „Nic innego, tylko ciało mentalne!" Ma kolor taki jak Pierścień Zewnętrznego Skraju: magnolii, waniliowy, biało-kremowy. Na górze czaszki quasiciała, tu gdzie jest ciemię, tylko że na całej szerokości głowy, dostrzegam coś w rodzaju klapy spustowej, wielkiej rozsuwanej migawki.*

*Nie wiem, jak to się stało, bo wcześniej takich faz nie miałem i nie oglądałem z zewnątrz kilku moich ciał naraz. Owszem podróżowałem w nich, wychodząc z jednego po drugim, ale gdy się oglądałem za siebie, żadnego z nich nie było. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie teraz mogę je zobaczyć.*

*„Boże! To chyba nie ich sprawka?!" Jeden z esesmanów coś majstruje w okolicy ciemnienia mojego quasiciała. Muszę szybko coś zrobić. Zła energia, aż od nich bije. „Gdzie jest JEZUS, BÓG i cała reszta. Mój MTJ?! Żeby tylko nie wpaść w panikę!" Mam przewagę, jestem przezroczysty. Biorę powolny, głęboki wdech. Zatrzymuję powietrze w płucach, jakbym się przygotowywał do zanurzenia. Zamykam się maksymalnie, jak tylko mogę obkurczam receptory, wyciszam myśli do zera i bardzo powoli ruszam w stronę ciał. Biorę najpierw to magnoliowe, wydaje mi się istotniejsze, bo jest z wyższej sfery. Tamci trzej niczego nie zauważyli, nie interweniują, skupili się na quasiciele. Chwytam je niczym manekina zabierając im je z przed nosa. Dziwne ale w ogóle nie reagują, jakby byli ślepi***.*** *Układam na ramieniu. Trochę waży. Wszystko przebiega tak jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Wiem, że to jedyne wyjście z sytuacji. Staram się zachowywać najciszej, jak się tylko da. Widać śledzą moje myśli, moje zamiary a nie mnie, jeśli jestem cicho i nie emituję myśli, niczego nie widzą. Tak to działa!*

*I oto w tej chwili dzieje się coś niebywałego: oba ciała wpływają we mnie jak zassane odkurzaczem ciasto. Momentalnie nabieram energii i pewności siebie. Esesmani niczego nie zauważyli. Są jak roboty. „Ja pierniczę!" Z ich pleców mniej więcej na wysokości krzyża wychodzą grube jak postronki kable – spiralne pępowiny jakby z tkanki organicznej. Przyglądam się temu z uwagą. Węże prowadzą na korytarz i nikną w ciemności. Nawet nie chcę wiedzieć, co skrywa mrok, i co jest na drugim końcu przewodów. Same pępowiny buchają złem w czystej postaci… „A niech mnie!" Postacie esesmanów to tylko końcówka macek! To ja-*

*kieś sondy! „Co tu się dzieje?! Boże, gdzie jesteś?! Dlaczego na to pozwalasz?!"*

*Czuję jak narasta we mnie złość, niemożność, bezsilność. Zwykła ludzka wściekłość. O dziwo, to dodaje mi jeszcze więcej energii. Wiem jednak, że w starciu z taką siłą nie mam najmniejszych szans. Wątpię, by ktokolwiek miał. Ale chce przynajmniej ją zobaczyć. Chcę tego doświadczyć. Zapamiętam ją i przy pierwszej okazji poskarżę się JEZUSOWI.*

*Z trudem opanowując agresję, płynę wzdłuż trzech pępowin. Boję się, ale moja wściekłość jest większa niż strach. „Muszę zobaczyć to coś!" Przewody łagodnie przechodzą w ogon wielkiego skorupiaka, gigantycznego odwłoka skorpiona, który wije się i pręży. Chyba mnie dostrzegł. Nie ma oczu, ale wyczuwa. Zatrzymuję się i zastygam w bezruchu. Czekam chwilę. „Okej, stracił czujność". Ruszam do przodu.*

*Ogon z każdym metrem jest grubszy. Dominujące kolory to czerń i ciemny brąz. Skorupa pancerza wydaje się bardzo mocna, jest gruba, agresywna, pokarbowana jak u gada, jak u krokodyla… Ma budowę modułową, składa się z segmentów…*

*Znów mnie wyczuł. Jeden z modułów błyskawicznie się otwiera i wyskakuje z niego małe drapieżne coś – czerwone oko wpisane w mordę – brzydkie i agresywne. Wygląda to tak, jakby było zbudowane z ociosanego czarnego granitu. Przygląda mi się uważnie, gotowe w każdej chwili skoczyć. „Nakryli mnie. Już po mnie…".*

*Ktoś z lewej strony, z zewnątrz, jakby zza tekstury, zza planu otwiera monumentalną czarną przestrzeń. Jakby wyciął laserem dziurę w mroku. W ułamku sekundy pojawia się przejście. Bez namysłu daję szybkiego susa w głąb otworu.*

*Ląduję w sypialni. Za drzwiami słyszę sapanie. „To coś wciąż tu jest! Przywlekło się za mną! Nie chce odpuścić! Dlaczego się mnie czepili?!"*

*I znów otrzymuję pomoc z zewnątrz: Dobra Niewidzialna Siła otwiera okno. W moich rękach znikąd pojawia się dwuskrzydłowe lustro. „Co za akcja! Co tu się dzieje? W czym ja, na Boga, uczestniczę?!"*

*Za oknem w oka mgnieniu robi się jasno jak w bezchmurne południe. Czuję, że w moją stronę zbliża się Coś Bardzo Dobrego. Mój nastrój się zmienia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Już nie czu-*

*ję ani strachu ani złości, ogarnia mnie ciepło, spokój, pojawia się nawet odrobina dobrego humoru… Spoglądam w okno i widzę w nim Wielką Kulę Białego Światła...*

*Nie mam pytań. Przybysz nie musi się nawet przedstawiać. Wiem, że to ON – PraOjciec Ja… BÓG NAJWYŻSZY! Na moich oczach, dosłownie metr ode mnie, materializuje się JEZUS. Uśmiecha się. Bez słów ustawia mi w rękach lustro i żartuje:*

*„...No to otwieramy drzwi…”*

Ładny miałem poranek, prawda? Dobrze że zakończony happy endem. Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdybym dalej brnął za odwłokiem. To był jakiś superdemon lub nawet sam twórca ciemności. Tylko jego fragment, nie całość, zaledwie ogon z modułami. Szatan jest upadłym aniołem, jest tylko narzędziem, żołnierzem głównodowodzącej siły. To coś sprawiało wrażenie właśnie takiej siły. Jakim prawem ta zła energia śmiała wejść do mojej lokacji i próbować grzebać przy moich niefizycznych ciałach? Coś tu jest nie tak!

A co (oczywiście to tylko rozważania), jeśli tam na Górze rozpętała się wojna między dobrą a złą energią? Wiele na to wskazuje. Wcześniej nie miałem takich faz. Dobrze, że już jestem w miarę wprawiony, bo gdyby mi się to przytrafiło na początku przygód z obe, to zablokowałbym się na wieki. Najnormalniej w świecie jakby rozpoczęła się walka o wpływy, o zdobycie władzy nad..., aż się boję to powiedzieć. Po kiego grzyba, za przeproszeniem, ciemna, bijąca złem energia próbowała mną manipulować, gdy spałem?! Czy mój przypadek jest odosobniony? Nie sądzę. Czy się boję? Ależ skąd! W takich chwilach staję się jeszcze bardziej zawzięty. Wychodzę z ciała z założeniem, że może się dziać cokolwiek, byle tylko się działo. Wolę wyjść i spotkać superdemona, niż bez celu łazić po snach**.** Uwielbiam kiedy coś się dzieje. Czuję wtedy, że żyję.

A teraz pozwolę sobie wrócić na wyznaczony kurs i opowiem o zmarłych. Muszę się streszczać – czuję to w gnatach.

# 20
# Wysyp zmarłych

Kosmiczna Inspekcja

I widziałem Sprawiedliwą wśród Narodów Świata,
Jak Troje Dostojników o boskich insygniach.
Po kościach Żydów zakopanych w Ziemi,
Niczym świadek koronny z dbałością oprowadza.

Jednemu z Trzech Króli kolana się ugięły,
Wybuchnął płaczem – ujął czaszkę dziecka.
Widoku tego nigdy nie zapomnę,
Bogowie z Niebios też nie zapomnieli.

Czym się różnimy od zmarłych? Oprócz tego, że posiadamy fizyczne ciała... niczym. Skąd człowiek wie takie rzeczy, jeśli wciąż żyje? Nie było jeszcze takiego, który by umarł, a potem wrócił, by opowiedzieć, jak jest po drugiej stronie. Może te wszystkie podróże astralne rozgrywają się tylko w głowie? Nie ma pewności, że to faktycznie są wyjścia z ciała, może wejścia w głowę?

Czyje to słowa i wątpliwości? Ano moje, tyle że z odległego przedwczoraj...

Zanim zacząłem regularnie doświadczać obe, gdy wychodzenie nie było jeszcze moim drugim życiem, myślałem jak znakomita większość ludzi: że żyje się tu, a inny świat może jest, może go nie ma..., nie wiadomo. Przyznam szczerze, że długo tkwił we mnie sceptyk, który powtarzał jak zacięta płyta: „To niemożliwe, to niemożliwe!”.

Do pewnego momentu (zwłaszcza na początku przygody z obe) jest on nawet potrzebny), bo daje poczucie bezpieczeństwa, utrzymuje znany grunt pod nogami. Proces zmian w świadomości nie zachodzi zbyt szybko i nie niesie ze sobą ubocznych dla osobowości skutków, typu: głowa w chmurach, a przyziemne sprawy gdzieś daleko. Lub jeszcze lepiej: „wyszedłem z ciała i jestem wodzem nie do pokonania, teraz

cały świat niech słucha tylko mnie!”. Nie chcę nawet myśleć, co by było, jakbym już przy pierwszym wyjściu spotkał JEZUSA i doświadczył uświadomienia z przeszłej inkarnacji – jak to byłem jego najbliższym uczniem Szymonem. Kilkanaście lat temu byłem szczylem z niedorosłym ego, takie uświadomienie mogłoby doszczętnie mnie zrujnować i skończyłbym w psychiatryku, ewentualnie latałbym codziennie na mszę w pokutnym worku. Tak by było. Do wszystkiego trzeba dojrzeć, no i zachować dystans.

Sceptyczne podejście do tematu, oczywiście niezbyt upierdliwe i nie negujące wszystkiego jak leci tylko po prostu zdroworozsądkowe z pierwiastkiem naukowej dociekliwości, jest bardzo wskazane. Człowiek zachowuje wówczas ład w głowie, stoi obiema nogami na ziemi, a i jego ego nie dokazuje. Nie akceptuję wszystkiego z poza. Dopiero gdy to zbadam drugi, trzeci raz, to dopuszczam do siebie, z lekka otwierając się na nowe.

Długo nie mogłem pojąć, dlaczego zmarli nie wiedzą, że umarli. Bo podczas gdy ja jestem żywy i wiem, kiedy znajduję się w poza, oni, nie posiadając fizycznych ciał dryfują przez dziesięciolecia i wciąż myślą, że rzeczywistość, w której się znaleźli, to real.

Przeskoczyć i pojąć coś takiego, to jest dopiero coś! To więcej niż przyjąć do wiadomości, że świat zmarłych w ogóle istnieje.

A teraz powiedz mi, przyjacielu, jak mam ci to wszystko wytłumaczyć? Jak przekazać w zrozumiały sposób coś, co można przeżyć tylko wtedy, jeśli wychodzi się z ciała? Myślisz, że po śmierci wszystko będziesz wiedział od razu, że ktoś poda ci to na tacy? Weźmie cię za rączkę i jak na wycieczce turystycznej oprowadzi po całym poza?

– Tu jest Park, tu jest Galilejszuk, tu spałeś... Witaj wśród zmarłych, czekaliśmy na ciebie...

Kiedyś też tak myślałem. Ale nic z tych rzeczy. Jedynym nauczycielem we wszechświecie jest własne doświadczenie i przeżycia, i jedynie na tej podstawie gromadzisz swoją wiedzę. Reszta to tylko dodatek.

Znakomita większość umarłych, (do których każdy z nas kiedyś będzie się zaliczać, bo śmierć jest pewna a życie zadziwiająco krótkie) nie

wie, że odeszła na zawsze. Nieboszczyk uważa poza za swoje normalne środowisko, odbiera je w taki sam sposób, jak fizyczny świat, w którym żył dotychczas – traktuje jak swój jedyny dom. Dlaczego tak się dzieje? Nikt nikogo tu nie chce oszukać i nie jest to żadna pułapka. Tak działa System – Szkoła Intensywnego Rozwoju Świadomości.

Kiedyś myślałem, że to nieuczciwe, że zmarli powinni być informowani na progu. A co jeśli taki próg nie istnieje? Śmierć jest łagodna i powszednia jak bułka z masłem. Hop, i jesteś w poza, w krainie śmierci – i nawet tego nie poczułeś. Żyjesz dalej w kontinuum, które wcześniej wykreowałeś wraz z innymi umysłami. Na bieżąco, każdej nocy, odwiedzałeś je w snach. Żyłeś dwoma życiami, nawet nie zdając sobie z tego sprawy! Nie miałeś pomostu między tymi dwoma światami ani też możliwości porównania ich subtelnych różnic. Książki nic ci nie dały. Nadal je czytasz w poza, tak samo jak jesz, śpisz i kopulujesz. W astralnym internecie nadal szukasz wskazówek, modlisz się, chodzisz do pracy, wciąż grasz obraną rolę. Jeśli ktoś przyjdzie do ciebie, by spróbować ci uświadomić to, że nie żyjesz, wyśmiejesz go i odeślesz do czubków. Nie jest tak? Nie oszukujmy się: dla znakomitej większości ludzi po śmierci nic się nie zmienia, trwają w tych samych schematach myślowych, przenieśli do poza cały swój świat, w którym żyli, gdy żyli. Zmienili tylko gęstość swoich ciał – z twardej, fizycznej powłoki przeszli na niefizyczną – trochę bardziej gumową, nic więcej. I nawet tego nie dostrzegają.

Umówiłem się z babcią, gdy zbliżała się do osiemdziesiątki, że jeśli przejdzie na drugą stronę, to będę ją odwiedzał, i mi powie co i jak. Że zbierze informacje o poza i mi wszystko przekaże w rocie. Tak się umawialiśmy. Nawet jej powiedziałem, co to jest rota. Dużo jej mówiłem o moich doświadczeniach. Babcia wiedziała, że podróżuję astralnie. Nie do końca, ale akceptowała moją pasję, z uwagą wysłuchując moich zwariowanych opowieści.

Na początku trochę się bała, jak to babcia, o wnuka, czy aby nie jest to sprawka szatana. Wiadomo, starszy człowiek, wychowany w wierzącej rodzinie katolickiej. Były to czasy, kiedy jeszcze nie miałem bliskich kontaktów z JEZUSEM. Jestem pewien, że by mi uwierzy-

ła. O Gabrielowej chuci rzecz jasna nie wspomniałbym jej, no bo po co starszemu człowiekowi mącić w głowie i burzyć ustalony przez lata porządek rzeczy. Aniołowie i Święci stanowią przecież nietykalne *sacrum* – popęd seksualny do nich nie pasuje... Do tej pory się zastanawiam, czy dobrze zrobiłem, wspominając o tym. Ale skoro mam mówić prawdę, skoro ma być..., jakie to było słowo, ostatnio zasłyszane? A..., już wiem: „parezja". Jestem parezjastą – to taka osoba, która mówi prawdę bez obaw, z odwagą, nawet, a właściwie szczególnie wtedy, gdy ta prawda jest niewygodna. Więc skoro mam nim być, to myślę sobie, że dobrze robię mówiąc o wszystkim wprost. Staram się niczego nie pomijać, no chyba że JEZUS zasugeruje łagodną cenzurę lub mogę kogoś zranić. Mówienie babci o seksualnych igraszkach Aniołów byłoby niesmaczne i na amen mogłoby zablokować jej umysł na przyjęcie i zaakceptowanie dalszych nowinek. Jednak opowieści o JEZUSIE przyjęłaby z entuzjazmem, pewnie by się przy tym popłakała. Może dotarłoby do niej trochę więcej? Czy miałaby teraz więcej świadomości? Pytania bez odpowiedzi. No właśnie: co rządzi napływem świadomości do człowieka? Zarówno tu w świecie fizycznym, jak i tam w poza? Cóż to jest za Energia, pozwalająca na skupienie uwagi, zapamiętywanie, zakotwiczenie umysłu w chwili obecnej?

W lipcu 2011 roku minęło równo 7 lat odkąd babcia Hela zakończyła życie na tym świecie. Mogłem wcześniej o niej wspomnieć, na samym początku, ale jakoś wyleciało mi to z głowy. Być może dlatego, że często ją widuję i tak naprawdę dla mnie nie umarła. Naprawdę nie wiem, dlaczego nie zacząłem od tego.

W ogóle ostatnio w astralu nastąpił istny wysyp zmarłych. O ile wcześniej nie mogłem się do nich dopchać, to teraz walą do mnie drzwiami i oknami, sami mnie odwiedzają. Boże kochany! Co za ironia losu! Jak sobie przypomnę, ile razy próbowałem dotrzeć do kogoś z moich bliskich zmarłych i kończyło się to niepowodzeniem lub tylko (po setnej próbie) spotkaniem na chwilę, to się zastanawiam, skąd ja do diaska brałem tyle energii? To już nie była pasja, raczej obsesja granicząca z manią. Nie było to zbyt zdrowe. Wyjście, lot kursem na ident zmarłego, rozstrojenie fazy, powrót do ciała, odbicie i ponowna pró-

ba. Nie udało się? Więc następnego poranka powtórka. I tak do skutku. Jak pneumatyczny młot odbijający się od ściany. Nawet z mglistego spotkania potrafiłem się cieszyć jak dziecko. Nie ma czego żałować, bo po drodze doświadczyłem wielu rzeczy. Odpuściłem sobie dopiero po wskazówce Narratora z Nieba. Pamiętam to jak dziś: fazę miałem już dobrze wywalczoną, dostrojenie znakomite**,** byłem tuż, tuż (przynajmniej tak mi się wydawało), gdy zagrzmiał z góry:

*...obecnie niedostępna!...*

Mowa była o mojej babci, bo właśnie do niej próbowałem się dostać. Jakoś mnie to zraziło i zrezygnowałem z dalszych prób. Oczywiście nie z wychodzenia, tylko z wypraw do zmarłych. Do tej pory nie mam pojęcia, dlaczego wtedy była niedostępna, a teraz mam z nią kontakt jak przez komórkę. Czy to kolejny dowód nadchodzących Zmian? Czy po prostu coś w końcu we mnie pękło i wyewoluowało? Cieszę się, że obserwuję postępy, ale co jest ich przyczyną? Jeśli znałbym ją, czy innym nie byłoby łatwiej – tym, którzy chcą doświadczać dobrego obe. Wielu jest takich.

Czasem myślę, że jednak nie wszystko jest w naszych rękach, że tylko w połowie jesteśmy kowalami własnego losu. Drugą połowę dzierży ON, wykuwając nas według z góry zamierzonego Planu. Jest architektem, więc musi mieć Plan. Niektórzy sądzą, że wszystko jest w rękach BOGA. Figa z makiem! To takie asekuracyjne podejście biernych umysłów, prowadzące do apatii. Jest równie niewłaściwe jak zbytnia ufność we własne siły. Obie skrajności są niebezpieczne. Ani ON, ani my nie mamy wszystkiego w rękach. Wpływy w dokonywaniu zmian leżą pośrodku i są rozdzielone po połowie. Wszyscy jesteśmy równi – to są słowa JEZUSA, a jemu można zaufać. Ja mu ufam. Ważne jest by do końca wykonać swoją robotę, dać z siebie wszystko, reszta zrobi się sama – przyjdzie od Niego.

Z perspektywy czasu widzę (choć zabrzmi to może nieskromnie, ale czymże jest skromność, jak nie zafałszowywaniem obrazu samego

siebie i sztucznym obniżaniem własnej wartości), że znaczną część pracy wykonałem już wcześniej, może nawet zbyt wcześnie, ale dopiero teraz mogę oglądać jej owoce. Tak właśnie jest z kontaktami ze zmarłymi, do których obecnie dochodzi bardzo często. Cieszą mnie spotkania z nieżyjącymi, sprawiają mi one niesłychaną frajdę. Tylko dlaczego nie potrafię ich obudzić, uświadomić im, że umarli? Wciąż nad tym pracuję. Może w końcu mi się uda. Wyciągnięcie kogoś z ciała graniczy z cudem, jednak jest wykonalne. Natomiast uświadomienie zmarłemu, że już nie posiada fizycznej powłoki, to dopiero wyzwanie!

Gdy ktoś mówi o odprowadzaniu dusz do światła, prosto w objęcia BOGA, to normalnie opadają mi ręce. Z całym szacunkiem, ale wkładam te bujdy między bajki. Owszem, światło które niekiedy dostrzega umierający, pomaga mu wznieść się na wyższą częstotliwość, z ciemnej nicości przejść do obszaru bardziej mu znanego – do kopii świata fizycznego. Jednak nie informuje go, że jest nieboszczykiem. Nieskromnie mówiąc, czasem to ja jestem takim światłem dla zmarłego – jeśli mnie dostrzeże. Ale to naprawdę nic wielkiego, po prostu coś mi się rozpala nad głową jak latarka, niekiedy blask wydobywa się z mojej klatki piersiowej, i tyle. Za nic jednak nie mogę uzmysłowić nieżyjącej osobie, że właśnie odeszła. Delikwent po śmierci przechodzi na wyższą częstotliwość i dalej śpi, tyle że na innym planie.

Wydaje mi się, że proces uświadamiania musi zajść samoistnie w jednostce. W pełni zdające sobie sprawę z odejścia jaźnie dostrzegam jedynie w Parku i w Galilejszuk – w tym ostatnim posiadają one również więcej pamięci. Na innych częstotliwościach świadomość istnienia i tego, gdzie się znajduje, jest zależna od... od gęstości otoczenia i ilości światła. Tyle udało mi się zaobserwować. Im wyższy pierścień fokusa, tym większa jasność zmarłego umysłu i więcej posiadanej w nim pamięci. Jak gdyby pierścienie były czymś w rodzaju filtra. Chcesz się wydostać i świecić na biało, musisz przejść przez wszystkie stadia, mało tego: masz to zrobić sam!

A teraz do rzeczy. Dość teoretycznego chrzanienia! Czy ktoś mi do cholery odpowie, dlaczego mój ukochany ojciec, który umarł przeszło ćwierć wieku temu na białaczkę, nadal nie wie, że nie żyje, a ja, jego

ukochany syn, mający spore doświadczenie w astralnych wojażach, no i znajomości tam u Góry, za nic nie potrafię go obudzić?! Serce mi się kraje, gdy widzę, jak śpi.

Na początku odwiedziny były fajne, bo koiły tęsknotę, ale teraz, gdy widzę jego stan świadomości, który w moim przekonaniu nie ewoluuje, nie ciągnie mnie do spotkań. Nie chce mi się za bardzo o tym mówić, bo mnie szlag trafia. Relacji z teraz, proszę mi wybaczyć, nie będzie. Nie chcę na nowo tego przeżywać. Mówiąc obrazowo: ojciec żyje równolegle ze mną. Podobnie jak babcia, tyle że Hela przynajmniej ostatnio opowiadała, że jej się śniło, że umarła. Możecie w to uwierzyć? W poza też istnieją marzenia senne! Nieboszczycy śnią o śmierci. Niezły sajgon!

Z Helą nie jest tak źle – o ile można użyć takiego słowa w stosunku do zmarłej osoby – powoli się budzi. Gorzej z ojcem. Opowiada, że mu się polepszyło, że ma już apetyt. Gdy byłem u niego jakiś czas temu, jadł zupę owocową z bułką. Miał takie swoje różne widzimisię, zresztą jak każdy. Sam nawet spróbowałem z jego talerza, zupa była kwaskowata, nie za słodka – idealna kopia prawdziwej. Ojciec jadł bardzo powoli, ostrożnie biorąc łyżkę do ust. Chyba mnie nie widział... Myślałem, że to przez brak zestrojenia, ale faza był idealna, moje ciało astralne było widoczne. Dopiero gdy po powrocie opowiedziałem o tym spotkaniu matce, oczywiście jak to ja, w najdrobniejszych szczegółach, powiedziała mi, że parę dni przed śmiercią ojciec oślepł od chemii. Nie miałem o tym pojęcia. Czyli nawet swoją ślepotę przeniósł do astrala.

Ostatnio już jest lepiej, oczywiście nie z jego świadomością, ale ze wzrokiem. Ma nowy samochód. Jaki? Oczywiście skodę. I tu coś bardzo ważnego. Niby szczegół, ale trop zayebisty! Nabył najnowszy model skody: Octavię. Dizelek. Cieszy się, że silnik ładnie pracuje jak na dieslowski i że jest bardzo oszczędny. Mówię o modelu, który rzecz jasna nie mógł istnieć w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia! Czy to coś dało do myślenia mojemu ojcu, obudziło go? Ależ skąd! Odbiera to jako coś normalnego. Zresztą, jak również to, że mam 37 lat i rodzinę, której nie dane mu było poznać za jego fizycznego życia. Przecież gdy umarł, miałem zaledwie 11 lat! Od tamtego czasu wiele się

zmieniło: technologia, system polityczny – mieliśmy komunę, mamy demokrację – w końcu to aż ćwierć wieku! Ojciec, mimo że ma dostęp do bieżących informacji z fizycznego świata, wcale się nie budzi! Żyje równolegle w idealnej, na bieżąco aktualizowanej kopii reala i odbiera ją jako jedyny świat! Ale potrzask! Chciałbym, żeby tata był na wyższym poziomie w Galilejszuk...

Kiedyś chciałem go na siłę przesunąć na wyższy pierścień, bo mnie to już denerwowało. Chwyciłem ojca za twarz i prosto w oczy, myślą i głosem jednocześnie, zagrzmiałem:

– Tato! Umarłeś! Umarłeś! UMARŁEŚ!

Co zrobił? Nagle opuścił astralne ciało! Oczy mu zgasły jak po wyciągnięciu wtyczki. Powieki nie zamknęły się, tylko życie w nich zgasło. Wysunął się przezroczystym ciałem z siebie i zszokowany uciekł. Jego ciało astralne w jednej chwili zwiędło, jakby uszło z niego powietrze. Zostałem ze sflaczałym manekinem postaci ojca, wciąż trzymając go za twarz. Tyle właśnie „pomogło" moje uświadomienie. Przyznam, że trochę mnie to zniechęciło.

Parę dni temu zawędrowałem do Parku. Już się tym tak nie ekscytowałem jak dawniej. Owszem, byłem trochę podniecony, jak to się czasem dzieje, gdy się trafi na odległą częstotliwość, jednak nie skakałem z radości jak 10 lat temu. Większe wrażenie wywarło na mnie samo spotkanie niż lokacja. Nie żebym umniejszał znaczenie fokusa 27, ale, naprawdę, nie ma co się podniecać bez powodu. Ot, zwykły przystanek.

Otóż spotkałem tam jaźń zmarłego w 1946 roku budowlańca. Miał sporo świadomości. Wiedział, jak umarł – zleciał z rusztowania. Orientował się również, gdzie się teraz znajduje. Zamieniliśmy kilka cennych zdań. Mówił rzeczowo i składnie. Na moje pytanie: „Jaki to obręb Parku?", opowiedział mi, czym jest Park. Tym jeszcze bardziej mnie utwierdził w przekonaniu, że rozmawiam ze świadomą istotą, bo niby skąd miałby wiedzieć takie rzeczy. Wytłumaczyłem mu pokrótce, o co chodzi: że podróżuję astralnie, że mam ciało fizyczne, które w tym czasie śpi, i że tą częstotliwość, na której właśnie się znajdujemy, nazywam za Robertem Monroe „Parkiem". Budowlaniec bardzo się zdziwił, że można ot tak wychodzić z cała. Powiedział, że tu na to miejsce

mówi się „Arbitorium". Padła dokładnie taka nazwa: ARBITORIUM. Jednak fokus się zgadzał, bez dwóch zdań znajdował się w planie Parku. Na pytanie: „Co będzie dalej robił?", powiedział, że jeszcze się nie zdecydował, ale uczą o tym w auli w klubie, i wskazał miejsce na ciut wyższej częstotliwości. I tu szok! Zmarły budowlaniec wskazał miejsce na fokusie należącym do planu Galilejszuk! JEZUSOWE Miasto ponad strefą Parku! Nie niżej, tylko wyżej. Wcale mnie to nie zdziwiło, bo w końcu JEZUS jest tu Szefem i jak by to wyglądało, gdyby Jego Centrum Szkoleniowe znajdowało się na niższych fazach. Poczułem wielką ulgę, nabrałem bowiem pewności, że w samodoskonaleniu zmierzam we właściwym kierunku...

Co z budowlańcem? Wstrząsnęło nim, gdy powiedziałem mu, z którego przybyłem roku. Kiedy dotarło do niego, ile lat już tam jest, raptownie się zamknął i posmutniał. 65 lat w parkowym hologramie! Po prostu super!

Wielokrotnie stykałem się z zasadą, że owszem, w fokusie 27 ludzie są świadomi swojej inności, wiedzą, że umarli, mają pamięć, czyli w dużej mierze pozbierali swoje aspekty, ale nie mają poczucia upływu czasu, nie wiedzą, ile lat już tam tkwią. Smutne, nie smutne – prawdziwe. Właśnie tak to działa.

Kiedyś wpadłem na pomysł, by podejrzeć moment umierania, dokładnie przyjrzeć się temu procesowi. Jak to jest widzieć odejście? Strasznie mnie to zaciekawiło. Czy pojawi się jakiś tunel, może Anioł lub ktoś z Pomocników. Jak to wygląda z perspektywy obserwatora z zewnątrz? Prawdę powiedziawszy nie miałem pojęcia, czego mogę się spodziewać.

*Po wyrażeniu chęci ujrzenia śmierci, zanurkowałem do poza. Już po krótkiej chwili, zostałem zawołany. Pierwsza myśl: „Dlaczego niektóre rzeczy mam podawane na tacy, wystarczy, że o nich głośno pomyślę i się spełniają, zaś inne choćbym wołał wniebogłosy, nie są mi dane?" Kolejna zagadka.*

…chodź tutaj, chciałeś zobaczyć umieranie…

*Po małym obniżeniu fazy – właśnie: nie podwyższeniu tylko obniżeniu – kierując się za Głosem, znalazłem się w obszarze przycielesnym nikogo innego jak tylko zmarłej przed wieloma laty cioci Stefki, siostry dziadka, męża Heli. Mieszkała po sąsiedzku, za płotem. Od śmierci Stefki upłynęło blisko dwie dekady, a ja właśnie teraz miałem okazję zobaczyć, jak doświadcza przejścia! Czasowy galimatias...*

*Była wtedy przy mnie Astralna Matka. Dotychczas o Niej nie wspominałem. Właśnie poznałem jej imię… Jest czymś więcej niż tylko Opiekunką i nie ma nic wspólnego z rodzoną matką.*

*– Czy już umarła? – pytam.*

*– Proces dobiega końca.*

*– Niewiele się różni od zasypania?*

*– Tak.*

*– Długo to potrwa? Boli ją?*

*– Nie.*

*Nachylam się nad Stefką i ujmuję jej dłonie, widzę powyginane starością i reumatyzmem palce. Wyciągnę ją, to szybciej się przefazuje (opuści ciało). Lekkie pociągnięcie do siebie. Pach i już siedzi na świeżo stworzonej kopii łóżka. Faza jest płytka, więc i tekstura planu jeszcze nie w pełni ukształtowana.*

*Ciotka patrzy na mnie nieobecnym wzrokiem, ale chyba mnie rozpoznaje. Mamrocze coś jak w demencji. Chwieje się. Głowa jej trochę leci do tyłu, jakby Stefka opadała z sił.*

*Nie dostrzegam różnicy w wyciągnięciu z ciała kogoś umierającego czy żyjącego. Rozświetlam się, przychodzi mi to łatwo. Biała energia zaczyna wydobywać się z mojego tułowia i znad głowy. Współczucie pojawia się automatycznie. Dla lepszego efektu wzmacniam uczucie. Dobrze znałem Stefkę. Widzę jak na twarzy staruszki pojawia się uśmiech…*

# 21
# Mikroświaty

Jedno w drugim

Ożeż ty losie! Boże Kochany! Co my tu mamy?!
Jak kula w kuli, a ta w kolejnej, i jeszcze poprzedniej,
Świat w świecie jak ruska matrioszka upakowany.

A to ci heca! Eureka! Niespodzianka skryta...
W głowie się nie mieści, by w sobie zawitać.

Po raz pierwszy na Mikroświaty natknąłem się podczas wyprawy z MTJ-em do wnętrza organizmu mojej fizycznej matki. Chyba zabrzmiało to nieco zagadkowo... Bo co? Oprócz rodzonej mam jeszcze inną matką? Właśnie tak, przed chwilą o niej wspominałem. Mam również niefizycznego ojca i nie jest to bynajmniej zmarły ćwierć wieku temu tato. Nie chcę jednak za bardzo odbiegać od tematu. Zagadnienie ludzkiej tożsamości spróbuję wyjaśnić nieco później – wtedy omówię więcej elementów z nią związanych. Na razie tylko zapowiedź.

A teraz wracam do Mikroświatów.

Oprócz wizyty we wnętrzu niefizycznej odbitki ciała mojej rodzicielki, kiedy to likwidowałem ogniska *carcinomy,* zachęcony do dalszej eksploracji przez pewną tajemniczą istotę, natknąłem się na Mikroświat jeszcze innym razem.

*Znajduję się na bliskiej ciału częstotliwości. Faza wyrównana, dostrojenie wybitnie klarowne, wszystkie zmysły funkcjonują znakomicie. Jednak wyraźnie czuję, że jestem bardzo blisko fizycznego ciała. Nagle pojawia się jakaś Istota – jakby wyszła zza mnie, znikąd. Szybko prześwietlam jej ident. Nie jest to Anioł, ani diabeł, nie jest to nikt bardziej lub mniej rozwinięty ode mnie. Raczej równy mi w rozwoju świadomości. Odczytuję, że jest to kobieta. Jedyne co mi w niej nie pasuje,*

*to mało trójwymiarowy wygląd. Jest jakaś płaska. Przypomina kiepską imitację ludzkiej powłoki – kolorowy, mocno rozświetlony obraz kobiety, podobny do witrażu. Podekscytowana Istota chwyta mnie za nadgarstek (nie za dłoń, tylko właśnie za nadgarstek), tak, by uchwyt był bardziej stanowczy, i zaczyna ciągnąć. Jednocześnie przekazuje mi telepatycznie, że „koniecznie muszę coś zobaczyć", że „to jest niesamowite...".*

*Ruszam za nią. Zrobienie kilku kroków wymaga lekkiego wysiłku, jakbym szedł pod górę. Po chwili tuż przed nami po lewej stronie pojawia się wejście. Przypomina zwyczajny prześwit między stojącymi bardzo blisko siebie budynkami. Nie zatrzymując się, wchodzimy w szczelinę. Mijając wejście, coś poczułem: nieznaczne, ledwie wyczuwalne przesunięcie fazy, jakby prześwit samoczynnie dostroił nas do nowej częstotliwości. Hop! I już nas przeniosło na inny plan – zupełnie bez odczucia ruchu.*

*Znajdujemy się w zamkniętej przestrzeni. Odruchowo spoglądam za siebie, widzę, że przejście gdzieś znikło. Pomieszczenie nie jest zbyt duże, ma wielkość garażu bez okien, drzwi, czy jakiegokolwiek innego wyjścia. Gdybym cierpiał na klaustrofobię, to pewnie już wpadłbym w panikę... Co to jest?*

*Kobieta nie puszcza mojego nadgarstka. Mówi:*

*– Zobacz! Tam u góry pod sufitem! Tam TO jest! Musisz to zobaczyć, to niesamowite! – nadaje coraz bardziej podekscytowana, jakby odkryła jakiś skarb.*

*– Nic nie widzę... Gdzie?*

*– No tam! – wskazuje palcem miejsce, gdzie sufit styka się ze ścianą.*

*Mam wrażenie, że coś tu nie gra! Po ostatnich spotkaniach z diabłami myślałem, że nic mnie już nie zdziwi, a jednak... Zastanawiam się, czy ta kobieta udaje, czy też rzeczywiście coś wypatrzyła, a tylko ja tego nie zauważam. „A co jeśli to podstęp i wpadnę w pułapkę? Chociaż... wibracje ma przyjazne, nawet skądś je znam".*

*– Chyba musimy podejść bliżej, bo niestety nic nie dostrzegam.*

*– Ach tak! Dobrze. Utworzę drabinę. Jak będziesz się wspinał i poczujesz się źle...*

*– Co takiego? Czy to na pewno jest bezpieczne?*

*– Tak. Tylko... sam musisz to odczuć.*

*Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się fikuśna drabina. Nie jest prosta tylko z zakrętami. Szczeble nie prowadzą bezpośrednio w górę, tylko pną się zygzakiem. Dziwaczne ustrojstwo („i z jaką łatwością je zmaterializowała”) opiera się o ścianę.*

*– Na zakrętach będziesz odpoczywał – mówi kobieta.*

*– A po co mam odpoczywać? Nie brzmi to zachęcająco.*

*– Sam zobaczysz. Musisz to poczuć. Ustawiłam wejście prosto na NICH. Szybko, bo zamkną kanał i nic nie zobaczysz! Ja poczekam na ciebie u góry.*

*Witrażowa Przewodniczka unosząc się pod sufit, na moich oczach zmniejsza swoje rozmiary. „A niech to! Co za sztuczka!” Natychmiast wyrażam mentalnie akceptację na wszystko, co może mnie spotkać. Nie chcę, by ominęła mnie taka przygoda!*

*Moja towarzyszka potrafi nieźle operować niefizyczną materią. Chyba nie jest zbyt łatwo ot tak sobie stworzyć w sekundę taką drabiną, łączący kanał, i zmniejszyć się na zawołanie. Mam wrażenie, że mogę jej zaufać.*

*Jestem już na drabinie. Wspinam się szczebel po szczeblu. Idzie mi ciężko, jakbym pokonywał niewidoczną warstwę gęstego oleju. Znam to uczucie: to nic innego jak przefazowywanie się na siłę na inną częstotliwość.*

*Niewidoczna energia ściska mnie i obkurcza. Czuję, jak się zmniejszam. Nie przerywam jednak marszu. Na mojej klatce piersiowej pojawia się wyraźny ucisk, zaczyna mi brakować tchu. „A więc to miała na myśli..., po to są te zakręty, abym mógł odpocząć i złapać tchu”. Jestem na jednym z zakoli. Trzy głębsze oddechy i ruszam dalej po szczeblach przez niewidoczny, ściskający olej, który mnie zmniejsza. I kolejny zakręt by odpocząć i wyrównać obkurczoną fazę.*

*Zerkam w dół. Wszystko zrobiło się takie malusieńkie, jakbym był na dużej wysokości. Spoglądam w górę. „O matko! Jaki wielki sufit!” Najwyraźniej doszło do zmiany percepcji. Stałem się malutki! Przejście po zygzakowatej drabinie spowodowało miniaturyzację mojego astral-*

*nego ciała! „Ale numer! Co za faza! Jak ją nazwać? Fokus minus 25? Bez sensu".*

*Trzy ostatnie szczeble pokonuję bez większego oporu. Na końcu drabiny widzę coś w rodzaju kratki wentylacyjnej. Obok niej stoi Witrażowa Przewodniczka. Ma teraz wielkość mojej dłoni – normalnie zrobiła się jeszcze mniejsza ode mnie! Mistrzyni miniaturyzacji! Czeka na niewielkim gzymsie i cieszy się jak dziecko, które pierwszy raz widzi kotka. Promieniuje zadowoleniem, mało nie klaśnie w dłonie z radości.*

*– Tam są! Zamknęli się! Uchyl kratkę to Ich zobaczysz – woła podniecona.*

*Delikatnie odsuwam mały właz i własnym oczom nie wierzę – w środku są te same istotki, które widziałem w ciele mojej matki! Ten sam gwar, krzątanina. Małe pracusie uwijają się z robotą jak mrówki. Nie mam pojęcia, czym się zajmują. Najwidoczniej mój umysł nie jest w stanie tego przetłumaczyć na znane mi czynności, ale istotki są najwyraźniej czymś bardzo zajęte. Jedna drugiej wydaje polecenie i już się dzieje, już malutki ludzik wszedł w ścianę, zniknął, by wykonać swoje zadanie. Ruch tu jak w ulu. Lokacja przypomina wnętrze rozświetlonej od środka, pomarańczowo-czerwonej jaskini z licznymi grotami. Nie widzę źródła światła, wydobywa się jakby zza ścian, zza tekstury lub wprost z niej, nie wiem... – niesamowity, świetlny efekt, jakby plan który obserwuję skrywał w sobie mocne źródło światła, był niczym trójwymiarowy witraż rozświetlony słońcem...*

*Istotki są humanoidalne, ale nie do końca. Określenie „krasnale" pasowałoby do nich najbardziej, gdyby nie jego baśniowy wydźwięk, ale też nie byłoby do końca trafne z powodu różnorodności form, jakie przyjmują te istoty, i niewielkiego podobieństwa do ludzi. Ministworzenia, taka nazwa wydaje się najbliższa. Jedno jest płaskie, podobne do Witrażowej Pani, drugie przesadziście pękate – ma tułów jak beczka. Kolejne sięga innym do pasa i sprawia wrażenie niekompletnej półistoty.*

*Zdaję sobie sprawę z tego, że mój umysł automatycznie nakłada na te stworzenia obraz znanych mi elementów, abym mógł je jakoś opisać. Podsuwa zastępcze podpowiedzi-wizerunki dla uzyskania wglądu i ła-*

*twiejszego ich usystematyzowania. Przez to rozum częściowo odtwarza prawdziwy obraz istot, a częściowo go zniekształca. Bruce Moen nazywa takie zjawisko „nakładką Interpretatora". Wiem o tym, jednak to nie zmienia faktu, że mam przed sobą autonomiczne istoty – miniaturowe formy życia. Dociera do mnie również, że oglądam wnętrze ludzkiego organizmu, jego niefizyczną odbitkę. I coś mi podpowiada, że jest to moje własne ciało, mój mikroświat…*

*„Ciekawe jak mnie postrzegają te pracusie, czy mnie w ogóle widzą?", zastanawiam się. Zaglądam do nich, wychylając się mocniej i podkreślam swój ident. Jeden z grupy krzątających się chyba mnie zauważył, ale nie jestem tego pewien. Zerknął, po czym na moment zastygł w bezruchu i... zniknął w ścianie. „Ożeż! Zobaczyli mnie na bank!" Nagle wszyscy przerywają pracę, odwracają się i patrzą w moją stronę. Natychmiast pojawia się ktoś, kogo odczytuję jako dyrektora lub wodza – taka miniaturka czterdziestolatka w jasnobrązowej, grubej, powłóczystej szacie. Ubranie leży na nim niczym sztywny koc. „Szef" jest bardzo podobny do człowieka. Nosi nie za długą brodę, średniej długości włosy, ma bystre spojrzenie. Błyskawicznie mnie rozpoznaje – człowieka z zewnątrz w podróży astralnej – i woła donośnym głosem:*

*– Alarm! Odwrócić się!*

*Wszystkie istotki jak armia odwracają się na rozkaz i zamierają.*

*– Nie wolno Ci tutaj zaglądać! Nie wolno! To TAJEMNICA! Odkrył nas! Odkrył!*

*– Nie chciałem przeszkadzać... Nie jestem intruzem. Zwiedzam tylko.*

*– Odwróć się! Nie patrz tutaj! – mówi stanowczo, ale bez agresji w głosie.*

*– Jesteście moim organizmem, jesteście komórkami czy czymś takim?*

*– Nie wolno ci z nami rozmawiać! To zabronione! Idź już! Nie patrz w moją stronę!*

*Ukrywa się pod kocem i macha ręką na znak, żebym już poszedł.*

*Nie chcąc się dłużej narzucać, grzecznie dziękuję i z nieukrywanym żalem zakrywam właz, nie czekając aż oni to zrobią.*

*– I co podobało ci się? Fajni, prawda?*

*– Kto to był?*

*Witrażowa patrzy na mnie jak na kogoś wolno łapiącego i mówi myślą pod nosem:*

*„Zobaczył i nie widział...”.*

Nie mieści mi się w głowie, jak bardzo rozbudowany jest ten niefizyczny świat! Nieskończoność w najczystszej postaci. Nie dość, że samych fokusów jest bez liku a w nich mnóstwo innych lokacji, to jeszcze biegnie to w dół i w górę – do środka i na zewnątrz, pomniejsza się i powiększa, przyjmując różne skale. Jak to ogarnąć? We mnie jest kosmos istot, ja sam jestem istotą i nade mną są one, a to wszystko zanurzone w bezkresnym oceanie nieskończenie wielkiego *uniwersum*, zanurzone w Boskiej Energii. Za wcześnie na jakieś wnioski i teorie. Wciąż za mało wiem, ale czy będę wiedział dość? Bo czy „dość” istnieje w nieskończoności?

# 22

# Zwierzęta w obe

Astralny zwierzyniec

Zwierzaki to nie tylko mielone kotlety,
Kurtki, buty i pokarm dla rybek.
Właśnie odkryłem, że dusze mają,
I ludzki głos nie tylko w Wigilię.
Chcesz porozmawiać ze swoim pupilem,
Jak sąsiad z sąsiadem przy niedzielnej kawie,
Nie ma sprawy – w astralu ich spotkasz:
Psy, konie, koty i świnie.

Obrońcy praw zwierząt zdecydowanie mają rację: wcale nie przesadzają, podejmując stanowcze działania, gdy naszym mniejszym braciom dzieje się krzywda. Zwierzaki naprawdę czują, a niekiedy ich emocje są znacznie silniejsze, niż u ludzi, bo ich zmysły są bardziej wyostrzone. Zwierzęta przeżywają, a nawet myślą**.** W mocno zredukowanej formie, ale jednak posługują się rozumem. Nie kierują się wyłącznie instynktem.

Sam nie mam żadnego czworonoga, nie pozwalają mi na to warunki, w jakich mieszkam. Może kiedyś kupię sobie kota lub psa... I na pewno nie zostawię go na pastwę losu przywiązanego pod hipermarketem, gdy zachoruje. Zwierzęta to przecież nie zabawki czy pokarm dla innych, lecz boskie stworzenia, którym należy się szacunek i – nie bójmy się użyć tego słowa – miłość. Oczywiście nie ma co przesadzać i od razu budować dla nich hoteli, cmentarzy, czy też..., nie powiem co jeszcze, bo dzieci mogą słuchać. Widziałem nieraz, zwłaszcza w zimie, jak łatwo przesadzić z troską o zwierzaki: ludzie zakładają im butki, serdaki, nawet czapki... Kupy po swoim pupilu sprzątnąć nie łaska, choćby narobił na środku chodnika, ale ubrać w paltko owszem!

Gdy wybuchła wojna domowa w Jugosławii, jeden z uciekających z Sarajewa Bośniaków, kurczowo ściskając swoje umorusane dzie-

ci powiedział do dziennikarza CNN: „Wy Amerykanie, wy tak kochacie zwierzęta, błagam was, weźcie moje dzieci i traktujcie je jak psy". Smutny obraz uchwycony kamerą. Jak to się skończyło na Bałkanach, wszyscy wiemy.

Tak. Zwierzakom należy się szacunek i miłość, ale nie gloryfikowanie ich. Nie ulega wątpliwości, że są na niższym szczeblu ewolucji i że właśnie dzięki nam, ludziom, mogą piąć się wyżej.

*Znajduję się na zupełnie nieznanej mi fazie – niska i jednocześnie mocno rozbudowana na boki. Przestrzeń przypomina płaski obszar przycielesny, rozciąga się bardziej na lewo i prawo niż do góry. Miałem dzisiaj odpuścić sobie wyjście z ciała... Zbyt mało energii nie sprzyja dobrej fazie. Jednak spróbowałem... Ostatkiem sił staram się zrobić sobie miejsce. Muszę unieść górną warstwę obszaru, bo w przeciwnym razie nie wstanę, mam za mało przestrzeni nad głową. Co za dziwaczny fokus...*

*W oddali widzę małego bielutkiego pieska. Nie znam się za dobrze na rasach, ale wydaje mi się, że to terier. Podpływam bliżej. Nie, to nie pies tylko kot. „Co się dzieje?" Na moich oczach stworzenie znów zamienia się w psa. Wydaje się przyjazne, nawet trochę rozpieszczone. Widać, że opiekun je rozpuścił. Kładzie się na brzuchu i chce bym go łaskotał. Wyciągam rękę. Pach! W mgnieniu oka przykleja się pyszczkiem do środka dłoni. Czuję jak zasysa ze mnie energię. „No jasny gwint! Nie dość, że z trudem się skoncentrowałem i ostatkiem sił na resztkach energii wyfazowałem, to jeszcze to coś mi ją zabierze!"*

*– Precz od mnie! – mówię i zaczynam odrywać stworzenie.*

*Nie idzie łatwo. Dopiero po dobrych trzech sekundach udaje mi się odkleić psa od dłoni. „A niech to! Co się dzieje?! To nie pies, ani kot, tylko małe dziecko!" Przyglądam mu się z uwagą. Stworzenie płynnie, bez przeskoków, niczym w cyfrowej animacji zmienia swój kształt. Raz jest psem z głową dziecka, raz dzieckiem z głową psa. „Ale cudak!"*

*Postanawiam poeksperymentować. Biorę kilka głębokich wdechów, aby zaczerpnąć więcej astralnej energii, następnie ostrożnie, w każdej chwili gotów się wycofać, przykładam dłoń do dziwacznej głowy. Isto-*

*ta znów zaczyna wysysać ze mnie energię, ale już nie tak łapczywie, jak wcześniej. Po chwili dzieje się z nim coś niewiarygodnego − przestaje zmieniać się z jednej hybrydy w drugą i ostatecznie przyjmuje postać dziecka. „Ale numer! Napompowało się moją energią”. Czuję się nieco osłabiony, jednak taki ubytek energii jest do zniesienia.*

*Nie wiadomo skąd pojawia się Przewodniczka i przerywa eksperyment. Skanuję jej ident. Nie rozpoznaję w nim mojej Astralnej Matki. Kim więc jest? Przedstawia się jako Opiekunka białej istoty i mówi do mnie myślami przesyłanymi wprost do głowy:*

*„Więcej niż zwierzę domowe, mniej niż człowiek jak zauważyłeś...”.*

*„Tak. Słyszę Cię. Proszę, mów”.*

*„Było kotem, psem, teraz przygotowuje się do drugiej ludzkiej inkarnacji”.*

*„Jak to drugiej? Nie pierwszej?”*

*„Będzie to krótkie życie w chorobie jak to. Ma zapisane 2 lata. Na więcej jej nie stać. Brak jej doświadczenia. Gdy je zdobędzie, przejdzie na kolejny poziom”.*

*„Nie rozumiem. Czyli ono już jest w ciele ludzkim?”*

*„Tak. Jest chore i gorączkuje”.*

*„Umiera?”*

*„Jeszcze nie”.*

*„Czy jakoś mu pomogłem, pompując je energią?”*

*Milczy i się uśmiecha z wyrozumiałością.*

*„Czy oznacza to „tak”?”*

Niestety nie uzyskałem odpowiedzi na ostatnie pytanie. Jednak coś mi mówiło, że sama energia nie jest aż tak istotna dla rozwoju jak zdobywanie doświadczenia**.** W tym wypadku ludzkich, wydawałoby się bezcennych dla stworzenia. Ale przecież na dobrą sprawę stworzenie z którym się spotkałem, zdobyło je podczas astralnego kontaktu. Uzyskało coś dzięki temu – jak i ja. Dla mnie było to bardzo cenne przeżycie.

Świat jest taki, jaki powinien być, i wszystko w nim znakomicie funkcjonuje. Domowe zwierzęta, zwłaszcza psy, mają szansę wybić się

na drabinie ewolucji o stopień wyżej i stać się ludźmi dzięki właśnie bliskiemu obcowaniu z człowiekiem. Uczą się poprzez obserwację naszych zachowań i emocji, kodują je w sobie, by potem sięgnąć po nie i mieć lepszy start w pierwszej ludzkiej inkarnacji. Z powyższego przykładu wynika również, że na ogół nie żyją długo. Stają się kalekami lub schorowanymi dziećmi. Ilość zgromadzonej energii i doświadczeń na to nie pozwala – rok, dwa życia jako niepełnosprawna forma ludzkiego istnienia, śmierć, i kolejne wcielenie już z lepszego startu, bo wzbogacone o ludzkie przeżycia. Szokujące? Niekoniecznie. Mniejszemu trzeba dać szansę by stał się większy... Ciekawe ile lat życia miałby przed sobą owczarek lub labrador? Czy ich zapisana w genach inteligencja rzutowałaby na długość pobytu w świecie fizycznym i jakość otrzymanej ludzkiej powłoki? A co ze ssakami naczelnymi? Można się tylko domyślać, kim jako adept pierwszej ludzkiej inkarnacji może być szympans, i to taki stary wyga z zoo. Myślę, że spokojnie mógłby zostać politykiem. Tylko żartuję..., proszę nie brać tego dosłownie. Choć kto wie...

Czy działa to w drugą stronę? Myślę, że tak. Z drabiny ewolucyjnej jak z każdej: łatwiej spaść niż się po niej wspiąć. Jeśli u którejś z osób w astralu (gdzie wszystko widać jak na dłoni, bo poza jest wzmocnieniem świata fizycznego) zaczynają dominować cechy zwierzęce, to istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że sama ulegnie degradacji do poziomu zwierzęcego. Widziałem nawet coś takiego: pewien gość ile razy go nie odwiedziłem, przypominał drapieżnego wilka. Miał wilczą twarz i zachowywał się jak zwierzę. Być może wcześniej był wilkiem i jego pierwotna jaźń upominała się o ten stan, a delikwent nie potrafił nad tym zapanować. Gdy zwierzęce „ja" zaczyna dominować, traci się kontrolę nad popędami, myślenie ulega zredukowaniu, pojawia się agresja, ego pompuje się jak balon. Wtedy człowiek na co dzień zaczyna słyszeć: „Co w ciebie wstąpiło!", „To nie ten sam człowiek...", „Zachowujesz się jak bydlę!". Może taki gość jeszcze się odbije od dna i z czasem znów stanie się ludzki, nie wiem...

A co widziałem w poza w czasie przypadkowych odwiedzin w kraju, gdzie właśnie trwał konflikt zbrojny. Tragedia! Akurat było to

w Egipcie, czyli jeszcze w miarę cywilizowanym państwie. Doszło tam do przewrotu: były demonstracje, czołgi na ulicach – wiadomo – zabici, ranni, ale nie morze krwi. Otóż zauważyłem, co się dzieje z ludźmi w czasie wojny. Na astralnym planie przestają przypominać ludzi. Degradują się do pierwotnego stadium: mają pyski, ryje, kły, rogi. Właśnie tak wyglądają. Fajną postać, jeśli można się tak wyrazić, przybrał jeden z dowódców czołgu: miał tułów zrośnięty z pancerzem, twarz zaciętą w afekcie, ledwo przypominającą ludzką, bardziej psa. Gonił przeciwnika – hybrydę człowieka i wielbłąda.

Wiadomo, to tylko poza, odbitka, niekiedy przejaskrawienie cech. Ale czy nie jest tak, że w czasie wojny człowiek staje się wilkiem dla drugiego człowieka? Wszystko, co ludzkie, ulega redukcji do zera, na światło dzienne wychodzi wtedy nasza zwierzęca natura, którą ciężko poskromić. Myślę, że wszelkie groźne konflikty, nie tylko zbrojne, ale także te mniejszego kalibru, są z natury złe, jeśli jest w nich zawarty silny afekt. Nie tylko dlatego, że wyrządzają krzywdę drugiemu istnieniu, ale przede wszystkim dlatego, że za ich przyczyną dochodzi do degradacji jaźni. Nie ma to jak pokój i dyplomacja, zdrowy rozsądek i kompromisy. Po co inkarnować jaszcze raz w ciele małpy?

A propos zwierząt: kiedyś w poza natknąłem się na dwa konie pociągowe. Jakże one szanują nas – ludzi. Lubią...Wielbią, są wierne i oddane, ufne i zapatrzone w nas jak w bogów. Bez kitu! Takie odniosłem wrażenie. Rodzaj ludzki jest dla nich jak... – no nie powiem kim, bo to chyba niezbyt trafne porównanie. Zresztą JEZUS mówił, że wszyscy jesteśmy równi, że nie ma równych i równiejszych. Myślę jednak, że ludzie dla koni (być może dla innych udomowionych zwierząt również), są tym samym, czym Wyższe Istoty dla człowieka. Pewnie nam do Wyższych bliżej niż psom i koniom do nas, jednak istnieje tu pewna analogia. Kochając zwierzęta dajemy im szansę piąć się wyżej; będąc kochanymi przez Wyższe Istoty, dane nam jest ewoluować, iść w stronę światła. Prosta sprawa: kochać i być kochanym – najlepsza energia napędzająca ewolucję.

*Ciężka, o dużej grawitacji i gęstości, lokacja. Wąsko, mało światła, jednak nie boję się mroku. Panuje tu dość ciekawa atmosfera. Mimo że*

*przez zasłonę granatowej mgły nic nie widzę, wyczuwam ident koni, jest tak silny, że aż bije po oczach. Trudno mi się poruszać, czuję ucisk na klatce piersiowej, zapiera mi dech. Mało miejsca, muszę się rozpychać. Rozsunąć niewidoczną energię lokacji i szybko zmniejszyć swoje rozmiary. W przeciwnym razie nie zrobię nawet kroku, nie dostroję się do identu konia, a chcę tego, bo czuję, że jestem blisko i muszę to zbadać! Wiem, że to... koński astral. Całe miejsce jest aż przesiąknięte energią koni. Drugiej okazji może nie być. Jeszcze jedno rozepchnięci i obkurczenie − obniżenie wibracji i kolejne...*

*„Jest! Coś dostrzegam!" Granatowa mgła w końcu łagodnie się rozstępuje i oto widzę przede mną dwa jasnogniade konie. To konie pociągowe! Mają długie, faliste grzywy, kopyta jak pędzle, muskularne sylwetki. Stoją obok siebie jak w zaprzęgu, jednak nie widzę na nich uprzęży, ani wozu za nimi. Widocznie przyzwyczaiły się do chodzenia w parze, może zżyły się ze sobą... Mój wzrok przykuwa pewien szczegół − zamiast nozdrzy mają oczy! Wielkie, wybałuszone końskie ślepia bez powiek. „A dlaczego tak? Gdzie są ich oczy?", zastanawiam się. Podchodzę bliżej. Wydaje mi się, że konie cieszą się na mój widok. Myślałem, że zwierzęta nie przepadają za ludźmi, zwłaszcza gdy się ich używa do ciężkiej pracy. Ale one niemal wychodzą z siebie, tak się cieszą. W astralu nic się nie ukryje. Widać, że konie kochają człowieka. Mam kontakt ze zwierzętami, ale czuję się trochę zakłopotany. Gdybym wiedział jak, to stworzyłbym dla nich chociaż marchewkę albo cukier... Wiem, że to lubią. Ale nie mam z czego zagarnąć tekstury planu, by cokolwiek zmaterializować, szkoda! Może przynajmniej je pogłaszczę i poklepię, to chyba też lubią.*

*Konie wydają się całkiem zwykłe, ale nie do końca. Ich ciała astralne są nieco inne niż fizyczne. Właśnie zauważyłem drugą parę oczu. Są mniejsze, mają mocno przymrużone powieki. Znajdują się nie tam, gdzie powinny być, tylko na żuchwie. „Dlaczego tam? Może to przez długą grzywę, która ogranicza zwierzętom widoczność?" Nie mam pojęcia. Na oku dostrzegam coś w rodzaju cienkiej, jasnej błony. Podobną mają ptaki. „Czyżby koń widział nosem, a oczy były tylko dodatkiem?" Wszystko na to wskazuje. Myślę, że te wielkie jak piłki do tenisa, ciem-*

*nogranatowe organy umieszczone zamiast nosa, to receptory węchu, te zaś znajdujące się na żuchwie są małymi rejestratorami obrazu. Zwierzęta mają normalne uszy jak u prawdziwego, fizycznego konia.*

*Wyczuwam coś jeszcze, coś ledwie uchwytnego: bardzo subtelną formę czegoś więcej niż tylko zmysłu. To coś jest w środku zwierzęcia – nieznany ludziom dodatkowy aparat odbioru wrażeń z otoczenia. Nie mam pojęcia, czym to jest. Tak jakby koń miał w sobie antenę w formie wrażliwej struny, wychwytującej każdą, nawet najmniejszą, falę emitowaną nie tylko przez osobniki własnego gatunku ale też inne stworzenia. Niezwykle czułe radio nastawione na kanał „Natura" – nasłuch i połączenie w jednym. Czy to jest instynkt? Jeśli to jest tym, o czym myślę, to ja chcę być koniem! To jest jak połączenie z innymi stworzeniami jednym wspólnym planem! Coś niebywałego!*

*„Wszystko pachnie człowiekiem. Cały świat nim pachnie…"*

*„O! Chyba ich usłyszałem. To na pewno nie były moje myśli! Kurczę, naprawdę słyszę końskie myśli!"Nie rżenie, tylko klarowną wypowiedź! Widać koński astral potrafi wszystko przetłumaczyć. Spróbuję coś powiedzieć. Tylko o czym? Jestem zupełnie zbity z tropu. Zwierzęta wciąż sprawiają wrażenie zauroczonych mną. Przypominają podekscytowane dzieci, czekające na zabawkę od dorosłego.*

*„Śmierdzimy czy pachniemy?"*

*„Ludzki zapach, wszystko nim przesiąknięte, wszędzie jest…".*

*„Dlaczego oczy macie na żuchwie, a nie wyżej w oczodołach?", pytam myślą.*

*„Specyficzna, ludzka woń. Nic tak nie pachnie…".*

*Czuję, że nie porozmawiam. Mają tylko jedno w głowie: zapach człowieka. Biedne koniki. Ile jeszcze przed nimi szczebli w rozwoju. Widać miały dobrego pana. Ciekawe czy umarły czy śpią? W sumie to żadna różnica. Na pewno od nich tego się nie dowiem, skoro od ludzi nie mogę…*

# 23

# Obca forma odległego Ja

Kosmita

− A cóż to za postać szpetna, pokraczna?
Horror *Hitchcocka* przy niej to pikuś.
− O pardon, wypraszam ja sobie!
To moja jaźń, jestem kosmitą.

*Ktoś niezidentyfikowany, półprzezroczysty o mocno zamazanym idencie, wyłania się po lewej stronie i zatrzymuje się metr ode mnie. Zastanawiam się chwilę, czy przypadkiem nie jest to mój aspekt, bo wiem, że one niekiedy lubią wyskakiwać ze mnie. Ale ten jest raczej kimś z zewnątrz, a nie z wnętrza. Istota o mało na mnie nie wpadła, jakbym był jej celem podróży, wyhamowała w ostatniej chwili. Odbieram jej pozytywne wibracje – obce, dalekie od ludzkich, jednak dobre i przyjazne. „W końcu ktoś na podobnym poziomie!”, myślę, otwieram się odrobinę i czekam, co nastąpi. Wyczuwam, że Przybysz pragnie się czegoś nauczyć, jakiejkolwiek ludzkiej rzeczy, jest mocno otwarty na naukę, aż dygocze z podniecenia. Próbuje się porozumiewać w dziwny sposób: nie przypomina to wymiany słów myślami, tylko bardziej wymianę wibracji niosących informacje. On się dostraja do mnie, ja do niego, po czym ułamek sekundy później wyraźnie wyczuwam, o co mu chodzi. „Ale fajny sposób konwersacji, taka telepatia wibracjami! Dotychczas nie spotkałem się z czymś takim”.*

*Obcy komunikuje, żebym natychmiast dał mu coś do zabawy, cokolwiek. Wydaje się zniecierpliwiony. Desperacko grzebię w kieszeniach w nadziei, że przypadkiem stworzyłem sobie kopię komórki, ale gdzie tam, jestem w samych gaciach!*

*Nagle ktoś z tyłu podaje mi mały dziecięcy rowerek. Nie wnikam, kto, nie odwracam się nawet, tylko mentalnie dziękuję i natychmiast wręczam Przybyszowi zabawkę. Ten natychmiast wsiada na rowe-*

*rek i oto jak za dotknięciem różdżki staje się bardziej widoczny, jakby energia dziecięcej zabawki nadała mu postać. Oto widzę kilkuletniego chłopca! Próbuje jechać, jednak ma trudności z utrzymaniem równowagi – co wsiądzie na siodełko, to łubudu, i leży. Jak pijany. Dociera do mnie, że nie zna sposobu na zachowanie równowagi. Na jego planecie układ sił grawitacyjnych jest inny. Tłumaczę mu, co trzeba robić, by ją utrzymać.*

*– Jedź, po prostu jedź! Musisz jechać, jeśli będziesz stał w miejscu, to się wywrócisz!*

*Popycham go do przodu. Nabiera rozpędu, trochę się chwieje i jedzie slalomem, ale już po chwili załapuje o co chodzi i przyspiesza. Biegnę za nim. Boję się, że zrobi sobie krzywdę. W sumie to jesteśmy w poza, ale jakoś się o niego martwię. Dobrze mu idzie, mknie coraz szybciej. I znów dzieje się coś nieoczekiwanego: rowerek nagle znika, a w jego miejsce pojawiają się rolki. Obcy najnormalniej w świecie automatycznie przeskakuje na wyższy poziom nauki, jakby astralny plan miał swoją inteligencję i sam dostosowywał warunki do aktualnych umiejętności. Przybysz nie jest już też kilkuletnim chłopcem, tylko rosłym nastolatkiem. Pędzi na rolkach, a ja ledwo za nim nadążam.*

*„Czyli poza jest automatyczną maszyną uczącą? Symulacją, która ma na celu przygotować kogoś do prawdziwego życia, a po zakończeniu egzystencji w realu stać się dla „ucznia" przejściowym środowiskiem? Ależ oczywiście!"*

*Młody adept nabiera jeszcze większej prędkości. Teraz już nie jestem w stanie go dogonić. Rolki znikają, przybysz zaś zaczyna się unosić. Teraz leci w małym modelu samolotu. Macha skrzydłami doskonaląc utrzymywanie równowagi w powietrzu. Widać pasjonat z niego całą gębą. Chce doprowadzić umiejętność do perfekcji.*

*− Ej! Tylko nie nad głową! Skręcaj! Skręcaj!*

*Trach! Istota uderza mnie centralnie w korpus. Wleciał we mnie. Nie czuję bólu. Następuje lekkie szarpnięcie w tył, w głowie głośne „Cyk!", i oto jestem u siebie w pokoju a obok mnie... „Ja pierniczę, co to jest!". Teraz widzę, kto się ze mną bawił. Kto tak bardzo starał się nauczyć utrzymywania równowagi. Jestem blisko ciała, a tu gęstość*

*niefizycznej materii jest większa i dlatego wszystko widać jak na dłoni. Na częstotliwościach obszaru przycielesnego jest jak w realu:vis a vis mnie widzę wielkie ciemno-zielono-granatowe jajo. Ma około półtora metra wysokości, przypomina kurze: u dołu bardziej owalne, zaś u góry szpiczaste. Co ciekawe, na obu bokach ma coś w rodzaju ramion. Są to wielkie, masywne szczypce. Poza tym to coś posiada małe oczy, wybałuszone podobnie jak u raka, osadzone w szpiczastej, górnej części jaja. Na czubku ma przymocowane duże czteropłatowe śmigło wzmocnione na obwodzie płaską bednarką. Z miejsca, które można porównać do otworu gębowego, wychodzą dwie karbowane rury. Ni to wąsy, ni to coś do oddychania. Zarzucone do tyłu wnikają w jego plecy. Jajo nie ma nóg, zamiast nich posiada jednak malutkie rozstawione niesymetrycznie płetewki, jedną większą, drugą o połowę mniejszą. Na dole poniżej znajduje się coś, co przypomina kłykcie lub wyrostki – jakiś przełącznik? Nie mam pojęcia co to.*

*„Co to za istota? Nie jest zła, absolutnie!” Wręcz przyjazna, ale jej wygląd niejednemu by napędził porządnego stracha. „Boże kochany! Jaka szkoda, że nie potrafię malować. Przy niej wygląd wszystkich istot z filmów science fiction po prostu się chowa!”*

*Przypominam sobie, że sam ją zaprosiłem do mojego OSPUO, mieliśmy się pobawić. Istota chciała coś przeżyć, więc się zgodziłem. Na innych planach nie była taka wyraźna i zmieniała postać, przyjmując ludzkie formy. Zaś teraz widzę ją taką, jaka jest naprawdę. Piękna i straszna zarazem.*

*Nie wiem dlaczego, ale czuję do niej coś więcej niż sympatię. Skąd się bierze to uczucie?*

*Przybysz chwyta mnie za prawą rękę i zaciska na niej wielkie szczypce. Teraz macha moją ręką, mocno nią potrząsa jak przy przywitaniu. Nie ma złych zamiarów. Chyba chce powiedzieć: „Cześć!”. „Nie!”, pojawia się w mojej głowie odpowiedź. On się nie wita, to coś innego. Zaciska szczypce mocniej, prawie sprawiając mi ból, i zaczyna szybciej machać. „Boże, nie wiem, o co mu chodzi...”. Istota nie umie mówić, odbieram tylko komunikat „Nie!” Patrzę jej w oczy i mówię na głos:*

*− Nie rozumiem cię, nie rozumiem! Spróbujmy innej formy komunikacji. Może wibracjami, jak na początku. Odpowiada, tylko: „Nie, nie, nie!...”*

*Z boku mnie wysuwa się wielka, tekturowa kartka. Coś jest na niej napisane: widzę symbole, znaki, niezrozumiałe rysunki. Dostrzegam jakieś słowo. Przyglądam się uważniej. To dwa słowa, są zakreślone na czerwono pośród innych podobnych. Skądś to znam. „To przecież kartka z książki R. A. Monroe przyklejona do tektury – słownik pojęć niezwiązanych z czasoprzestrzenią!” Odczytuję zaznaczony wers: „Brak perceptu”.*

*Teraz wiem: „Nie możemy się dogadać!”*

*„Boże, to przecież oczywiste. Nie potrzeba do tego „Trylogii” Monroe’a. Istota jeszcze mocniej mnie ściska, potrząsa moją ręką, o mało nie wyrywając mi jej ze stawu.*

*Patrzę w oczy Obcego i próbuję przeniknąć jego myśli. Widzę, że Przybysz wpadł w panikę, coś mu wyraźnie dolega, coś jest źle. Odbieram sygnał „Tak, tak, tak!...”. „Może wcisnę mu te wyrostkokłykcie, przełączę je, to zaskoczy? Kurczę, nie mam innego pomysłu”.*

*Oglądam Istotę od góry do dołu i mocno się wyostrzam. „Już wiem! Ona się dusi!” Szybko odbieram wyraźny komunikat: „tak, Tak, TAK!...”. Myśli przelatują mi przez głowę, w pierwszej chwili nie wiem, czy to moje, czy Obcego. Śle mi obrazy, wcześniej pobierając je wprost z mojego umysłu. Coś do nich dodaje i wysyła z powrotem, tak, abym zrozumiał, co mu dolega. „Dlaczego dopiero teraz?!”*

*Widzę bak i wyciekające z niego paliwo, szybko pracujący respirator, akumulator i podpiętą do niego ledwie żarzącą się żarówkę... Odczytuję komunikat: „Wpadłem w dekompresję, duszę się, zatamować wyciek paliwa, energia we mnie gaśnie...”.*

*Wpadam w panikę. Nie wiem, co robić, jak mu pomóc! Tak mi go szkoda... Ależ się męczy. Nie mogę na to patrzeć. Istota wyraźnie cierpi, a ja nie jestem w stanie tego przerwać. Niewinna zabawa skończyła się tragicznie. Wiem, że nie umrze, jednak cierpi. Przytulam ją mocno do siebie i nie wypuszczając z ramion, gwałtownie wycofuję się do ciała...*

Budzę się w świecie fizycznym. W klatce piersiowej odczuwam nieprzyjemny ucisk i chlupotanie. Dziwne wrażenie. Jestem nie tylko rozbity emocjonalnie, ale też fizycznie nie czuję się najlepiej. Podejrzewam kto to był i gdzie jest teraz. Ależ mam mętlik w głowie!

Czyżbym przez przypadek wchłonął obcy byt? Czy to w ogóle jest możliwe? Jeśli głębiej się nad tym zastanowić, to on nie do końca był obcy. W niefizycznym świecie forma istnienia daleka od humanoidalnej niekoniecznie musi oznaczać, że jest całkiem obca. Przybysz przy tak strasznym i dziwacznym wyglądzie nawet odrobinę mnie nie przeraził, ani nie wzbudził we mnie uczucia odrazy. Wręcz przeciwnie: natychmiast poczułem do niego głęboką empatię i więź z nim. Być może była to odległa forma mnie, taki pra pra „ja". Nie wiem co o tym sądzić. Wiele na to wskazuje.

Mówiąc szczerze, niekiedy doświadczenia z poza bardzo mnie przerastają. Przestają się mieścić nie tylko w głowie, ale i w całym mnie. Dlaczego czuję taki dyskomfort w piersi? Jakbym stłumił w sobie wulkan emocji. Co to jest? Dlaczego stary chłop ma łzy na policzkach? Z wielkim trudem akceptuję, że to byłem ja. Nie pamiętam jednak, abym był taką istotą. Musiało to się zdarzyć w zamierzchłych czasach i zdecydowanie na innej planecie. „Dlaczego mam zresetowaną pamięć? Fajnie byłoby to wszystko pamiętać. Byłaby lepsza zabawa".

Na podstawie wyglądu mogę przypuszczać, że naturalnym środowiskiem tamtego mnie była woda i powietrze, na pewno nie ląd. Teraz jestem zwierzęciem *stricte* lądowym – człowiekiem. Jednak wtedy nie miałem nic wspólnego z lądem. Przybysz nie potrafił utrzymać równowagi nawet na ułamek sekundy.

Jeszcze raz, bo mi to chodzi po głowie: mocny pancerz, szczypce, korpus w kształcie jaja, zamiast kończyn płetewki, małe ślepia, coś w rodzaju śmigła do latania i aparat oddechowy. Nie jestem zoologiem, ale domyślam się, że była to raczej dość agresywna planeta o niezbyt przyjaznych warunkach do życia. Być może zamiast wody żrąca ciecz lub woda, ale pełna drapieżników. Zamiast powietrza, drażniący gaz? Po co ten aparat oddechowy? Obcy nie wyglądał na drapieżną istotę, nie miał zębów ani pazurów. Szczypce sprawiały wrażenie dużych ale

raczej defensywnych. Przybysz przypuszczalnie nie miał okazji zbyt często oglądać słońca – wskazywałyby na to jego małe oczy jak u raka. Być może żył w głębinach, ewentualnie przejawiał aktywność nocą, a może jego planeta była mało nasłoneczniona. Potrafił przy tym, co brzmi zupełnie niewiarygodnie, latać. Może nie był zbyt wyrafinowanym lotnikiem, bo nie posiadał skrzydeł, ale duże śmigło było w stanie go unieść... – to tylko dedukcje umysłu, który pragnie za wszelką cenę zrozumieć i przyjąć do wiadomości, że to byłem ja.

Ciekawe co mnie jeszcze zaskoczy w poza? Najwyraźniej muszę wyciszyć się, uspokoić myśli. Dopóki nie mam wglądu w całość, ciężko jest zrozumieć poszczególne elementy. Próba wytłumaczenia czegoś na siłę rodzi tylko chaos i bariery. Poznam więcej, to zrozumiem. Wiedza przyjdzie sama wraz z doświadczeniem.

# 24
# Ognisty pasażer na gapę

Brama

Ludziom się mocno wydaje,
Jak osły uparte twierdzą,
Że nie mogą być więcej niż ciałem,
Nie wiem, czemu tak bredzą.

A tu niespodzianka tajemna,
Przed światem odkryta świeża,
Nie dość że człek jest duszą,
To jeszcze kosmiczną bramą.

*Wyszedłem z ciała jak gdyby nigdy nic. Stoję i obserwuję niebo. Nagle wyłania się coś w rodzaju lodowej chmury w kształcie fikuśnego stworzenia. Ni to delfin, ni to kaczka, trochę foka. Opływowy kształt pasuje zarówno do latających jak i wodnych istot. Przyglądam się uważnie, gdy nagle to skręca i wali prosto na mnie! „Czyżbym myślą ściągnął to na siebie? Nie wiem”. Zobaczyło mnie. Nie myślę o ucieczce, bo wyczuwam przyjazny ident, stoję i czekam, zastanawiam się, co zaraz nastąpi. Kilkanaście metrów przede mną stworzenie nieznacznie zmienia tor lotu, jakby chciało uniknąć kolizji. Na moich oczach płynnie zmienia się z lodu w chmurę, następnie w coś w rodzaju piany, wciąż zachowując opływowy kształt i z wielkim hukiem uderza w ziemię. Czuję wyraźny wstrząs, jednocześnie słyszę potężny grzmot, jakby uderzenie pioruna, które spowodowało drżenie ziemi. Do tej pory czegoś podobnego jeszcze nie doświadczyłem! Owszem w poza odbiera się dźwięki, ale nie o takim natężeniu. No i ten wyraźny wstrząs, jeszcze mi nogi drżą...! „Co się w tym astralu dzieje na litość boską?!”*

*Zaczynam biec, by zobaczyć z bliska miejsce katastrofy. Nie jest daleko. Faza pozwoli mi tam dotrzeć bez problemu. Mimo że ident istoty wydaje się przyjazny, mając w pamięci spotkania z negatywnymi ener-*

*giami, postanawiam zachować szczególną ostrożność. Trochę się przestraszyłem tego huku...*

*Docieram na miejsce. Widzę leżącą na ziemi dużą kupę piany. Z łatwością mogłaby skryć cztery auta. Wyciągam prawą dłoń w stronę obiektu i próbuję zapuścić sondę. Chytra sztuczka, której się nauczyłem jakiś czas temu. Wiedząc, że w dłoniach mam coś w rodzaju gniazd spustowych przez które komunikuję się rotami*, *wyczułem, że mogę tą drogą wysyłać mentalny sygnał i nie wchodząc do obiektów, badać ich wnętrze. Mocne skupienie i już po chwili odbieram na odległość to, co spadło z nieba. Nie stwierdzam nic prócz promieniowania cieplnego. Ostrożnie podchodzę bliżej. Uczucie ciepła narasta. Zaczyna lekko parzyć sondę. „Lepiej będzie się zatrzymać...". Nie skracając dystansu obchodzę obiekt dookoła.*

*Lodowa piana powoli zaczyna topnieć, najpierw na obrzeżach a następnie w całości. W końcu odsłania się jej zawartość. Widzę niewielkich rozmiarów krater pełen roztrzaskanych fragmentów czegoś, co kiedyś chyba było kapsułą. Na ziemi walają się fragmenty skorupy z zamontowanym w środku wzmocnieniem, czymś w rodzaju ożebrowania. Resztka piany w końcu znika i wtedy zauważam Kosmiczną Istotę! Pierwsza myśl jaka pojawia się w mojej głowie to „Boże! Jak ja to opiszę, gdy wrócę?!"*

*Jestem zaskoczony, ale nie boję się. Absolutnie! Raczej się obawiam, czy aby nic się nie stało przybyszowi. Ale chyba nie, bo wyczuwam, że żyje, zresztą to niefizyczny świat, więc co tu się może stać? Odbieram ponadto, że pasażer kapsuły dochodzi do siebie, jest w trakcie rehibernacji czy jakiegoś podobnego procesu. Wyczuwam, że następuje u niego pewien rodzaj przebudzenia, wyrównywanie fazy. Wiem, że nic mu nie jest i zaraz się ocknie, musi tylko wytracić dostateczną ilość temperatury. Śnieżna piana obłoku i pancerna kapsuła bardzo dobrze spełniły zadanie ochronnych buforów.*

*Kosmiczna Istota wygląda jak rzeźba delfina czy też kaczki bez nóg, jest wyszlifowana z ciemnografitowego pumeksu. Obłe aerodynamiczne kształty zdradzają, że jej naturalnym środowiskiem jest powietrze lub woda, a ściślej gaz lub ciecz. Za chwilę odkryję coś niebywałego:*

*okaże się, że pochodzi z Wnętrza Ziemi, a jej naturalnym środowiskiem jest... magma!*

*Głowa trochę podobna do czaszki delfina z dziobem gęsi. Brak szyi i oczu. Tułów... – ni to pingwin, ni to foka. Górne kończyny przypominają bumerang, mogą być zarówno skrzydłami jak i płetwami. Ogon rozłożony poziomo jak u wieloryba. Istota jest cała jakby z pumeksu. Nie jest duża: ma około 1,5 m długości; grubość jej tułowia nie przekracza pół metra, płetwo-skrzydła też mają około 50 cm.*

*Istota robi nagły ruch, trochę jak foka, która chce wskoczyć do przerębla, ale nie nurkuje, lecz... wzbija się w powietrze.*

*– Poczekaj! Poczekaj! Chcę porozmawiać! – wołam.*

*Latająca pingwino-foka powoli, majestatycznie zatacza nade mną szeroki łuk. Od razu widzę, że daleko jej do dobrego lotnika, bo w powietrzu zachowuje się trochę jak ociężały ptak. Wykonuje kolejny wielki zakręt, przelatuje tuż nad moją głową i dalej, poruszając się po spirali, próbuje osiągnąć wyższy pułap. „Co on kombinuje?", zastanawiam się. „Lata w koło, jakby nie mógł się wznieść…".*

*Nie tracąc istoty z oczu, zerkam na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą wylądowała. W szczątkach kapsuły, w resztkach śnieżnej piany, dostrzegam grafitowy sześcian: kostkę wielkości pięści. Nie jest z pumeksu jak przybysz, ma inną, bardziej zbitą strukturę. Ostrożnie biorę kostkę do ręki. Choć wygląda jak szkło, a to na pierwszy rzut oka wydaje się sporo ważyć, ledwo wyczuwam jej ciężar. Sześcian jest zbudowany z czegoś, co przypomina kwarc, tylko ma kolor grafitu. „Co to jest, do licha? Raczej nie rota, bo już wpadłaby mi w dłoń lub się otworzyła. Może to część lub organ obcego?"*

*– Hej! Coś zostawiłeś! Wracaj! – wołam.*

*Istota totalnie mnie ignoruje. „Taka okazja: prawdziwy obcy! Ale mi się trafił rodzynek! Muszę, koniecznie muszę nawiązać z nim kontakt!"*

*A cóż to?! Ziemia w miejscu nad którym krążył, otworzyła się! Stoję teraz naprzeciwko wielkiego krateru, wyciętego równo jak od cyrkla. Istota wciąż zatacza kręgi w powietrzu, tyle że już nie nad Ziemią, tylko w jej wnętrzu, w dziurze, która nagle powstała tuż przed moimi sto-*

*pami! „Lotnik” łagodnie opada w dół, po spirali, trzymając się blisko ścian gigantycznej studni. Najwyraźniej tnie swoją energią niefizyczną materię, by dostać się do… „To istota ze środka Ziemi!”, przelatuje mi przez głowę. Wszystko na to wskazuje: opływowy kształt, ciało z pumeksu, i teraz ten krater...*

*– Hej! Twoja kostka! Wracaj!*

*Wyciągam sześcian przed siebie i trzymając go niczym przynętę, z całych sił na jakie tylko mnie stać, używając tej samej energii co przy neuroprzesunięciu, wystrzeliwuję w sam środek istoty promień myśli:*

*„WRACAJ!”*

*Nie od razu lecz po krótkiej chwili istota odwraca dziób w moją stronę. Natychmiast wzmacniam sygnał i jednocześnie zaczynam machać ręką, w której trzymam kostkę. „Niech przylatuje jak najszybciej, bo nie utrzymam się za długo...”. Wysyłanie sygnału kosztuje mnie zbyt dużo energii, już czuję jak mi się wszystko napina, lekko cofnęło fazę w kierunku ciała.*

*„Jest! Zawraca! Powoli obiera kurs na mój ident. Uff!” Zwalniam siłę sygnału. Robię głęboki wdech, wyrównuję fazę.*

*– No chodź! No chodź! Cacy stworzonko. Mam twój sześcian. Zobacz!*

*Udało się! Leci prosto na mnie. Lotnik z niego nie najlepszy, sunie jak czołg po szynach. Rozluźniam się i czekam. Na pewno czegoś się dowiem, wyrwę jakoś tajemnicę wszechświata.*

*– Ej! Ale zwolnij!*

*Zamiast hamować, przyspiesza. „Ożeż!” Nie mogę się ruszyć! Obcy ma na brzuchu swastykę! Nie zauważyłem jej wcześniej. Czuję, że nie ma to nic wspólnego z faszyzmem. Znak jest symbolem ognia. To pasowałoby do magmowego stworzenia. W głowie słyszę:*

*„Ciekawa energia”.*

*„Sześcian?”*

*„Nie. Świdrowanie”.*

*„Sygnał neuroprzesunięciem?”*

*„Bardzo ciekawe. Co masz jeszcze?”*

*I łup, uderza pyskiem w moją klatkę piersiową. Pach! Jestem w ciele…*

Kilka dni później...

*Po wyjściu z ciała i wyrównaniu dostrojenia przechodzę do standardowej procedury – wołam mentalnie „Niech moją eksterioryzacją pokieruje MTJ…”. Jeszcze nie kończę, a tu pojawia się poznany niedawno kaczo-delfin! Nie jest z pumeksu, tylko ze złota, wygląda jakby go pomalowano złotą farbą... Widocznie w jakiś sposób zmienił swoją niefizyczną powłokę. Nie ma też takich rozmiarów jak ostatnio – teraz jest przynajmniej o połowę mniejszy. Chwyta mnie swoimi wibracjami, unosi w górę, a gdy znajdujemy się na znacznej wysokości, zaczyna mnie kierować ku linii horyzontu. Lecę. Już po chwili daleko przede mną wyłania się gigantyczna, rozświetlona milionami jarzących się punkcików metropolia. Czuję jak faza się urywa…*

Pamiętam, jak podczas lotu przyglądałem się istocie. Oprócz swastyki zauważyłem na niej symbol trzech róż, był jak wygrawerowany na jej złotym ciele – trzy zrośnięte ze sobą łodygi i na każdym z jej końców pąk rozkwitłej róży... Nie mam pojęcia, co to mogło oznaczać, może kiedyś się dowiem... Jedno jest pewne istota zamieszkała we mnie...

# 25
# Pisarskie morale Swomi-Romi'ego

Kukułcza ambicja

W życiu nie wycierpiałem tyle, co doświadczając siebie.
O ile człowiek szczęśliwszy bez ambicji w sobie...
Toż to zarżnąć się można, zatyrać na śmierć,
I te kłęby myśli dwadzieścia cztery na dobę.
Lepiej być prostym, z drewna ciosanym,
Nie brać tyle na siebie, i częściej mówić „nie wiem".
Po co to komu? I tak pójdzie w kąt,
Jak grochem o ścianę, jak kropla w oceanie...
W najlepszym razie odczytane będzie,
Jako science-fiction wyznanie – kukułcze orędzie.

Moje morale pisarskie mocno podupadało. By dalej kontynuować pracę, jestem zmuszony coś wyjaśnić. W innym wypadku nici z tego. Pisać o tych rzeczach, proszę mi wybaczyć, nie można ot tak sobie. Bo to nie daje satysfakcji, a i przekaz jest wtedy niepełny. Wszystko powinno zostać ujawnione, być zgodne z prawdą i na bieżąco aktualizowane. W tekście nie zamierzam niczego poprawiać, upiększać czy przemilczać, broń Boże. Zostanie tak, jak jest. Jednak pragnę coś wyjaśnić. Dziś nad ranem zostałem wyraźnie ostrzeżony przez część mnie, która przejmuje pałeczkę w czasie pisania. Nie jest to aspekt tylko element zbiorowości mojego Ja, który w odróżnieniu od aspektu nie jest cechą, czy rolą nabytą podczas inkarnacji, tylko odrębną osobowością zespoloną z centralnym Ja (podobnie zresztą jak i inne części mnie). Gdy jestem w ciele fizycznym, one wszystkie są we mnie. A gdy jestem poza nim, stanowią autonomiczne Ja, z którym mogę prowadzić dyskusje jak z drugim człowiekiem.

Otóż dzisiejsze spotkanie z pisarską częścią mnie nie przypominało dyskusji, tylko ostry ochrzan. Ja słuchałem, on ochrzaniał. Zostałem skarcony i to dość surowo. Wszystko oczywiście w granicach do

przyjęcia. Na początku gry – pisania książki – ustaliliśmy pewne reguły i wyraziłem zgodę nawet na konkretne joby, jeśli coś nie będzie szło. Bo wiadomo: pisać o wychodzeniu z ciała, jest bardzo trudno. Należy dbać o formę, w grę wchodzi też filtr ego, jak i obawa o właściwą interpretację czytelnika. A powinno się oddać fakty z najdrobniejszymi szczegółami. Jest jeszcze wiele innych czynników, które mają wspólny mianownik, a jest nim mówienie prawdy tak, by dotarła ona do jak największej liczby odbiorców, a przy tym nie była zbyt ciężkostrawna.

Najgorsze do przeskoczenia jest ego. Niekiedy nie jestem w stanie powiedzieć całej prawdy, a i sam umysł, galopując za słowem, czasem znajduje się na wirażu. Choć do tej pory nie przeinaczyłem niczego szczególnego w kontekście całej treści, to jednak jestem zmuszony wyjaśnić parę rzeczy. Nie zamierzam nic poprawiać, choć to na razie tylko rękopis i do druku jeszcze nie poszedł. Przelecę jeszcze raz cały tekst aż do tego fragmentu i wyjaśnię wszystkie nieścisłości. Prawda i honor ponad wszystko!

Otóż Gołąb z piórem wcale nie był koloru złota, jakoś tak mi się napisało. Ujrzałem go w srebrnej klatce na tle świetlistej kuli, identycznej jak mój MTJ. Trudno mi było określić kolor ptaka, bo światło trochę mnie oślepiało. Złoty nie był, raczej biały lub jasno-srebrny. Jednak gdy się zbliżył, a faza dobiegała końca, w dzióbku, owszem, trzymał białe pióro, ale sam był zwykłego, że tak się wyrażę „gołębiowego” koloru. Doznanie miało kilka etapów i ciągnęło się przez dłuższy czas. No właśnie, teraz przechodzę chyba do najważniejszego. Niekiedy łącze kilka doznań w całość i opisuję je jak jedno. Stwierdziłem, że tak będzie się lepiej czytało. Dotyczy to jednak mniej znaczących wydarzeń. Natomiast doświadczenia z Wyższymi Istotami zwłaszcza z JEZUSEM, Aniołami, MTJ-em i (jak w dalszej części opiszę) z Samym Twórcą – BOGIEM OJCEM, przekazuję słowo w słowo na podstawie nagrania z dyktafonu. Trochę wyprzedzam temat. Ale tak właśnie jest: udało mi się spotkać z BOGIEM – PraOjcem! Jeśli sobie życzysz, możesz oczywiście przeskoczyć kilkanaście kartek. Żaden problem, ja tu zaczekam. Zresztą staram się, by książka miała formę kuli i tak jak kula nie posiadała początku ani końca. Wiadomo, że lepiej czytać od pierwszej stro-

ny do ostatniej, ale nic się nie stanie, jeśli zacznie się ją poznawać od środka lub wyrywkowo.

Na co jeszcze mi zwrócił uwagę Swomi-Romi, bo tak ma na imię... Poczułem ulgę i wzrost morale, więc chyba wszystko wyjaśniłem. Aha...: abym nie przesadzał z emocjami, oszczędnie przelewał je na papier. W innym wypadku dziennikarskie sprawozdanie zamiast formy reportażu zamieni się w ciężkostrawny, przeładowany sensacją patos. Obiektywizm i sucha prawda są najcenniejsze jako rdzeń przekazu, reszta to tylko nieistotne dodatki i przyprawy. Nie mogę z nimi przesadzić, bo zakryją to, co najważniejsze i popsują smak. Muszą być, ale ich ilość należy umiejętnie dozować.

Zwrócił mi również uwagę, abym nie przeholował z uzewnętrznianiem się (jak w „MiWPC”), abym odsłaniał prawdę, ale bez nadmiernego ekshibicjonizmu. Źle się czyta czyjeś intymne zwierzenia, niektórych mogą one wprawiać w zakłopotanie.

Pozwól mi, Swomi, przedstawić Cię bliżej. Mogę? Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Nie jako jeden Ja, tylko nas dwóch stojących obok siebie? Jak byliśmy razem, gdy przywoływano nas, ciebie i mnie, nas-mnie do ciała?

>>„Swomi–Romi, poeta, do ciała!”<<

Astralna Matka mnie tak budziła. Oj nie raz tak nas wołano. W kolejce z innymi Ja, gdy mnie odwrócono, a ty stałeś pośród innych, też mnie tak określono**.** Zapamiętałem to imię, choć moja pamięć jest daleka od doskonałej.

Pamiętam jedno z pierwszych przypadkowych ocknięć w Centrali JA. Miejsce wyglądało jak wnętrze teatru. Inne części nas siedziały w fotelach, a my popędziliśmy na scenę. Wchodzimy w biały ekran i hop! – pobudka w ciele. Ale nie w sypialni, tylko gdzie? W aucie! Bo wtedy akurat jeździłem po całym kraju z książką. Szkoda mi było pieniędzy na hotel, więc spałem w aucie. Biznesmen ze mnie jak z koziej dupy trąba!

Pamiętasz pierwszy dłuższy dialog między nami? Wychyliłeś się zza mnie w płytkim, ale dobrze uformowanym obszarze przycielesnym

i coś do mnie mówiłeś. Ja, nie mając jeszcze pełnej świadomości, nic nie rozumiałem, słyszałem tylko bełkot i podprogowe sugestie. Nie wiedziałem nawet, że to ty. Przypominało to bardziej monolog niż dyskusję. Dopiero gdy napłynęła świadomość, gdy usłyszałem twoje-moje imię, wówczas monolog zamienił się w dialog:

*„Ciekawe rzeczy opowiadasz. Dzisiaj to rzadkość. Jak masz na imię?"*

*„Swomi-Romi".*

*„Jak?"*

*„Swomi-Romi".*

*„To przecież ja się tak nazywam! Do mnie tak wołano kiedyś we śnie, żebym wracał do ciała. Chwila, moment! A gdzie jestem w tej chwili. To przecież poza! O czym to mówiłeś? O jakiejś ewolucji, zadaniu którego się podjąłeś, że przewodzisz w programie rozwoju, że odpowiadasz za nasz postęp… Możesz to powtórzyć? Kurczę, to było bardzo ciekawe… Ty trzymasz sztamę z tymi Wyższymi? Dobrze rozumiem?"*

*Jest trochę podobny do mnie, spojrzenie może bardziej wycofane niż u mnie, introwertyczne, ale dobrotliwe… Włosy średniodługie, faliste, jest szatynem. Oczy ma wrażliwe, może nawet trochę nieśmiałe. Milczy. Odzyskałem pełną świadomość, a on – inny Ja – zamilkł. Widać trochę zbiło go to z tropu. „Kurczę, taka okazja! W ogóle się nie przygotowałem. Dzisiaj wyszedłem z ciała jak głupi – po cyfry w totka. Zamiast nich znalazłem innego mnie. Muszę o coś spytać, o cokolwiek".*

*„Co oznacza twoje imię? Jest takie dziwne. W ziemskim kalendarzu nie ma podobnego. Na pewno przez „o"? Możesz powtórzyć? Wolę się upewnić".*

*„Dla twojego dobra".*

*„Że co? Dla mojego dobra? Nie rozumiem. Czy możesz wyraźniej? Powtórz swoje imię, tak abym zapamiętał? Swomi-Romi, czy Swami-Rami".*

*„SwOmi-ROmi".*

*„Co oznacza?"*

*„Dla Twojego Dobra".*

*„Co dla mojego dobra?”*

*„Swomi-Romi to po …aetańsku:„Dla Twojego Dobra”.*

*„Ale fajnie się tłumaczy. Z jakiego to?”*

*„Po …aetańsku”.*

*„Za trudne słowo. Nie zapamiętam. Może samą końcówkę. A ewolucja, o której wspominałeś?”*

*„Akceleracja Bolwira…”.*

To był fragment jednego ze spotkań oko w oko z moim innym Ja jako odrębnym bytem. Swomi, ale czy przypadkiem nie jesteśmy dla siebie zbyt surowi? Po co tyle wymagać? Wczorajsze spotkanie nie należało do najmilszych. Zapamiętałem je i, mówiąc szczerze, mam lekki uraz. Być może nie było mi pisane go zarejestrować, ale jednak zdołałem je uchwycić. Chcesz bym się zablokował na pisanie i zaczął żywić uraz do ciebie, do innej części mnie? Na dłuższą metę nie wydaje mi się to za zdrowe dla psychiki. Gniewać się na samego siebie? Ależ to niemądre! W ciele fizycznym, gdy jestem w ziemskiej fazie, może mieć to destrukcyjny wpływ.

„A może jakoś to wyprzeć, to całe spotkanie?”, zastanawiam się. „Ego mogłoby w samoobronie coś wymyślić na poczekaniu, dajmy na to, że bredziła mi jakaś istota, że to nie byłem ja, tylko ktoś inny...”.

Niestety, to nie przejdzie, za wyraźny byłeś. No i twoje imię – słyszane nie pierwszy raz. A to, co mi opowiadałeś..., jakież to było prawdziwe! Jakby bezpośrednio wypłynęło ze Źródła Prawdy, bez żadnego skażenia!

Hej, Swomi! Bądź dla mnie dobry, nie zapominaj o swoim imieniu! Nie ma nic gorszego niż brak wyrozumiałości dla samego siebie! Toż to zamęczyć się można!

Mówisz, że mam pisać wszystko, niczego nie pomijać, i słowo w słowo relacjonować wydarzenie jak zarejestrowane kamerą. Człowieku, tak się nie da! Oni o niczym nie wiedzą. Często sam nie wiem, od czego mam zacząć, na czym skończyć. A ty mi mówisz o szczegółach! No nie wiem, czy byłbyś szczęśliwy, gdybym drobiazgowo opisał twój wczorajszy numer. To był chwyt poniżej pasa. Przemilczę to więc

i jesteśmy kwita. Wybaczam. Przybij piątkę! Oddzielamy przeszłość grubą kreską i do boju! Pisać, pisać, pisać...

Ilekroć biorę się do pisania lub rozmyślam o tym, układając w głowie kolejne fragmenty, natychmiast daje znać o sobie Swomi-Romi. Czuję go obok siebie i w sobie, widzę go umysłem, jak mi pomaga zamieniać myśli na słowa. Jest przydzielonym Ja, które zaczyna dominować, gdy tylko biorę się do pisania. Jest tam dla mojego dobra. Czy oby tylko dla mojego?

# 26

# Struktura Ludzkiej Jaźni

Jaźń

Język giętki wieszcza najlepszego,
Rozum tęgi mędrca wybitnego,
Nie nazwie i pojąć nie zdoła,
Jakże Ludzka Jaźń jest złożona.

Jest czymś więcej niż tylko jednym,
Gamą aspektów osadzonych w częściach.
A te z kolei w inkarnacji bytów,
Związanych ze sobą kanałami czasu.

I wszystkie się widują, lecz o tym nie wiedzą,
Na korytarzach centrali – w punkcie zero.

Skoro już poruszyłem temat wnętrza i przedstawiłem jedną z dominujących części mnie, nie mogę pominąć dość istotnego wydarzenia, które miało miejsce dawno temu, a stało się znaczącym elementem układanki, jaką jest kreślenie mapy Ludzkiej Jaźni. Opisałem je kiedyś na blogu, gdy jeszcze umieszczałem swoje wyjścia w internecie. Do dziś, to wydarzenie, nie straciło nic ze swej aktualności. Struktura Ja pozostała ta sama – kolejka istot z tyłu prowadzącego, czyli ja i ogonek istot za plecami.

Z tego co mi wiadomo, nasze Ja, czyli i twoje, również jest zbudowane według podobnego schematu. Nie jestem tu żadnym wyjątkiem: w każdym z nas jest wiele osobowości. Najłatwiej to zauważyć w poza, bo tu, w świecie fizycznym, wszystkie części Ja są, mówiąc obrazowo, sprasowane, niczym spakowany plik ze stronami dokumentu, coś jak „rar”. Ale już tam – w poza – owe Ja stanowią odrębne części: każde jest niczym oddzielna kartka.

*Znajduję się w ciasnym pomieszczeniu bez okien, panuje w nim półmrok. Dostrojenie dobre, ale plan zawężony i o znacznej grawitacji.*

*Zmysły kompletnie przelane do Poza. „Co by tu wycudować?" Zupełnie zapomniałem o wysłanym sygnale z pytaniem „kim jestem?" Mam świadomość, ale brak mi pamięci.*

*Do pomieszczenia wchodzi wielka istota. Robi się jeszcze ciaśniej. „Kurde, ależ On zwalisty! Kim jest ten Koleś?" Przybysz nie spuszczając ze mnie wzroku, mówi:*

*– Spójrz za siebie!*

*– Do tyłu? Po co? Przecież wiem, co mam za plecami: Giganta MTJ-a.*

*Duma mnie rozpiera, Moje Wyższe JA daje znać o sobie. „Jestem niepokonany!", myślę.*

*– Obejrzyj się! – powtarza głośniej Duży Koleś.*

*Napływa do mnie więcej świadomości. Przerywam wewnętrzny monolog i zaglądam przez ramię...*

*„JEZU kochany!" Nie sposób tego opisać... Kolejka ludzi-istot stojących jedna za drugą w niekończącym się ogonku. Szereg ciągnie się aż po horyzont. Każda z osób robi dokładnie to samo co ja w tej chwili, czyli jednocześnie wszystkie oglądają się za siebie.*

*Teraz, coś pykło. Cyk! Ten Duży mi pomógł, przekręcił mnie o 180 stopni i ustawił twarzą w twarz z pierwszą osobą w kolejce. Delikatnie kiwam głową i równocześnie ze mną wszyscy pozostali. Każdy stojący w ogonku porusza głową. „Ale zabawa!" Podnoszę ramię i w górę idą setki ramion. „Ale numer! Więc oni są mną a ja nimi, składam się z nich". Kim jestem? Tym, co na daną chwilę jest mi potrzebne.*

*Daję krok do przodu. Przyglądam się pierwszej osobie z kolejki. Babcia, kobieta około 80-letnia. Za nią stoi Dziadek, też w podobnym wieku. Tacy mi bliscy, tacy moi. Jakże wyraźni... Wyraźniejsi niż ludzie z reala. Patrzę im prosto w oczy, lecz odnoszę wrażenie, że oni mnie nie widzą. Mają bystre spojrzenie, ale jakby trochę nieobecne. I jakieś takie szkliste oczy... I znów tak dla zabawy unoszę nie jedną, ale obie ręce w górę. Co za widok! Tysiące osób w kolejce po horyzont robi ten sam gest. Las rąk! Jestem na szczycie wszystkich części siebie.*

*Wyciągam rękę i dotykam Babci. Ma siwe włosy ukryte pod chustką, nosi robiony ręcznie sweterek z niebieskiej włóczki. Nic szczególne-*

*go, a jakże wzruszające. Dziadek jest ubrany w skórzaną, znoszoną kurteczkę. „Boże, jak ja ich kocham!" Nie wiem dlaczego i za co, ale po prostu kocham. Coś mi wystrzeliło z czubka głowy. Wybucha i skwierczy, iskrzy się. Tworzy się fontanna białych iskier, słychać odgłos jak przy palących się zimnych ogniach. Zauważyli mnie!*

*Za Dziadkiem stoi młody człowiek w kamizelce, za nim ktoś porusza się żwawo, wierci się jak nadmiernie pobudzony, wprost nie może ustać w jednym miejscu – jakiś Wiercipięta. „A kto dalej?" Istoty jak na rozkaz odchylają się na lewo i prawo, abym mógł je wszystkie obejrzeć... Kolejna część mnie w niekończącym się rzędzie to... Żyd. Widzę czarne pejsy i myckę. „A więc byłem-jestem również Żydem". Jakieś wspomnienia z Lubartowskiej..., kamienica... „Nie, nie odpływać, bo zasnę, a nie chcę". Kto jest dalej? „Ale koleś! Fajnie ubrany!" Na głowie ma grecką czapeczkę wysadzaną biżuterią. To jakiś Bogacz-Dostojnik, może władca... Jest odziany w złotą szatę, ma wyraźny brzuszek. Na każdym palcu nosi pierścień. A kto za nim? Ktoś, kto sprawia wrażenie złego, wkurzonego – Furiat. Następny w kolejce to Adrenalinowiec, na imię ma… Kogobyzabić. Wygląda jak psychopata. Dalej jakaś istotka (blondyneczka), która uwielbia porządek. Mogłaby bez przerwy sprzątać – Porządnisia.*

*– Kim jesteś?*

*– Jestem dobrą duszyczką z Aniriny.*

*– Dziwne słowo..., brzmi znajomo, ale nie pamiętam, co może oznaczać.*

*Za nią wojskowy w skórzanej pilotce, żołnierz, strasznie zasmucony… Jest mu bardzo przykro… „Ciekawe czy po powrocie do ciała będę to pamiętał".*

*„Wracać? Czy dalej? Obym tylko nie stracił świadomości i zapamiętał to wszystko". Brodacz. Polarnik. Polski podróżnik z Chicago, Damański. Dalej... „O Kurcze, ale śmieszne ciuszki". Drobna postać w ubraniu jak z renesansu, biały słonecznik dookoła szyi. „Ale jaja! Pierścieni aż do przesady". Mam pomysł:*

*– Powiedz, proszę, kim jesteś, powiedz to językiem ze swojej epoki:*

*– jetem ćritikoj.*

*– Jesteś krytykiem, moim wewnętrznym etykiem. Jesteś Polakiem czy Czechem? Boże, mam nadzieję, że nie jesteś księdzem.*

*– Ćritikoj ćwieckoj...*

*– Świeckim, uff, to dobrze. Ale jesteś drobniutki.*

*Biorę go za rękę. Krytyk Świecki się uśmiecha. To on mi podpowiada, co nie wypada. Taki wewnętrzny savoir-vivre.*

*Daleko w kolejce pozostałe części mnie… Posuwam się dalej, może je zapamiętam.*

*– A ty jak masz na imię? – znów widzę na głowie specyficzną, wysadzaną kosztownościami czapeczkę.*

*– Mówią na mnie Czmielo i myślą, że oni rządzą. Ale to ja rządzę, bo mam kasę, he he he.*

*Idę dalej.*

*– A ty kim jesteś? – pytam.*

*– Kim jestem? A ty wiesz, kim ty jesteś? Już się dowiedziałeś? – młody człowiek odpowiada mi pytaniem na pytanie. W ogóle jest nieco inny niż pozostałe części mnie… Bardziej samodzielny i tak jak ja świadomy.*

*– Jestem księgowym. Żyję na początku XX wieku i też bywam tu świadomy…*

*Jego odpowiedź zbija mnie kompletnie z tropu.*

*– Czyli zaraz? Nie umarłeś tylko żyjesz?*

*– Tak, tam w dole jest moje śpiące i gorączkujące ciało. Jest chore i ostatnio często mnie tu wyrzuca.*

*– Ale fajnie mi się z tobą gada!*

*– Mówiłem ci, że jestem świadomy tak jak ty, potrafię się tu znaleźć.*

*– Kurczę! Ale okazja! Mów mi wszystko, jak najwięcej, proszę. Czyli jesteś moim wcieleniem?*

*– To nie tak. Wszyscy tu z kolejki jesteśmy…, jak to nazwać…: „FOLIO". Co to znaczy? Uuuuuu…, no… „folio". Zapamiętaj! To po łacinie. Muszę wracać, ciało mnie budzi.*

*Młody księgowy odpływa w ciemność na płytkie fazy i do chorego ciała. „Nie rozumiem! On jest mną i żyje na początku XX wieku? W głowie mi się to nie mieści… Wracam, bo zapomnę".*

*Ciągnąca się po horyzont Kolejka mnie-istot znika w ciemności poza. Niektóre z osób zostają, niektóre wycofują się tak jak ja, odpływa-*

*ją do swych ciał na płytsze fazy… „JEZU, niepojęte… Czyli co? Wcielenia odbywają się jednocześnie? Oni, tamci ludzie będący częściami mnie, wyraźnie wracają do swych ciał. Mózg mi się zaraz zagotuje... Nie rozumiem! Dlaczego religie wschodu straszą inkarnacją, karmą! Wcielenia odbywają się jednocześnie! Naraz, ale w różnych czasoprzestrzeniach. Tak jakby czas nie istniał. Tylko w ten sposób można to wytłumaczyć”.*

*Cofa mnie. We łbie mi się gotuje... „Jeszcze nie chcę! Nie skończyłem!” Musze jeszcze coś wyjaśnić... Spycha mnie do bardzo płytkiego obszaru przycielesnego na sam skraj fazy niefizycznej. Nie poruszam się. Sprawdzam, czy pamiętam. Tak, nawet to słówko „folio” od księgowego. Domański, Grek, Żyd…*

*Słyszę:*

*– Swomi-Romi! Swomi-Romi! Wracaj do ciała!*

*– Do kogo to? Gdzie jest Swomi-Romi?*

*– Słyszałeś? Wracaj!*

*To do mnie, mam też takie dźwięcznie brzmiące imię...*

*– Poeta Swomi-Romi do ciała! Zapisz wszystko, zapamiętaj!*

*– Kto to powiedział? Jak masz na imię?*

*Patrzę na wyższego ode mnie o głowę 40-latka, mężczyznę o czarnych włosach i oczach. Jest neutralny. Nie uśmiecha się, nie jest też zimny.*

*– Jak masz na imię? – powtarzam.*

*– Gabriel.*

*– Kim jesteś?*

*– A ty, kim?…*

*Znowu ponaglenie, żeby wracać do „fizyka”.*

*Jestem w ciele fizycznym. Szybko sięgam po dyktafon. Nawijam z pół godziny o tym, co mi się przydarzyło. Jeszcze raz i ponownie to samo, na różne sposoby, by się lepiej utrwaliło... Jest jeszcze wczesna pora. Wyrzuciłem z siebie wszystko, nic nie przepadnie, niepamięć snu już tego nie przykryje... Więc mówię: dalej! Muszę wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. „Proszę MTJ! Jedna rzecz, może nie będzie okazji! Muszę!” Po krótkiej procedurze oddzielania znów jestem w poza.*

*Faza płytka, czuję że mam mało czasu. „MTJ, proszę. Jesteś? Czuję Cię, dziękuję! Pokaż mi ostatnią istotę z kolejki! Kto jest ostatni w kolejce po horyzont? Kto się w to wpierniczył. Kto nas w to wrobił! Moje pierwsze wcielenie! Albo jeszcze lepiej: pokaż mi pierwszą cześć mnie oderwaną od ŹRÓDŁA! Będę miał ident Emitera!" Ale cwaniakuję! „Mówisz, że nie mogę sięgnąć tak daleko...? Bo nie zrozumiem? Ok, więc chcę zobaczyć moje pierwsze wcielenie, które zajrzało na Ziemię...".*

*MTJ chwyta mnie pod lewy łokieć, tup, tup tup... prowadzi mnie przed lustro jak dzieciaka. Dziwnie się czuję. Już wiem, że pierwsza istota z kolejki jest właśnie we mnie. Na chwilkę stałem się nią. „Ale fajnie!" Zbliżamy się do lustra. MTJ mówi do mnie niewerbalnie:*

*„To jest pierwszy ty z kolejki na Ziemię".*

*„Jejku! Mój-ja! Ale dziwnie wyglądam! Po ludzku! Może nie do końca, ale bez antenek! A już się bałem...".*

*Mleczno-srebrnobiałe włosy, nie siwe, lecz srebrnobiałe, jak i brwi i rzęsy, bródka na twarzy taka sama jaką noszę w świecie fizycznym, cały zarost srebrnego koloru. Oczy bez białkówek, głęboko granatowe. Buzia uśmiechnięta, mina zadowolona. Postać niezmiernie ruchliwa, ciekawska, szukająca czegoś, „żywe srebro"... Taki Komik-Poszukiwacz.*

*Badam dalej, mam mało czasu. Ktoś stojący za mną niezmierne delikatnie pochyla mi głowę, jakby zachęcał do zerknięcia na dłonie. „Ale jaja!" Moje ręce mają po trzy pulchne palce z pięknymi paznokciami. Zupełnie jakbym miał trzy wielkie kciuki. „Ale mi z nimi fajnie! Są takie chwytne jak poręczne narzędzia...". Mam zbadać genitalia? Trochę mi głupio. Nie, nie będę tego robił...*

Podsumowując: więc kim jestem? Czy można to w ogóle określić? W tym miejscu każde słowo będzie ułomne: kolejka ludzi po horyzont, zbiór istot sprasowanych w jedno Ja, koktajl jaźni... Jestem tym, kogo na daną chwilę potrzeba. A może jest tak, jak nazwał to księgowy: jesteśmy „folio". Powiem szczerze: normalnie bałem się sprawdzić w bibliotece, co oznacza to słowo. A co, jeśli nie ma takiego określenia? „Chyba się załamię, na pewno mocno zdenerwuję".

Zapamiętałem, że jest to wyraz łaciński. Poszedłem do osiedlowej biblioteki, bo wtedy jeszcze nie miałem internetu, wziąłem gruby słownik łaciński i znalazłem w nim słówko, które mi podał młody księgowy. Wtedy kamień spadł mi z serca...

„*Folio*”– czytam – „*kolejne strony zapisanej księgi*”.

Włosy mi się zjeżyły na głowie. Zayebista, niebywale trafna odpowiedź! Co za odkrycie! A jakież potwierdzenie pobytu w poza! Niesłychany kolejny dowód! Informacja zdobyta w OSPUO, zweryfikowana w realu. Kładka łącząca oba Światy została wzmocniona!

Uff..., koniec wpisu. Nic prócz dwóch ostrych przekleństw i słowa „JEZUS” poprawionego dużą literą, nic więcej nie zostało przeredagowane, wszystko jest nadal aktualne. Zmieniłbym tylko kilka akronimów i kilka dodał. Po tym jak sięgnąłem do tego wpisu, przypomniałem sobie coś bardzo ważnego. Poruszyłem w nim kwestię inkarnacji: jak to części mnie znikały, oddalając się do faz, gdzie znajdowały się ich ciała. Moje ciała, tylko porozrzucane na osi czasu. Coś niesamowitego. Jeśli nie przeżyje się tego samemu, nie sposób uwierzyć.

Wygląda na to, że czas wcale nie ma charakteru linearnego – to tylko złudzenie. Czas bardziej przypomina filmową taśmę, podatną na zagięcia, a nawet na zwijanie. Tu, w świecie fizycznym, z perspektywy iluzji czasoprzestrzennej, od lewej do prawej utrwalana jest na taśmie historia, tzw. przeszłość. Zaś nienaświetlone kadry po prawej to tzw. przyszłość. Jednak w poza cała klisza jest zwijana i przyjmuje formę osadzonej w jednym punkcie szpuli, na której przeszłość i przyszłość znajdują się w jednym miejscu. Taka czasowa anomalia. A gdzie są owe zagięcia? Natrafiłem na nie podczas szlifowania nowo poznanej techniki o wielofunkcyjnym zastosowaniu – wchodzenia do luster.

# 27
# Wstępna eksploracja lustra

Odkrywanie

Nic człowieka tak w życiu nie cieszy,
Jak odkrywanie Boskich Tajemnic.

Wiesz, bracie, myślę że One,
Wcale przed nami skrywane nie są.
Wprost pod nogami leżą naszymi,
A my dostrzec ich nie potrafimy.

Umysł ludzki jest wprost doskonały w swojej zaciętości do komplikowania spraw i nie dostrzega, że najlepsza droga jest drogą prostą... Człowiekowi często się wydaje, że żeby coś odkryć musi się przed tym niebywale natrudzić, że nowa droga jest gdzieś skrzętnie przed nim ukryta... Dlaczego do licha wcześniej nie wpadłem na to, by wejść do lustra?! Ile czasu mógłbym zaoszczędzić! W starych, już z lekka pożółkłych, dziennikach mam odnotowane, że zwierciadła towarzyszyły mi od samego początku wypraw poza ciało. Bałem się w nie wejść czy jak? Nie mogę sobie tego darować. A teraz co? Opisuję innym wszystko, co i jak, a w ramach wdzięczności odbieram telefon w sobotę o północy:

– Dajek?

– A kto mówi?

– Niewźne, z intejnetu... Chciałem pojozmawiać o łobe...

– A wiesz która godzina?

– Yyy..., ale to bardzo waźne...

– A ja nie jestem ważny? A mój odpoczynek? Chłopie, jest noc, weekend!

– Dajmowe minuty mam w weekendy...

No i ciul! Kolejny numer telefonu do wymiany… Skąd on go dorwał?! Fan od siedmiu boleści! Nabzdryngolił się, czy co?

Ostatnio JEZUS mnie pocieszył. W sumie tak samo pocieszył, jak i zasmucił. Ludzie nie będą wychodzić z ciał tak, jakbym sobie tego życzył. Nie na masową skalę. Moje czy innych zabiegi w tym kierunku są niczym krople wpadające do oceanu. System na to nie pozwoli. W innym wypadku przestałby istnieć, ale póki co jest dobrą maszyną uczącą. Więc mogę śmiało opisywać i podawać różne techniki, a i tak mało kto zrobi z nich użytek. Towarzystwo nie może nawet wyleźć z ciała. Na ogół dlatego, że ludziom się nie chce. Proszę nie doszukiwać się u siebie innych przyczyn. Ciemne energie to żadna wymówka. Owszem przychodzą, ale nie codziennie. Zresztą można je przeskoczyć cichym wychodzeniem – po prostu nie szumieć tak myślami w czasie wychodzenia, bo to ich przyciąga, nie drzeć się mentalnie: „Chcę wyjść, chcę wyjść, pomocy!" Nie wysyłać żadnych głośnych myśli w czasie fazowania, tylko skupić się, wyciszyć umysł, rozluźnić ciało i, krok za krokiem, dostrajać się do poza. Czyli pozostać skupionym i wchodzić w coraz to głębszy stan relaksu. Ulubione miejsce Ciemnych Energii mieści się tuż za obszarem przycielesnym na styku dwóch światów. Krzycząc myślami podczas wychodzenia, nic tylko je ściągamy na siebie, a im nie jest w smak nasza eksterioryzacja. Kto zechce, ten wyjdzie.

A teraz dla tych, którzy chcą podróżować poza ciałem: zaawansowane techniki od Sugiera. Do dzieła odkrywco Tajemnic Wszechświata! Astral wzywa odważnych! Właź w lustro!

*Jestem w budynku przypominającym uczelnię. Idę po stopniach w górę. Schody są dość strome, wspinając się po nich, czuję wyraźny opór przy pokonywaniu niewidocznej struktury. To dobry znak świadczący o wydobywaniu się na wyższą częstotliwość. Konstrukcja ma spoczniki i przypomina wielką klatkę schodową jaką się spotyka w starym budownictwie.*

*Uzmysławiam sobie, że wielokrotnie tu gościłem, gdy śniłem. Teraz znalazłem się tu ponownie, jednak jest pewna różnica: tym razem mam świadomość!*

*Rejestruję odgłosy uczniowskiej wrzawy. Kieruję się tam, skąd dochodzą. Na półpiętrze dostrzegam białe podwójne drzwi – to zza nich*

*dobiega hałas. Jest coraz głośniej. Raczej nie otworzę drzwi, bo ci, którzy są w środku, stratują mnie. Odgłosy przypominają gwar uczniów uwięzionych w klasie po ostatnim dzwonku – lekcje się skończyły, ale nauczyciel jeszcze nie pozwala im wyjść. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby ta cała hałastra nagle ruszyła na mnie. A może wcale by tak nie było? Może się mylę? Szukam w pamięci informacji, które kiedyś wyczytałem u Monroe, gdy spotykał inne części siebie za podobnymi drzwiami, na podobnej częstotliwości. On to nazywał Systemami Przekonań. Postacie hałasowały, wysyłając mu sygnał naprowadzający: „Hej, tu jesteśmy!" Nie wiem, co robić. Białe drzwi oznaczają coś dobrego... Może jednak innym razem zajrzę do środka...*

*Mijam je i idę jeszcze wyżej. To już ostatni spocznik. Zerkam z niego w dół. Widoczna przestrzeń niższych faz rozchodzi się po klatce schodowej, tworząc coś w rodzaju wielowarstwowej mgły – każde półpiętro jest ukryte w innej jej gęstości. Wcześniej nie dostrzegałem tych pasm… Jestem teraz dokładnie nad miejscem, z którego wystartowałem – w tym samym punkcie, tylko poziom wyżej. W dole leży moje ciało. Idąc do góry minąłem dokładnie cztery spoczniki, skręcałem cztery razy w lewo, co w sumie spowodowało obrót o 360 stopni i wyniosło mnie wyżej. Niby szczegół, ale postanawiam go zapamiętać.*

*Zerkam przed siebie, widzę długi korytarz. „Ciekawe kiedy i jakim cudem się utworzył? Jeszcze przed chwilą go nie było". Nie wnikam w to. Jedyna droga prowadzi wzdłuż niego, więc i tak muszę nim pójść, nie mam zamiaru schodzić w dół i wracać. A cóż to? Na drugim końcu holu jest zwierciadło, widzę je wyraźnie. Jest duże, jego dolna krawędź zaczyna się przy samej podłodze. Niby wszystko gra, ale gdzie jest moje odbicie? Nie ma go! Lustro odbija wszystko oprócz mnie. Zerkam na dłonie. „A niech to! Jestem w przezroczystym ciele!" Ręce mam niczym z rozgrzanego powietrza, tułów i nogi także. Widocznie w międzyczasie opuściłem astralną powłokę. Czyżby stało się to na którymś ze spoczników, na zakrętach fazy? Nie było na nich żadnego manekina podobnego do mnie. Jedyne miejsce wibrujące energią ciała to tam, na dole, gdzie rozpoczynałem moją wspinaczkę. Widocznie wyszedłem z obu ciał naraz – z fizycznego i astralnego. „Przywiązuję za dużą uwagę do szczegółów! Boże, jak mnie to rozprasza, jak mnie to męczy!".*

*O! Ktoś jest w głębi korytarza – widzę go w odbiciu, jest za mną. Stoi przy ścianie i bacznie mi się przygląda. Jeszcze przed chwilą go nie było. Odwracam się ostrożnie. „A niech to! Jest uderzająco podobny do mnie, jak brat bliźniak, dwie krople wody. Te same włosy, twarz, ubranie... Kurczę, co jest?! To nie jest ciało astralne". Postać patrzy się na mnie przeszywającym wzrokiem. Robi gest ręką zupełnie jak ja, tyle że ja w tej chwili nie poruszam się – stoję jak wryty, szczęka mi opada z zaskoczenia.*

*Trochę się go boję, ale nie za bardzo. Bać się samego siebie? Nie widziałem u siebie takiego wyrazu twarzy, tego przenikliwego spojrzenia. „Dlaczego on tak się na mnie gapi, jakby na coś czekał?" Co za dziwne uczucie widzieć siebie samego jako oddzielny byt i to trochę agresywny. Spróbuję się do niego zbliżyć i zbadać, o co mu chodzi. O! Nie mogę zrobić ani kroku w jego stronę. A teraz w ogóle nie mogę się ruszyć. Czuję, że to jego sztuczka. Nie słyszę głosu tamtego, ale on myślami daje mi wyraźnie do zrozumienia, żebym się już odwrócił, że na tym koniec pokazu: mam nie patrzeć w jego stronę, tylko kontynuować marsz. Nawet nie próbuję mu się sprzeciwiać. Posłusznie się odwracam i w tym momencie Darek z tyłu błyskawicznie podbiega do mnie, chwyta mnie jedną ręką za kark, drugą za bok i ciśnie na chama w lustro.*

*– Poczekaj! Poczekaj! Trochę się boję! Nie tak agresywnie! Sam! Spróbuję sam!*

*Dopiero po którymś zawołaniu inny Ja przestaje mnie wpychać, nie zwalnia jednak z uścisku. Bez słów mówi:*

*„Właź w lustro. Musisz coś odkryć. Już czas na to".*

*– Dobrze, dobrze, już wchodzę. Możesz zabrać łapy? Wiesz, że tego nie lubię. Jak masz na imię?*

*– ... – słychać tylko bardzo cichy szept.*

*– Jak? Możesz powtórzyć?*

*– Jak... – tym razem mówi ciut głośniej, ale wciąż niezrozumiale.*

*– Mamy problem z werbalną komunikacją. Musisz krzyczeć. W innym wypadku nic nie usłyszę.*

*– Jakub... – pada cichutko jak przez wytłumioną ścianę.*

*– Jakub? – dziwię się. – Myślałem, że Darek .*

*– Nie..., Jakub – odpowiada tamten.*

*– Dobrze mnie słyszysz? Bo ja ciebie kiepsko.*

*– Słyszę cię dobrze.*

*– A jaki masz przydział, no wiesz, profesję?*

*– Jestem Żołnierzem-Ratownikiem, Jakub mi na imię... – mówi teraz głośno i wyraźnie.*

*– Pasuje do ciebie. Powiedziałeś to prawie wierszem, melodyjnie i głośno. Jeśli chcesz, to możesz. Czuję, że te zakłócenia to twoja sprawka. Chyba nie przepadasz za rozmową... Jesteś mną? Czy tylko masz moją postać? Dlaczego nie chcesz porozmawiać?*

*– Lustro czeka...*

*„O kurczę! Zapomniałem". Wszystko przez moją dociekliwość. Znów wychodzi mój głód wiedzy. „A niech to!" Nie zauważyłem, jak mi się faza spłyciła. Czuję, jak do ciała fizycznego nieubłaganie napływa świadomość. Już nie zdołam powstrzymać tego procesu. Za późno na pogłębienie częstotliwości. „Nie chcę wracać! Nie w takiej chwili!".*

Hop! Budzę się w ciele. Nie poruszam się, nie otwieram oczu. Upewniam się tylko czy wszystko pamiętam. Tak, nawet najdrobniejsze szczegóły. Dla pewności przelewam ciąg zdarzeń do długotrwałej pamięci, powtarzając w myślach słowa-kotwice: „w górę po schodach", „białe drzwi", „gwar", „lustro", „rozmowa z Jakubem"...

Biorę kilka powolnych, głębokich wdechów, ale tak by nie szarpnąć za mocno przeponą. Zbyt silne jej pobudzenie może trwale zakotwiczyć w ciele. Ostatnio tak było. Chciałem dobrze się dotlenić, by na dłużej odbić, i poszło napięcie na mięśnie oddechowe. Tamtego poranka już nie wyszedłem. Pamiętam o tym: tylko płytkie oddychanie, nic więcej. „Może się uda, może dam radę...". Skupiam się mocno na celu...

*Jest! Znów stoję przed lustrem. Ta sama sceneria, identyczna lokacja: zwierciadło bez odbicia. Udało się! Nie wyczuwam za sobą nikogo..., widocznie sobie poszedł. „Zapamiętam go". Ale zaraz: jestem w ciele astralnym, a wtedy go nie miałem! Wcześniej kończyny i tułów były przezroczyste. Teraz zaś jak zerknę w dół, wyraźnie widzę swoje*

*dłonie i nogi, natomiast w lustrze ich nie dostrzegam. Widocznie powrót do ciała fizycznego nałożył na mnie również astralną powłokę. „Jasna cholera, jakie to pokręcone! Lustro wszystko odbija oprócz mojej postaci, a ja widzę siebie, gdy na siebie spojrzę!”*

*„Wchodzić? Nie wchodzić?” Znów ten strach przed nie wiadomo czym. „Ciekawe co tam jest?” Zaciskam zęby. Powoli, bardzo ostrożnie, z trudem przełamując lęk, wchodzę do środka ramy. Nie czuję żadnego oporu, wnikam w lustro łatwo jak w masło. Plum! I jestem po drugiej stronie zwierciadła.*

*Stoję zawieszony w wielobarwnej próżni, choć przeważa tu kolor zielony… Pode mną nie ma nic, nade mną również. Rozglądam się na lewo i na prawo, ale tam jak okiem sięgnąć też tylko pustka. Czuję się jak w gigantycznej piłce. Miejsce bardzo przypomina pewien obszar za Szczeliną, do którego kiedyś leciałem z Gigantem, tyle że to jest jeszcze większe. To nie kopuła, jak kiedyś sądziłem, tylko gigantyczne wnętrze kuli! Teraz to widzę! „Czyżby przejście przez lustro było drogą na skróty do miejsc sprzed lat? Na to wygląda”. Nie musiałem lecieć za Szczelinę, wystarczyło tylko wsunąć się w zwierciadło. Hop i już jestem!*

*„Jaka cudowna cisza tu panuje… Oddam się na chwilę temu nastrojowi spokoju…” Piękna próżnia, nie ma w niej niczego. Nic tylko ja i przestrzeń. „Dobra. Czuję, że mam sporo czasu. Szkoda go tracić. Muszę zebrać o tym miejscu więcej danych. Tylko jak? Może dać krok do przodu? Podpłynąć? Ale do czego? Nic tu nie ma. A jeśli spadnę w dół i szarpnie mnie do ciała? Stracę cenne wyjście. Co za przestrzeń! Trudno. Muszę za wszelką cenę zdobyć więcej informacji. Co to za Kula? Przyjemna próżnia i nic więcej? „*

*Zbieram się na odwagę, stawiam zamaszysty krok i… zawisam w powietrzu, jakbym wszedł na niewidzialną kładkę. „Ale numer! Brak przyciągania! Ja pierniczę, fajna zabawa!” Odbijam się jak do skoku z trampoliny do basenu i wyciągam się w przestrzeni… „Ale leciutko… i tak jakoś inaczej…, bardziej beztrosko…”. Cóż to za miejsce?*

*„Zaraz zaraz! Gdzie się podziało moje astralne ciało?” Znów jestem w przezroczystym. Nie wiadomo kiedy tamto znikło. „Widocznie zostało w ramie, gdy wchodziłem do lustra”. Oglądam się za siebie.*

*W oddali w zielonkawej przestrzeni widzę małą ramę, a w niej niewyraźny zarys korytarza. Nic więcej. Nie widzę żadnego ciała. Zrobiłem jeden krok, a nagle znalazłem się kilkanaście metrów od wejścia. Czuję, że to sprawka Kuli, która w jakiś sposób wpływa na pokonywanie odległości. „Ale gdzie jest moje astralne ciało? Najwyraźniej podryfowało na niższą częstotliwość. A może to miejsce je pochłonęło? Dobrze, że jest rama. Przynajmniej mam którędy wrócić. Spodziewałem się, że zniknie… Ja pierniczę! Muszę wyłączyć analizator, bo się zamęczę! Po co tak wnikać?!" To silniejsze ode mnie…*

*„Ciekawe czy tu mieszkają części mnie? Co za durne pytanie? Skąd się wzięło? Jakub mnie tu wepchnął, wyglądał na moją część, więc może… Cóż szkodzi… Spróbuję przywołać jedną z nich. Najbardziej znana mi i bliska to...".*

*… SwomiRomi…*

*Wołam na głos i czekam, co nastąpi. Nic. Nikt się nie wyłania – ani z przestrzeni, ani ze mnie. Dookoła nadal tylko pustka, w której teraz pojawił się mój głos. Ma fajne brzmienie, jest bardzo dźwięczny, ładniejszy niż w astralnym ciele, rozchodzi się na boki i wraca niczym echo, fala pięknego, wibrującego dźwięku…Jest we mnie i mnie otacza…*

*Dla zabawy i trochę z nudów, bo doprawdy nie wiem, co tu robić, a już tu jestem, wydaje mi się wieczność, wpadam na pomysł, by poeksperymentować z głosem. Zaczynam na głos wypowiadać proste zdania i zauważam coś niebywałego: Kula zmienia gramatykę wypowiedzi. Z liczby pojedynczej na, w pierwszej chwili wydawałoby się, mnogą, ale gdy się wsłuchać w echo, to nie jest to liczba mnoga, ani też pojedyncza... Raczej mieszanina obu form. Mało tego: Kula miksuje również treść wypowiedzi. Zdania wracające echem zawierają część mojej, jak i część wypowiedzi Kuli, zupełnie jakbym rozmawiał na głos z sobą samym, był tym, kim jestem, a zarazem Kulą jednocześnie.*

*Stopniowo dociera do mnie, że to miejsce jest czymś w rodzaju „Fuzjatora JA" – polem scalającej energii, takim super-translatorem niwelującym dualizm wypowiedzi… Skoro wypowiedzi, to i… wszystkiego co się znajdzie w zasięgu jego radiacji; brak grawitacji – strona lewa*

*może być prawą, a prawa lewą; góra może być dołem, a dół górą… Kula jest mną, a ja jestem Kulą… Co za cudowny brak polaryzacji…*

*Zaczynam się trochę martwić, gdyż nie mam pojęcia, jak to opiszę po powrocie i czy mózg, przyzwyczajony do dualizmu, to sobie przyswoi, czy nie narzuci mi przymusowej amnezji. Wszystko co w świecie fizycznym jest dualne, tu jest jednym. Dla bezpieczeństwa postanawiam zrobić proste kotwice pamięci. Stanowczo i głośno wypowiadam tylko jedno słowo:*

*– Ja!*

*Jeszcze go nie kończę i już słyszę dookoła i w środku mnie piękne nowe słowo powstałe z miksu „ja" i „my" oraz bliżej nieokreślonego dźwięku. Czytane wspak jak i normalnie ma takie samo brzmienie, jakby było pisane nie od lewej do prawej, czy od prawej do lewej, tylko po okręgu, zgodnie z kształtem kuli. Nie zapamiętam go, jednak zakoduję sobie sam mechanizm powstawania. „Coś pięknego… Co za wibracja… Dobrze, że nie zostanie opisana. To zbyt piękne zjawisko, by profanować je, ubierając w słowa…".*

*Kula daje mi wyraźnie do zrozumienia, że trafiłem do unifikującego wnętrza siebie, że tu przynależę, że tu dochodzi do scaleń części mojego Ja. Nic już nie mówię tylko pogrążam się w cudownej ciszy. Jestem kulą świadomej energii zawierającej się w Większej Kuli, jednocześnie będąc nią. Świadomość w świadomości…*

To była jedna z moich pierwszych wizyt w lustrze. Po powrocie do ciała astralnego, czy też quasifizycznego lub jak kto woli eterycznego, już sam się w tym gubię, bo tych ciał naprawdę jest sporo i trudno je rzetelnie sklasyfikować, leżałem jeszcze chwilę w obszarze przycielesnym.

*Na parapecie otwartego okna od strony sypialni niczym beztroskie dziecko usiadł JEZUS. Biała szata, długie włosy, na piersi symbol serca w cierniowej koronie... (reszta opisu jego wyglądu ocenzurowana*

*na Boską Prośbę). Patrzy na mnie i uśmiecha się, jakby chciał mi pogratulować. Wygląda tak swojsko i zwyczajnie, gdy macha nogami jak dzieciak siedzący na ławce, który nie może sięgnąć ziemi. Wpatruję się w Niego z w miarę normalną miną, bo już trochę przywykłem do wizyt BOŻEGO SYNA, przestały mnie one szokować. JEZUS wyjmuje małą tablicę, zwyczajną, taką, jakich używa się w szkołach, tyle że z drewnianymi podpórkami, i ustawia ją. Białą kredą na zielonym identycznym jak w Kuli tle pisze dwie drukowane litery:*

*…EW…*

*Przekazuje mi bez słów, że to punkty za dzisiejszą wyprawę, że reszta będzie dopisywana w miarę moich postępów i dowiem się tego, co tak pragnę wiedzieć. Jednym gestem wycofuje moje wibracje do ciała fizycznego.*

Otwieram oczy.

„Ooo...", myślę sobie. „W końcu coś konkretnego!" Jakby wcześniej nic się nie działo... Owszem, wydarzenia następowały jedno po drugim, ale bez wyraźnie sprecyzowanego celu. Były rozproszone, wszystko działo się naraz i po trochu. Teraz już wiem, po co wychodzić z ciała: do upadłego, eksplorować lustra! Zebrać jak najwięcej danych o obszarach wewnątrz nich. Wtedy dowiem się, co jest moją rdzenną informacją. Nie mam pojęcia, co to za informacja i dlatego jeszcze bardziej mnie to kręci!

Zapaliłem się jak za dawnych, starych czasów. Jak widać nawet dorosły mężczyzna chce nagród i pochwał. Lepsza marchewka niż kijek. Pianie koguta jest dobre do wyznaczania granic, jednak do marszu naprzód wyraźnie potrzebna jest zachęta.

Głęboki wdech i zanurkuję do poza. Tam czeka złote runo – JEZUSOWE litery jak diamenty, najcenniejsza nagroda!

Moje kolejne wyprawy pod kryptonimem „Eksploracja luster", co tu dużo mówić, nie przynosiły nic prócz frustracji. Taka prawda. Badanie zwierciadeł okazało się iście herkulesowym zadaniem. Co się

działo? Wchodziłem do lustra, jednak tam nie napotykałem na nic innego jak tylko identyczne miejsca z następnymi lustrami! Wślizgiwałem się więc w kolejne szklane tafle, a w środku: znów powtórka z rozrywki! Zupełnie jakby ktoś zapętlił fazę. I tak raz za razem przez całe tygodnie! Mam nadzieję, że to tylko sprawka braku dostrojenia, nadmiernej motywacji, graniczącej z obsesją, co niekiedy spłyca fazy, a nie wpływu ciemnych energii. Bo jakbym tamtych dorwał... No w sumie co mógłbym im zrobić? Nic! Świat niefizyczny jest niezniszczalny. Do dziś nie wiem, co w tamtym okresie było przyczyną braku dostępu do częstotliwości wnętrza zwierciadeł...

Ileż trzeba mieć cierpliwości do obe... Kto tego nie praktykował, po prostu nie wie. Żadna dziedzina życia nie wymaga tyle samozaparcia co wychodzenie z ciała. Nie jest to ścieżka dla leniwych i tych, którzy wszystko od razu chcą osiągnąć. Gdy człowiek już się dobrze rozkręci i załapie, jak to robić, to samo wychodzenie z ciała jakoś idzie. Ale dzieje się tak po latach – jeśli w ogóle komuś dopisze szczęście... Jednak konsekwentne dążenie do celu wyznaczonego w poza, dogłębne zbadanie określonego tematu, powiedzmy eksplorację luster, wymaga wręcz nadludzkiego podejścia do sprawy. Tam, w niefizycznym świecie, by dowiedzieć się czegoś więcej, trzeba być maniakiem. Na szczęście BÓG dał mi upór maniaka, a ja, JEZU, nie pragnę niczego w sobie zmieniać. Jest, jak być powinno...

# 28

# Zwierciadło czasu

Lira

Przyjdź do mnie liro, spocznij na piersi,
Jakżebym chciał choć trochę, po cichu,
W tych ciemnych czasach nieść Boskie Pieśni,
Ogień rozpalić w sercach na wieki.

– Panie Darku, nie mogę wyjść z ciała. Nie wiem, co jest grane. Ćwiczę i ćwiczę to obe i za cholerę  nie potrafię osiągnąć nawet zwykłej mentalki. Szlag by to! Co robię źle?

– Długo ćwiczysz?

– No..., będzie już parę miesięcy. W weekendy, bo w tygodniu wiadomo: praca, rodzina...

– Wiesz, jaka jest inna nazwa obe?

– Podróż astralna, świadome śnienie, LD-ki...Sporo o tym czytałem...

– Nie. Inna nazwa obe to „cierpliwość".

– A to dobre! Fajne!

– A wiesz jaka druga? „Upór".

Dwie cechy bez których człowiek powinien zapomnieć o sukcesie, zwłaszcza w obenautyce. Zawsze byłem uparty. Od dziecka zacięty i nieustępliwy, gorzej było z cierpliwością, ale ją jakoś udało mi się wypracować – no, może nie do końca jest to prawda. Nadal nad nią pracuję.

Pewnego razu otrzymałem bardzo fajną lekcję dotyczącą cierpliwości w obe. Gabriel zaprowadził mnie pod drzwi pewnego Rezydenta, astralnego nauczyciela od fazowania, bo widać są tacy, przydzielani tym, którzy pragną ćwiczyć się w fazowaniu. Podchodzę do niego i widzę, że porusza ustami, ale ja nic nie słyszę. „No jaja sobie ze mnie robi, czy co?" Mówię, żeby głośniej nawijał, bo nie potrafię wyłapać ani słowa, a ten na mnie z gębą niczym wkurzony profesor:

*...ułóż sobie hektar puzzli to w końcu zaczniesz słyszeć! Brak ci cierpliwości!*

*A bez niej nie ma skupienia, a bez tego…*

I zaczął mówić, jak to jedna cecha jest zawarta w drugiej, że od siebie zależą i się wzmacniają. Zaczął od cierpliwości, a skończył na czymś bardzo istotnym, niestety nie usłyszałem, bo znów ściszył głos. Zrobiło mi się trochę przykro i zdenerwowałem się. Wiedziałem, że to coś niezmiernie ważnego, wyciągnięta z zakamarka Tajemnica. On też wiedział. Celowo podniósł mi ciśnienie, aby jeszcze bardziej mnie zmotywować do pracy.

Tak bywa. Człowiek nie jest doskonały i wciąż musi walczyć: po pierwsze: o utrzymanie *status quo;* po drugie: o ciągłe postępy. Niełatwo to przychodzi.

Niekiedy umysł wskakuje w coś w rodzaju przyspieszenia, pędu, chce wszystkiego naraz i na już. Wypiera znajdującą się po drugiej stronie szalki cierpliwość i... klops. Obenauta zapętla się we frustracji, skupienie szlag trafia, nie może wyleźć z ciała, a jeśli nawet mu się to uda, to na krótko. Wtedy pyta, co jest grane. Ja go rozumiem, bo to znam z własnego doświadczenia.

Tygodnie posuchy wreszcie dobiegły końca. Zdublowane lokacje we wnętrzach luster znikły. Zamiast nich zacząłem widzieć mniej lub bardziej przezroczystego siebie. O to chodziło! Zwierciadła w końcu otworzyły swoje wnętrza! Co było przyczyną wcześniejszego zastoju? Cholera wie! Ale cierpliwość się opłaciła. To pewne. Zapomniałbym...: poszedłem do komunii. „Jasny gwint! Miałem regularnie do niej przystępować, ale z niewiadomych przyczyn odpuściłem sobie”. Wczoraj coś mnie tknęło, by zajść na eucharystię. „No i masz! To nie może być zbieg okoliczności!” Komunia rozrzedza astralną powłokę! Czy to w końcu dotrze do mojej durnej łepetyny?!

*Stoję naprzeciwko lustra, widzę w zwierciadle swoje półprzezroczyste odbicie. Fajnie to wygląda. Jakbym miał astralne ciało z mgły. Nie jest tak gęste jak ostatnio. Wyraźne, ale mniej materialne niż otoczenie. „Ciekawe, co to za ciało? Ile ich jest?” Przezroczyste na skali wibracji znajduje się wyżej niż mgliste, ale mgliste jest wyżej położone*

*niż astralne. Czuję się w nim lżejszy, bardziej skoczny, jakby grawitacja była o połowę mniejsza. Bęk-bęk..., jak na sprężynkach. „Co za zabawa!" I samopoczucie w nim lepsze i energii więcej! Bez dwóch zdań: komunia podnosi wibracje…*

*Rozkoszując się dużym zapasem czasu, świadomością nawet z pierwiastkiem głębokiej analizy (co w poza nie zdarza się często), pewny siebie, nabuzowany pozytywną mocą daję potężnego susa w lustro…*

*Jestem w wyżłobionym przejściu. To coś w rodzaju tunelu wyciętego w strukturze. Ma identyczny przekrój jak lustro, jak gdyby zwierciadło swoim obrysem drążyło kanał. Ściany przypominają te, które widziałem w portalu czasowym. Poruszam się jak po dnie basenu. Płynę przed siebie odpychając się od nich. Tunel się kończy. Widzę coś u jego wylotu. „To jakaś lokacja!" Słyszę muzykę. Średniowieczne brzdąkanie i flety. Plum! Tunel mnie wypluł. Wycisnął z siebie jak pestkę.*

*Łagodnie, niemal jak na spadochronie, ląduję na środku dziedzińca oświetlonego jak o zmierzchu. „Ja pierniczę!" Widzę siebie samego tańczącego w kręgu z innymi! Wszyscy trzymają się za ręce i pląsają w rytmie starodawnego tańca. Ludzie mają na sobie stroje z dawnej epoki. „Coś niebywałego! Jestem w samym środku średniowiecznej imprezy i widzę drugiego siebie!" Jest taki sam jak ja, tyle że drobniejszy. Ma przy sobie dziwaczne coś. Wygląda to na instrument, tylko zupełnie skrywa go cień. Wnętrze informuje mnie, że to energia lokacji osłania przedmiot. „Po co?", zastanawiam się. Kształt cienia zdradza mi, że jest to coś w rodzaju lutni z bardzo krótkim, wygiętym do tyłu gryfem. Tamten Darek nie gra na tym, ma ten instrument zawieszony na piersi.*

*Moja reakcja jest natychmiastowa. Błyskawicznie podbiegam do Darka Bis, biorę go w tany i walę prosto z mostu:*

*– Jestem drugim Tobą. Wychodzę z ciała. Przybyłem z roku 2011!*

*Mój sobowtór nie odpowiada. Wyczuwam, że nie jest martwy. On żyje! Znajduje się tylko w innym przedziale czasowym i jest w trakcie głębokiego snu. Ściskam go mocniej, by bardziej wniknąć do jego wnętrza. Nie jest zaskoczony. Zbiera myśli. „Kurczę, o co go zapytać?"*

*– Fajne masz ubranie. Miłe w dotyku. Co to? Zamsz?*

*Nadal milczy. Muszę go jakoś dobudzić. Przyciskam go jeszcze mocniej do siebie, prawie sprawiam mu ból. Czuję jak nasze biodra*

*wsuwają się w siebie. „Dlaczego miałyby nie pasować?" Jest! Chyba się budzi! W jego oczach pojawiło się skupienie.*

*– Który to rok? – pytam.*

*– Jedenasty.*

*– Jak jedenasty? Tysiąc ile jedenasty?*

*–Tysiąc?*

*– To chyba średniowiecze, prawda? Jaki to czas? Data.*

*– Aaa!*

*Zastanawia się nad czymś. Na jego twarzy maluje się wyraz zdziwienia i zakłopotania.*

*– Spokojnie, to senna amnezja, za chwilę napłynie do ciebie pamięć. Przypomnij sobie, w którym roku żyjesz. Bez pośpiechu. To jest sen, kopia twojego istnienia na co dzień. Spójrz, jak nam biodra wpadły, w fizycznym świecie tak nie ma. A gdzie są inni? Już nikt nie tańczy. Muzyka sama gra. To astral.*

*– Wiem… Pamiętam! Miałem coś podobnego... Raz we śnie... Wiedziałem, że to sen…*

*– No właśnie. Widzę, że się budzisz.*

*– Mamy jedenasty rok, czternasty wiek.*

*– Na pewno?*

*– Tak. Na pewno.*

*– Czyli tysiąc trzysta jedenasty.*

*– Tysiąc? Nie wiem, o czym mówisz.*

*– Nieważne. Ty inaczej nazywasz daty, ja inaczej. Co to za miejscowość?*

*– Nodjem.*

*– O ile pamiętam na mapach z mojego czasu nie ma takiej miejscowości. Na pewno? Spokojnie, zastanów się, czy mnie dobrze zrozumiałeś? Pytam o miejsce, no wiesz…: wieś, miasto w którym żyjesz.*

*– Rozumiem. To Nodjem.*

*– Może nad Niemnem?*

*– Nad czym?*

*– Taka rzeka, Niemen. Jakoś tak skojarzyłem. Nieważne.*

*– Nie znam.*

*– Nie słyszałeś o rzece Niemen?*

*– Nie.*

*Ciężko się nam dogadać. Nie mam pojęcia, o jaki temat zahaczyć. Ok. Zapamiętam: „Nodjem”. Po powrocie wpiszę do przeglądarki. On nawet nie wie, co to jest internet. Na bank nie ma miejscowości Nodjem, ale niech mu będzie. W ogóle gada trochę inaczej. Pewnie ja dla niego też.*

*„Oho!”, dociera do mnie nagle. „Zaczynamy dryfować w stronę jego fizycznego ciała. Czuję to. Mamy mało czasu!”*

*– Zobacz, nie ruszamy nogami, a płyniemy w ciemność. Tam jest częstotliwość fizyczna, a w niej twoje ciało. Słyszę, jak ktoś cię woła po rusku. Uczyłem się go w podstawówce, trochę rozumiem, astral też pomaga tłumaczyć. Jesteś Ruskiem?*

*– Nie.*

*– Masz wyraźny wschodni akcent. Co to za kraj?*

*– Żyję w Polsce kraju Rosji.*

*– Nie rozumiem. W czternastym wieku nie było zaborów. To są wschodnie kresy? Mieszanka narodowościowa? Wiesz, że wyglądasz identycznie jak ja? Siedem wieków nas dzieli. Niesamowite! Ale drobniutki jesteś. Wiesz, że się tu dostałem przez lustro, tyle, że…*

*Już go nie ma. Zniknął mi z ramion. Ja też wracam. „Nodjem, Nodjem…”. – zapamiętałem. Coraz lepiej sobie radzę z niefizyczną sklerozą.*

Wpisuję do wyszukiwarki „Nodjem”. Oczywiście brak wyników. Wklepuję „1311”: „Polska za panowania Łokietka”. Czemu o nim nie wspomniałem? Widać przespałem lekcje historii. „Rozbicie dzielnicowe, jednoczenie ziem...”. Przyglądam się bliżej mapie... A może Nodejm było na kresach z Rusią Halicką, albo w samej Rusi? W sumie moje rejony – Lubelszczyzna.

Siedem wieków różnicy w czasie i w kwestiach geograficzno-historycznych już nie idzie się dogadać? Czy jeśli spotkam go jeszcze raz, to będę wiedział, o co zapytać?

A tak pomijając wszystko: dlaczego lustro przesunęło mnie w czasie dokładnie o 700 lat? Nie 687, albo 703, tylko właśnie o siedem stuleci? Szkoda, że nie zapytałem o miesiąc.

Człowiek wraca do ciała, zaczyna gdybać i mędrkować. Powinienem przyjąć do wiadomości, że żyję równocześnie w kilku miejscach naraz, i tyle. O przepraszam: nie równocześnie, bo Darka od Darka Bis dzieli 700 lat. Tylko... no właśnie, jak to nazwać? Równolegle? Już lepiej, ale to jeszcze nie jest to. Obaj „My" żyjemy w innym przedziale czasoprzestrzennym. Tak jest dobrze. Takie sformułowanie satysfakcjonuje lewą półkulę mózgu. I należy koniecznie dodać, że spotkanie miało miejsce na planie niefizycznym, gdzie czas i miejsce są jak nawinięta na szpulę filmowa klisza... Darki wracają do swoich ciał w fizycznym świecie i szpula się rozwija; Darki śpią, i szpula znów się zwija. Dobrze, że między kadrami są lustra – kanały łączące jaźnie – można się spotkać i..., no... nie bardzo pogadać.

A gdyby tak spotkać innego mnie z bliższego w czasie miejsca, odległego o wiek, góra dwieście lat? Boże, tylko uchroń mnie przed spotkaniem samego siebie z przyszłości... Jako wyższy byt – w porządku; jako mnie z obecnej inkarnacji – jeszcze lepiej; ale nie jako ludzką, fizyczną istotę w nowym wcieleniu. Żyję bowiem nadzieją, że to już moja ostatnia inkarnacja, że wreszcie nastąpi koniec tej tułaczki! Zrobię wszystko, by nie wcielać się już więcej. No chyba, że z miłości i tylko dla niej, jak to zrobił JEZUS; ale jeśli nawet, to w taki sposób, by mieć kompletną pamięć – nie inaczej! Okropne tak nic nie pamiętać... Żyć w amnezji, wciąż powielając te same schematy. Normalna pętla...

Nieraz myślę o tym (to mój największy koszmar), że jak mi się nie daj BÓG noga powinie i dojdzie do upadku świadomości, z niewiadomych przyczyn nastąpi regres i ponownie inkarnuję, i znów będę ćwierćinteligentną, półśpiąca ludzką istotą, to co wtedy? Ewolucja to niby ciągły rozwój, ale co, jeśli tak nie jest? Dlatego (między innymi) piszę tę książkę. Piszę ją przede wszystkim dla siebie jako polisę ubezpieczeniową dla ewentualnego Darka z przyszłości. Gdyby nie „Trylogia" Roberta Monroe, wątpię, bym teraz był w tym miejscu, gdzie jestem. Dzięki ci, Bob!

Odnoszę wrażenie, że niepotrzebnie się martwię. Coś w środku mi mówi, że to nie tak, że nie do końca pojmuję zamysł inkarnacji. Trochę mnie to uspokaja... Ale polisa niech będzie. Tak na wszelki wypadek.

# 29
# Kolejne wyprawy w lustro

Do boju!

W Spektrum Myślowym się zanurz,
Sięgaj do Poza najdalej jak się da.
Astral wzywa odważnych.
Niech żyje pionierska przygoda!

Coś niesamowitego! Odkryłem kolejnego mnie z tzw. przeszłości! Lustro przesunęło fazę wstecz już nie o 700 lat tylko o..., zaraz, muszę policzyć, wezmę kalkulator. To był Ja z 1815 roku, a mamy 2011, czyli o 196 lat. Zwierciadło zaaranżowało spotkanie już nie tak dokładnie odległe w wiekach, ale to nie jest istotne. „Prawie 200 lat różnicy na minus. Ależ jestem podekscytowany!" Trochę też zdołowany, ale mniejsza o to... Zaraz wszystko opowiem..., grunt, że coś się dzieje. Dobra, po kolei. Wszedłem w lustro jak zwykle, nie widząc w nim swojego odbicia, i dałem susa.

*Słyszę, jak ktoś woła o pomoc, drze się wniebogłosy. Niewiele myśląc, podążam za wezwaniem. Widzę, jak czterech strażników fazy otacza swoją energią chłopaka w przedpotopowych ciuchach. Grzywka krótko obcięta jak od garnka, reszta włosów w „artystycznym" nieładzie. Twarz tylko nieznacznie podobna do mojej, bardziej kwadratowa niż owalna. Czuję do niego empatię i głęboką więź z nim. Spodnie ma z jasnego, grubego filcu, bez paska tylko z wysokim stanem. Koszula z długim rękawem, luźna, rozchełstana, rozpięta pod szyją. Na nogach ma mocno schodzone trepy z szarej skóry sięgające za kostkę, coś jak botki.*

*Tamci robią to bardzo cwanie. „Ależ go podeszli! Sukinsyny! Znam te ich chytre sztuczki. Młody zaraz straci świadomość!" Używając tech-*

*niki >infiltracji<, dla pewności robię wgląd w ich ident. A nuż się mylę. Nie..., to jednak czarni! Krzyczę z daleka, by natychmiast odstąpili od niego. Jeden, sprawiający wrażenie dowódcy, odwraca się w moją stronę i udaje głupiego. Umiejętnie zmienia temat. Ostro mówię do niego, by się zamknął, że to moje ja, moja część z przeszłości i należy do mnie!*

*– Co noc przychodzą! Opętują! Nie dadzą śnić! – skarży się chłopak, leżący już w obszarze przycielesnym. Mówi z sensem, wyraźnie i po polsku.*

*– Nieprawda! – odzywa się główny diabeł.*

*Reszta milczy, tylko patrzy spode łba jakby gotowa do ataku, ledwie powstrzymują agresję. Ślinią się i tylko czekają na rozkaz, by znów skoczyć.*

*– Spójrz na niego. Przypatrz się: nie ma śladów krwi. Krzywda mu się nie dzieje.*

*Nie wdając się w zbędną dyskusję, zachowując maksimum czujności, kieruję do każdego z nich wyraźną myśl, że Góra zostanie o wszystkim poinformowana, że wszystko zarejestrowałem. O dziwo odchodzą. Bez skruchy, bez wyrazu, odwracają się jak roboty i z wolna ruszają przed siebie. Mija ułamek sekundy i czuję, jak wyłapują kolejny sygnał. Natychmiast skręcają w jego stronę i przyspieszają. „JEZU kochany, co tu się dzieje?! Znów kogoś namierzyli!”*

*Nachylam się nad chłopakiem. Chwytam go za nadgarstki i pompuję w niego energię. Mam jej sporo, mogę się podzielić, zresztą to przecież moje ja. Młody z grzywką szybko nabiera wyrazistości, w jego oczach pojawia się skupienie. Muszę go przesłuchać. Zdecydowanym ruchem szarpię go do siebie, wyciągając z obszaru przycielesnego, ustawiam do pionu i mocno ściskam.*

*– Z którego jesteś roku?*

*– Z 1815. A ty?*

*– 2011.*

*– 2012?*

*– Nie. 2011.*

*Młody milczy dłuższą chwilę, jakby się zamyślił…*

*– Co zacznę śnić, to przychodzą i dopadają.*

*– Mam to samo. Wychodź po cichu i bierz komunię. Woda święcona też pomaga.*

*– Mam już dość tego... Jesteśmy duplikatami, wiesz?*

*– Wiem. Nie rozczulaj się, wpadniesz w depresję i energia zacznie uchodzić.*

*– Myślałem o samobójstwie, ale to nic nie da. Życie jest pułapką bez wyjścia.*

*– Gadasz i myślisz zupełnie jak ja jeszcze niedawno temu. Praktykujesz wychodzenie z ciała?*

*– No a jak myślisz?*

*– Gdy się obudzisz będziesz pamiętał?*

*– Wszystko.*

*– Fajne masz ubranie. Historyk miałby frajdę, widząc taki okaz.*

*– Próbujesz mnie rozśmieszyć. Miłe. Spójrz na moje plecy.*

*Młodzieniec z 1815 odwraca się i unosi koszulę. Na odcinku kręgosłupa pomiędzy łopatkami widzę ślad jakby po ukąszeniu gigantycznego komara, duży bąbel z dziurą po środku...*

Co było dalej? Nic nie było. Nie wytrzymałem i przerwałem wyprawę... A teraz, gdy to piszę, czuję się fatalnie. Wkurza mnie to wszystko. Ta bezsilność. Tamten ja sprzed dwustu lat ich spotykał, teraz ja ich spotykam. Są wieczni? Nie ma na nich sposobu? Po kiego grzyba to istnieje? Myślałem, że układy pasożytnicze są domeną fizycznego świata, że zło jest iluzorycznym pojęciem obserwatora, który nie widzi wszystkiego z właściwej perspektywy. Teraz już mam odpowiednią perspektywę i co? Oszukiwałem samego siebie. Zło istnieje, a w poza przyjmuje jeszcze bardziej wyrafinowane formy niż w świecie fizycznym. Czy ja straszę? Na litość boską nie! Widzę to i szlag mnie trafia!

Powyżej w tekście zaznaczyłem słowo >infiltracja<. Nie jest to ta sama technika, której użyłem przy ognistej istocie z wnętrza Ziemi. Nie jest to dokonywany dłonią skan. Infiltracja umożliwia wyraźny, zadziwiająco łatwy wgląd, ściąga z istoty całą jej wierzchnią maskę, całkowicie odsłaniając rdzeń identu. Czy to domniemany diabeł, anioł, zwykły człowiek, zmarły, czy śniący – widać wszystko jak na dłoni. Po

raz pierwszy użyłem techniki infiltracji podczas spotkania z Tornadem i przetestowałem na znajomym – wtedy zobaczyłem jego wszystkie inkarnacje. „Coś niebywałego!" Dlaczego nie opisałem tej techniki wcześniej? Z tego samego powodu, dla którego i teraz jej nie opisuję: nie mam pojęcia, kto dorwie ten tekst. Ale bardzo chciałbym się podzielić, że się tak wyrażę, tą tajemną techniką, bo faktycznie może ona dużo wnieść. Jest banalnie prosta, prostsza niż wejście w lustro. Mam nadzieję, że przełamię w sobie nieufność lub coś mi się samo wymsknie. Obym tylko nie zapomniał... Książkę piszę „na kolanie". Tak jest najlepiej – bez cięć, na żywca, jak program transmitowany live.

Lustra przyniosły mi jeszcze wiele innych niespodzianek. Okazały się istną kopalnią cennych doświadczeń. Przyczyniły się do poznania „przeszłych" (świadomie pisanych w cudzysłowie) wcieleń, bo najwyraźniej inkarnacje z wczoraj nie zakończyły się jeszcze, tylko nadal trwają, Ponadto zwierciadła stały się dla mnie narzędziem diagnostycznym, kiedy to przelotne zerknięcie w niefizyczne odbicie mówiło wszystko o mojej kondycji psycho-fizycznej**.**

Raz w lustrze (czego nie było widać w normalnych warunkach, również tego nie czułem, jakbym był po znieczuleniu) zobaczyłem w odbiciu przytwierdzonego tyłem do mnie karła-pasożyta! Normalnie sukinsyn siedział oparty plecami o moje plecy i jak gdyby nigdy nic coś ze mnie zasysał! Widziałem, że mrużył przy tym oczy, jakby był na haju. Okropny widok. Nie wpadłem w panikę. Dawniej być może bym się przestraszył, ale teraz wychodzę z założeniem, że chcę zobaczyć i poznać wszystko, i... oby działo się jak najwięcej! Pragnę doświadczyć dobrych i złych stron astralnego życia. „Pasożyt? Okej, no to go zbadam!" – podejście, które nie raz uratowało mnie przed wpadnięciem w panikę.

Używając infiltracji natychmiast ustaliłem, że to diabeł. Zresztą nie trzeba było do tego wyrafinowanych technik, aż biło od niego wibracjami charakterystycznymi dla niższych bytów. Widziałem, że nie mam szans oderwać go od siebie, a jedyny sposób na to żeby się dziada pozbyć, to powrót do ciała i ponowne ciche odbicie. A jeśli to by nie pomogło, to niestety, łazić z nim na plecach lub w ogóle przestać wychodzić

i szybko wziąć komunię. Śmiejesz się? Zaczniesz praktykować obe, to zobaczysz. Życzę ci z całego serca, abyś nie spotkał tych energii.

Eksploracje luster co rusz przynosiły nowe ciekawostki i sensacje. Często po powrocie z podróży do wnętrza zwierciadła, jeszcze zanim mnie przełączyło na zmysły fizyczne, lądowałem w gigantycznym ciele astralnym. Zupełnie jakby wizyta w lustrze powiększała moje rozmiary. Wstawałem jako wielkolud i jeśli czas na to pozwalał, łaziłem po astralu napawając się widokami z wysokości kilkunastu metrów. Coś pięknego. Nie tylko widoki, bo te podczas lotów też są wspaniałe, ale te majestatyczne kroki, które robiłem... Bach, bach! Jak gigant. Czyżby pobyt w lustrach nadmuchiwał astralną powłokę? Najwyraźniej tak jest.

Któregoś dnia po ostrym treningu na siłowni (jak się potem dowiedziałem w lustrze – zbyt ostrym) dostrzegłem w quasiciele (w pierwszym z niefizycznych ciał), że mam popękane naczynka w oczach, krwawe rozstępy na ramionach i delikatnie wypchniętą, wystającą spod skóry czakrę podbrzusza. W świecie fizycznym tego oczywiście nie było widać – w zwykłym lustrze w realu białkówki moich oczu były bez skazy, nie miałem też najmniejszych zakwasów. Zupełnie zapomniałem, że ćwiczyłem na treningu. Dopiero zerknięcie w niefizyczne lustro przypomniało mi o tym. Na dodatek ran nie było również widać w astralnym ciele, tylko w tym „pomiędzy" – *quasi* – i to też tylko w odbiciu. Coś niesamowitego! Lustro może służyć jako superczułe urządzenie diagnostyczne. Wysiadają przy nim USG, tomograf czy stosowany często rezonans magnetyczny. Nic by nie wykazały, bo przecież tkanka fizyczna, jak mówię, była nietknięta, za to w *quasi* owszem. Niech żyje obe! Niech służy ludziom w dbaniu o zdrowie!

Oj, piękne rzeczy odkrywa się w poza, w jego lustrach. Fajnie widać na przykład plecy po stawianych bańkach. Z tym jest trochę inaczej, bo na fizycznych plecach pozostaje odciśnięty wyraźny ślad – całe są posiniaczone, jakby ktoś walił do nich z moździerza. Co widać na quasiciele? Jaką przenosi pamięć? Nie są to już śnice, tylko napawające odrazą nawet Starą Astralną Matkę...

A co ja ci będę wszystko mówił! Wyjdź i zobacz. Moje bańki, moje plecy. To św. Piotr choruje? A co, czy ja nie jestem człowiekiem

# 30

# Daleki skok

Odezwa

– Hej Gwiezdny Wędrowcze, Kulo Świadomości!
Na Planecie Ziemi długo nie zagościsz.
Już wiesz, jak to jest być istotą ludzką?
Wiele doświadczyłeś, co przeżyjesz jutro?
Ciekawość cię trzyma... Ja myślę: nie tylko,
Ech, ta amnezja – pamięć masz krótką.

*Powoli ląduję w słabo widocznej, ale dobrze wyczuwalnej lokacji. Dostrzegam jedynie zamazane fragmenty otoczenia, jednak moje pozostałe zmysły dokładnie je rejestrują. (Niekiedy zdarza się właśnie tak, że po wyjściu z ciała fizycznego połączenie z nim jest nadal bardzo silne. Dochodzi do tego również wtedy, gdy zmysły nierównomiernie ulokują się w astralnym ciele. Stan ten można opisać jako łagodne zniekształcenie percepcji: odczuwanie jest nadmiernie wyostrzone, natomiast widzenie mocno ograniczone – podróżnika ogarnia półślepota). Dawno już nie doświadczyłem czegoś podobnego. Nie wiem, jaka jest przyczyna, ale znam parę sztuczek na poprawienie dostrojenia – kiedyś mi pomogły, to może i tym razem nie zawiodą...*

*Natychmiast rozpoczynam marsz na oślep. Ruszam przed siebie, stawiam krok za krokiem, mocno skupiając się na stopach i płynących od nich bodźcach; jednocześnie palcami wskazującymi i kciukami delikatnie rozchylam niefizyczne powieki. „No ładnie!” W kącikach oczu wyczuwam pokaźne śpiochy wielkości orzechów laskowych. W dotyku przypominają rzepy przyczepiające się do ubrań. „Co to jest, do cholery?!”*

*Milimetr po milimetrze, ostrożnie by nie unieść zbyt gwałtownie fizycznych powiek, usuwam śpiochorzepy i rozkruszam je między palcami niczym zaschniętą glinę. Po chwili odzyskuję wzrok. Trochę pie-*

*ką mnie oczy. Mrugam kilka razy i nieprzyjemne uczucie w końcu znika – obraz się wyostrza. Mam nadzieję, że to chwilowa niedyspozycja quasiciała, a nie sztuczki czarnych...*

*Dobrze znam tę scenerię z poprzednich wyjść – schemat powtarzany do znudzenia: schody, spoczniki, korytarze. Za każdym razem to samo, nawet kolory: zieleń od jasnej po ciemną. W międzyczasie na ścianie pojawiło się lustro. Coś mi jednak mówi, żebym się nie zatrzymywał i szedł korytarzem do końca, dopóki istnieje. Mijam kolejne lustro, widzę w nim odbicie nagiego siebie. To dobry znak: we wcześniejszym zwierciadle miałem na sobie ubranie, teraz już go nie mam, a przecież go nie zdejmowałem... To oznacza, że nastąpiło przesunięcie fazy o stopień wyżej. Maszeruję żwawo holem i czuję, jak z każdym krokiem pięknie się dostrajam. „Jak ja to lubię: być w poza całym sobą! Ta lekkość, to poczucie przynależności do świata niefizycznego, jakby był moim odwiecznym domem, pierwotnym istnieniem. Jakbym ja był jego częścią od zawsze…”.*

*Jest! W oddali na końcu jasno seledynowego korytarza widzę wielkie zwierciadło. Zajmuje całą ścianę od podłogi aż po sufit. Przeszywa mnie dreszczyk emocji, przez niefizyczne ciało przebiegają ciarki podobne jak w realu, gdy kroi się coś ciekawego, z tą różnicą, że tu są one dziesięciokrotnie bardziej intensywne. Jestem bardzo podekscytowany. Wibracje rozchodzą się od stóp aż do głowy, czuję rozkoszne mrowienie… Biorę powolny, głęboki wdech, nie po to, by zniwelować wibracje, czy też je wzmocnić, lecz by pobrać jeszcze więcej energii, zgromadzić jej odpowiedni zapas i, jeśli się uda, jeszcze dalej przesunąć fazę. Rozluźnienie i wydech. „Tym razem mi się uda! Zwierciadło jest moje!” Niczym drapieżnik pędzę długim korytarzem do otwartego lustra. Nie widzę w nim swojego odbicia. Odruchowo zerkam na ręce – tak jak się spodziewałem: nogi i tułów wydają się być z rozgrzanego powietrza, są przezroczyste... Faza sprzyja penetracji lustra, jestem bez astralnych ciał. Kilka metrów przed ramą gwałtownie przyspieszam, mocne odbicie i skaczę szczupakiem w szklaną taflę.*

*„Uuu… aaa… nieee! Boże! Co za przyspieszenie! Co ja narobiłem! Po co się odbijałem!” Pęd nie do zniesienia. Czuję, jak jakaś nie-*

*widzialna siła mnie rozciąga, rozrywa, zasysa… Boję się, że coś mi się stanie. Nic nie boli, tylko to nieznośne uczucie narastającej prędkości. Natychmiast sprawdzam, czy to na pewno wnętrze lustra. Wypowiadam na głos: „ja”. Lokacja, jak supertranslator odczytujący myśli zanim się je wypowie, natychmiast miksuje i wyrzuca zunifikowaną formę, pojedynczo-mnogą wersję „ja-my”. Tak, to jest wnętrze Kuli. „Tylko dlaczego doznałem takiego przyspieszenia i jak mam teraz wyhamować? Co za pomysł z tym skokiem! Znów przedobrzyłem. Mogłem przewidzieć, że próżnia i brak grawitacji spowodują taki efekt. Nie dam rady się zatrzymać, nawet nie wiem jak... A prędkość wciąż rośnie!”*

*Czuję, że stopniowo staję się punktem, coraz mniejszym i mniejszym, coraz szybciej poruszającym się… „Nie wytrzymam tego!” Boję się o siebie. Jeszcze nigdy nie czułem takiego strachu. Muszę przerwać podróż. Tylko jak? „Myśleć o ciele, próbować nim poruszyć…”.*

Powrót trwał wieczność. Żaden ze mnie chojrak, jak mi się wcześniej wydawało. Przestraszyłem się, że moje fizyczne ciało nie wytrzyma tego oddalania się, że umrze, a ja wrócę z poza i w sypialni zastanę zimnego trupa, i w żaden sposób nie będę mógł go ożywić. To oczywiście są totalne bzdury! Irracjonalne lęki, które podpowiada nam wyobraźnia, nic więcej. Dowód? W obszarze przycielesnym, tuż przed przełączeniem na fizyczne zmysły, otrzymałem od JEZUSA kolejną literę – właśnie za ten skok. Niby nic, a jednak. Było to potwierdzenie od samego MISTRZA, że obrałem właściwą drogę. Taka jedna literka..., a jak cieszy! Czyli mam już trzy. Zlepek z pozoru nic nie znaczących znaków:

...EWI...

# 31
# Niedokończona Ewangelia

Litery

I wejrzał we mnie Pan, uświadomił we śnie,
Powiedział do mnie tak: „Dokończ ewangelię,
Litera po literze zbierz przekaz do kupy,
Wspomnij, że Jestem, a łzy z serc osuszysz”.

Na jakiś czas przerwałem eksplorację luster. Chciałem trochę odetchnąć, poukładać sobie, co i jak, nabrać ochoty, no i przede wszystkim wykrzesać z siebie odwagę. Jak Boga kocham, wolałbym sto razy spotkać się twarzą w twarz z samym Rokitą, niż znów doświadczyć przyspieszającego lotu w nieznane, podczas którego odczuwa się, jak człowiek pozostawia za sobą wszystko, czym był i co do tej pory znał.

Gdy znów natrafię na zwierciadło (znając życie, zapewne okazja nie nadarzy się szybko), nie będę skakał, tylko wślizgnę się w nie ostrożnie. Jednak wcześniej muszę o coś zapytać JEZUSA. Co to za zagadkowe litery, te punkty? Wiem, że mają coś utworzyć: jakiś wyraz, hasło, może zdanie? Czy czytać je wspak, czy przestawiać? Umieram z ciekawości. W sumie jeśli od razu się tego dowiem, (oczywiście jeżeli JEZUS zechce mi odpowiedzieć i odsłoni je wszystkie), to czy nie stracę cennej motywacji? Czy wtedy zniknie system marchewkowego nagradzania? „Pewnie i tak nie odsłoni... Ale co mi szkodzi zapytać”.

Oczywiście nie uzyskałem natychmiastowej odpowiedzi. A przynajmniej nie została mi podana w taki sposób, w jaki bym się spodziewał. W ogóle JEZUS, czy też ktorakolwiek z Wyższych Istot, jak je ostatnio nazywam „z Ekipy MTJ”, nie są na każde zawołanie i nie spełniają każdego widzimisię. One wiedzą lepiej, co mi służy, a co nie, kiedy mają się ujawnić i mi pomóc, a kiedy tylko z dalszego planu obserwować poczynania młodszej świadomości. Posiadają głębszy wgląd

w strukturę mojego ja, jak i całego systemu zdarzeń, w których uczestniczę. Komu jak komu ale samym Twórcom można zaufać. Jeśli nie chcą zdradzić mi więcej liter, to trudno, przyjmuję z pokorą ich decyzję i dziękuję za to, co mi dali do tej pory. A otrzymałem naprawdę wiele...

Chodziła mi po głowie pewna rzecz: „A gdyby tak o kierownictwo poprosić, nie jak zawsze, MTJ-a, tylko JEZUSA? Być może to jest ta sama siła..., nie wiem". Pomysł wydawał mi się nie do końca zwariowany. Postanowiłem przeprowadzić prosty eksperyment. Co mi szkodziło spróbować? „Jeśli JEZUS nie przyjdzie, to trudno, może ma ważniejsze sprawy na głowie niż kierowanie Sugierem", pomyślałem.

Z takim właśnie nastawieniem – pokornym, godzącym się na wszystko, nie wymuszającym niczego – zdecydowałem się eksperymentalnie oddać ster JEZUSOWI. Nie od razu, lecz chyba po trzecim zawołaniu: „Niech moją eksterioryzacją pokieruje JEZUS CHRYSTUS!", odebrałem wyraźny ident Bożego Syna.

*Jest za moimi plecami. Z sekundy na sekundę wrażenie obecności Jego Osoby staje się silniejsze, i już po chwili dosłownie przytłacza mnie realizm sytuacji. Nazarejczyk z krwi i kości wtula się w moje plecy! „JEZU CHRYSTE, ileż w Tobie Miłości! Jak On to fajnie robi! Oznajmia bez słów, samym dotykiem":*

*...Oto jestem. Upewnij się, że to ja. Czujesz? Czy chcesz bardziej mnie poczuć?...*

*Zewsząd ogarniające ciepło i spokój, ład w głowie i brak pytań. „Jak cudownie, jak bosko...". Delikatnymi dłońmi chwyta moje przeguby, rozchyla na boki ramiona, kolanami przysuwa moje kolana, łącząc je, ustawia mnie w pozycji krzyża. Nie zauważyłem, kiedy zdążył się odwrócić. Teraz tworzymy lustrzane odbicie, jakbyśmy wisieli na jednym krzyżu plecami do siebie, z tym że krzyża nie ma, jesteśmy tylko my. Panuje nastrój wszechogarniającego spokoju...*

*Zaczynamy się unosić. „No tak, przecież prosiłem o „kierownictwo... Zapewne gdzieś polecimy a ja, jak zwykle, po drodze się rozstro-*

*ję. A może dałoby się zmienić dotychczasowy schemat? Po co ryzykować utratę cennego wyjścia...”.*

*Nabieramy prędkości. „Pewnie jest już za późno, procedura uruchomiona... Czy zdołam ją zatrzymać? Szkoda, że ostatnio Go nie było w lustrze. Przy Nim nie sposób się bać czegokolwiek, Jego wibracje nie dopuszczają strachu…”.*

*„U hu hu… co za przeciążenie! Może o to chodzi, żebym przywykł. Może przyspieszenie coś powoduje, zmienia energetykę ciał? Nie mam pojęcia”. Lecimy i lecimy, nie odczuwam nic oprócz narastającej prędkości, ale tym razem się nie boję…*

*„Nie będę ryzykował, zresztą chcę wykorzystać okazję. Muszę o coś spytać. To Boży Syn. On wie wszystko. Co mi po locie donikąd. Tylko o co Go zapytać? Kurczę, co za wyrachowana kalkulacja. Pewnie czyta moje myśli. Wstyd jak cholera…”.*

*„Już wiem! Genialne!” Chcę usłyszeć odpowiedź tylko na jedno, jedyne pytanie. Czuję, że jest w nim wszystko zawarte. „Dam mu coś od siebie, zaoferuję pomoc. Pragnę tylko pomagać, chcę być wolontariuszem JEZUSA. Tak! Czuję to w kościach!” Aż cały zadrżałem!*

*Dla pewności, choć wiem, że już mnie przejrzał, mówię na głos:*

*– JEZU, jak mogę Ci pomóc?*

*Natychmiast zaczynamy zwalniać i po chwili zawisamy w próżni. JEZUS jak gdyby nigdy nic wyciąga z szaty mały ekranik, coś w rodzaju iPada i mentalnie, nie dotykając klawiszy, pisze na nim. Tekst rozpoczyna się wielokropkiem, następnie na wyświetlaczu litera po literze pojawia się już znany mi zapis z kolejną, dodatkową głoską – „Ś”:*

*...EWIŚ...*

*Następnie dodaje spokojnym, ciepłym głosem, jakby dawał mi do zrozumienia, że będzie dobrze, jeśli to zrobię, jednak nic się nie stanie, jeśli nie zrobię:*

*– Dokończ EWANGELIĘ.*

*Ścina mnie z nóg, jakbym został rażony niewidzialną siłą. Upadam na kolana i wybucham płaczem. Ciężko jest znieść prawdę, choćby była*

*najpiękniejsza i płynęła z ust samego Syna Twórcy… On mnie o to nie prosi, ja sam pragnę to zrobić, tak bardzo pragnę, a On mi mówi, że nie muszę; dobrze, jeśli to zrobię, ale nic nie muszę… „Ależ to piękne… Robić coś z serca, nie z musu…”. Szlocham przez chwilę, potem szybko biorę się w garść. Nie mogę płakać. Jestem za duży, by się mazgaić. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się wzruszyłem. Powiedział tylko dwa słowa, w których zawierało się wszystko, nagłe uświadomienie aż mnie przeszyło… Mam dokończyć EWANGELIĘ…*

# 32
# Wolność upragniona

Uzależnienie

Trzy dni bez obe, a kości już bolą,
Dłonie szpotawe jak w śpiączce się robią.
Pustka w głowie, w sercu niepokój,
Oczy prowadzą międzysobny bój.
Bez czucia, bez smaku wszystko się wydaje,
Zachowanie wyraźnie od normy odstaje.
Jak najszybciej wyjść, bo zwariować można,
„Co za więzienie! Wewnętrzna pożoga!"

Wszystko to piękne, ale ja chcę być wolny. Niczego tak nie pragnę jak stanu ducha, którego już wielokrotnie doświadczałem. Chcę odczuwać go ciągle. Dlaczego zanika ten rozkoszny punkt odniesienia, za którym nieustannie tęsknię? Nie robię nikomu o to wyrzutów, a już na pewno nie  Twórcom. Dorosłem. Pożegnałem się z roszczeniowo-pretensjonalnym sposobem bycia niedojrzałej osobowości, która zamiast wziąć się w garść, nieustannie lamentuje i wyciąga ręce ku Niebu.

Czy jestem wolny? Na tą chwilę mówię: nie. Może jutro będę, mam taką nadzieję...

Podczas jednej z wizyt w poza, będąc na zwykłej, nielustrzanej fazie płytkiego LD-ka,  dorwałem Obserwatora. To taka istota, która kryje się po kątach, niby nic nie robi, tylko się gapi, ucząc się poprzez rejestrację i naśladownictwo. Obserwatorzy czasami się przydają, zwłaszcza gdy się ich przyciśnie. Było to kiedyś tam... Wstyd mi o tym mówić, ale niech będzie...: nie wytrzymałem, puściły mi nerwy; chwyciłem za wszarz Bogu ducha winną istotę i zacząłem się na niej wyżywać:

*– Mów kiedy będę wolny?! Milczysz?! Nie udawaj głupiego! Masz wgląd, a jeśli nie, to proś i przekazuj, co zapisane?! Co widzisz?! – dla*

*pewności wysyłam mu obrazy chwil, w których doświadczałem Totalnej Wolności i to znajdując się w ciele fizycznym…*

*– Nadal milczysz?! Ścisnę cię jak Tornado! Mów, dlaczego nie jestem wolny?!*

*Nagle poczułem za sobą bardzo niewyraźny ident JEZUSA. Zrobiło mi się wstyd, jak nie wiem co. Momentalnie cały poczerwieniałem. Bez kitu. Czułem, jak cały pąsowieję, i to w poza. Masakra! Taki wstyd. No ale sygnał już poszedł. Puszczam więc gościa, a ten spogląda ponad moim ramieniem na kogoś stojącego za mną, i mówi jak w transie:*

*– Nie będziesz wolny. Jesteś przeszklony na słowa płynące zza ciebie*

*– Nie rozumiem...*

*– Jesteś przezroczystym przekaźnikiem słów Jego. Nie możesz być wolny…*

*– Mów, proszę, co jeszcze Ci przekazuje! To JEZUS?*

*– Jesteś pod Jego wpływem, ale to dobry wpływ, protekcja… Twój przydział, rola do wykonania, byłoby dobrze, gdybyś o niej pamiętał...*

*I podaje mi rotę.*

*Widzę komiksowy obraz samego siebie, kreskówkę ze mną w roli głównej. Wygląda to trochę groteskowo i niewiarygodnie: postać Herkulesa z głową Sugiera, zamiast maczugi lira, w chmurce na tekst złote wyrazy… Zsyła go Siwobrody Starzec z nieba – ta sama postać co z fresku „Stworzenie człowieka” Michała Anioła. Zapamiętuję tekst i ze łzami w oczach natychmiast wycofuję się do ciała.*

Szok! Dlaczego Swomi-Romi – część mojego ja odpowiedzialna za pisanie prawdy – wciąż mi nakazuje, abym się jej trzymał, a nie podpowiada, jak pokonać skromność i strach przed posądzeniem o pyszałkowatość? Myślisz, że było mi łatwo zrelacjonować to, co zobaczyłem? Opisać siebie jako boskiego bohatera, półboga? Przez gardło mi to nie przechodzi, a mam to przelać na papier? Zrobię z siebie próżnego pyszałka, ot co! „Super. Dzięki za podpowiedź!”.

Jestem czymś w rodzaju wysłannika Stwórcy, który przynosi ludziom Dobrą Nowinę, takim listonoszem, który zamiast torby ma lirę i niesie pieśni pocieszenia na trudne czasy...

Co było napisane w komiksowej chmurce? Nie będę robił z tego tajemnicy: *Lira – dar Świętego Ducha. „*No... przydałby się, bo ze składnią u mnie kiepściutko. Lepiej ode mnie piszą dzieci w podstawówce. A może chodzi o coś innego?" Póki co, klecę zdanie po zdaniu – nie „piszę". A co do wolności, przekazuję kilka technik na jej uzyskanie, bo a nuż ktoś zapragnie jej zasmakować.

Czy ja dobrze słyszę? Powiadasz, że ich nie potrzebujesz, że jesteś wolny. Oj, nie opowiadaj bajek! Albo nie wiesz, czym jest prawdziwa wolność, albo oszukujesz sam siebie, udając, że wiesz. Gdy ktoś mi mówi, że „jest wyzwolony", że w ogóle, „och ach, oświecony", to coś mi się robi w środku. Ludzie tak bardzo chcą być wolni, tak tego pragną, że zaczynają wierzyć we własne brednie. Pozostają dwie możliwości: albo nieświadomie kłamią, albo mają ograniczone pojęcie o wolności.

Znakomita większość ludzi potrzebę bycia wolnym zaspokaja marnymi namiastkami. Myślą, że jak ktoś usiądzie na górze pieniędzy, jak się dobrze ustawi w życiu, to będzie wolny. Że zero pracy i brak obowiązków dadzą mu upragniony rajski spokój. Inny sądzi, że prawdziwe wyzwolenie czeka go wtedy, kiedy zacznie rządzić, niekoniecznie od razu całym światem, ale chociaż w firmie. Czy dzięki temu staje się wolny? Skąd! Jeszcze bardziej zniewolony. No więc szuka substytutu gdzieś indziej: w idei, w filozofii, religii... Próbuje coś sobie poukładać, zrozumieć. Jak dobrze pójdzie, wkręci sobie fajny program do podświadomości lub zakoduje podświadomość, odmóżdży jakąś część siebie, stworzy uśmiechniętą maskę i będzie z nią łaził jak oszołom. To żadna wolność – to wypieranie pierwotnego głodu i podsuwanie duszy marnych zamienników Prawdziwej WOLNOŚCI – tej Totalnej, która jest jak wiatr dla duszy. Prawdziwą WOLNOŚĆ odczuwa się właśnie jak wiatr! To nie złudzenie, tylko prawdziwe doznanie cieplutkiego wietrzyku owiewającego ciało: masz na sobie ubranie, a czujesz się nagi, ogarnia cię radość nie do opisania, z trudem panujesz nad uśmiechem. W głowie jest spokój, żadnych trosk, nie martwisz się tym, co było wczoraj, ani też przyszłością. Jesteś totalnie zakotwiczony w teraz i całym sobą odbierasz bodźce z otoczenia. Coś niebywałego! I to wszystko nie tam w poza, tylko tu w świecie fizycznym.

Po raz pierwszy doświadczyłem tego w realu przez przypadek**.** Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Ale że uczucie, o przepraszam, ten stan (bo wolność jest stanem nie uczuciem) jakimś cudem przeniósł się do fizycznego ciała...?! Trwałem w nim cały dzień i nic nie mogło go zaburzyć. Po kolejnej nocy zniknął tak nagle, jak się pojawił, pozostawiając po sobie uczucie głodu nie do opisania.

*Brunet o ostrych rysach twarzy prowadzi bezustanny wewnętrzny dialog złożony z przekleństw. „Kogo on tak wyzywa?", zastanawiam się. „Nikogo tu nie ma". Robi to z taką pasją, że nawet mnie nie zauważa. Nie jest groźny, tylko rozżalony, ma do kogoś o coś pretensje. Trochę mi go szkoda... Gdy podchodzę do niego, zaczyna gwałtownie wymachiwać rękami i wygrażać komuś – mnie wciąż nie dostrzega. „Furiat, histeryk... Zaraz sobie zrobi krzywdę!", myślę. „Koleś wpadł w jakiś szał". Szuka czegoś ostrego wśród kuchennych sprzętów. „Muszę go powstrzymać!" Chwytam go za ręce i wtulam się w niego. To jedyne, co mi w tej chwili przychodzi do głowy... I... – niebywała rzecz – gość częściowo wtapia się we mnie! Coś mi podpowiada, żeby to kontynuować. Czując wyraźny opór, wpycham do środka siebie teraz już nieco spokojniejszego Furiata... Ciężko mi idzie... Robię krok do przodu, a jego wciągam mocno do wnętrza... Chlup! Wpadł! „Niesłychane! Wleciał do środka mnie!" Cieszy się! Słyszę, jak się cieszy! Jaka tam głębia panuje... Przestrzeń wielkiej studni... Ktoś śmieje się razem z nim, ktoś się przyłącza, śmieje się już nie tylko on, ale i inni. Wyraźnie słyszę chichot wielkiego tłumu... „Kto się tak cieszy, kogo tak to bawi?", zastanawiam się. Odgłos okrzyków radości z głębi mnie dociera do mojej niefizycznej powłoki. Teraz dźwięki przebijają się przez nią i stopniowo narastając zaczynają rozchodzić się w całej lokacji. Gromkie śmiechy dookoła mnie! Odczuwam radość całym sobą, całkowicie mnie ogarnia. Wysyłam radość na zewnątrz. Nagle dociera do mnie: „Boże...! To ja się śmieję. Jakże się cieszę! Co za szczęście!" Cudowna ulga..., lekkość..., wiatr na całym ciele... i roześmiane, łaskoczące serce..., jakby mnie ktoś muskał piórkiem!*

*Faza samoczynnie, bardzo powoli, cofa mnie do fizycznego ciała. Ale, o dziwo, nie jest mi przykro z tego powodu..., nic takiego nie przy-*

*chodzi mi nawet na myśl. Wracam roześmiany, zadowolony i niebywale szczęśliwy... Jestem już prawie w ciele..., a odczuwane szczęście zmalało tylko minimalnie... „Niebywałe...”. Pyk! Budzę się.*

„O Boże! Udało się! Przeniosłem radość do świata fizycznego!” Rozglądam się uważnie po pokoju. „Tak, to real!” Wstaję z łóżka i wciąż to czuję: delikatny, łagodnie łaskoczący wiatr na sobie i cudowną radość w sercu. Tak jakby ktoś chciał mnie rozweselić, muskając piórkiem. Mogę się powstrzymać od wybuchu śmiechu i to jest cudowne. Nie muszę go tłumić, umiem go kontrolować. Moje myśli? O czym właściwie teraz myślę? „JEZU, nigdzie nie odpływam myślą!” Nawet nie jestem w stanie! Nie mam takiej potrzeby. Co było wczoraj? „Wczoraj? A cóż to za pytanie!” Co będzie jutro – nie napływa w ogóle do głowy. Jestem maksymalnie skupiony na odczuwaniu Teraz. Na niczym innym. Czuję, widzę, słyszę tylko to, co mnie otacza.

Idę do kuchni. Stopy łagodnie tulą się do podłoża.

„Jeść, czy nie jeść?”

„Tak dobrze, i tak dobrze”, pojawia się odpowiedź.

Więc jem. Posiłek smakuje niebywale! A co najważniejsze: jem, a mój umysł nie robi nic innego. Jest przy mnie, o niczym nie myśli, tylko wcina razem ze mną – kompletnie się zatrzymał! Żadnego dryfu...

Dzwoni komórka... Odbieram. Krótka rozmowa dotycząca spraw z wczoraj, które mają mieć wpływ na jutro... Zupełnie pomijane jest w niej Teraz. By porozmawiać, oczami wyobraźni na chwilę przenoszę się do iluzorycznej „krainy wczoraj i jutra”. Inaczej się nie da. Po zakończeniu dialogu następuje natychmiastowy powrót do Teraz.

Wychodzę z domu do pracy, jadę autem i całym sobą jestem w samochodzie. Wszystko dokładnie rejestruję, wszystko dokładnie obserwuję... Pod prawą stopą mam pedał gazu, lewa dłoń spoczywa na kierownicy, prawa na dźwigni zmiany biegów. Siedzę w fotelu kierowcy, prowadzę pojazd... „Ależ wyostrzona percepcja!” Nie odwracając głowy i nie rozglądając się na boki dokładnie widzę, co jest daleko ode mnie po lewej i po prawej stronie. Podobnie jest z górą i dołem. Zauważam najdrobniejsze szczegóły wnętrza auta i jednocześnie mam pełną

kontrolę nad tym, co się dzieje na drodze. Patrzę przed siebie, a dociera do mnie obraz tego, co mnie otacza.

Pojazdy suną jak w zwolnionym tempie... Dodaję gazu, odczuwam przyspieszenie w taki sposób, jakby to doznanie pojawiło się pierwszy raz... Nie szaleję na drodze, ale teraz mógłbym. Mam przewagę nad innymi kierowcami, bo wszystko dookoła mnie, jest spowolnione...

Włączam radio. Wiadomości. Neutralne, bez smaku. Obojętnie opływają mój umysł. Słyszę muzykę. Nie pojawiają się żadne skojarzenia. Ot, dźwięk wydobywający się z pudełka, nic poza tym.

„Wyłączyć? Nie wyłączać?”

Tak jest dobrze, i tak.

Wciąż czuję wiatr w sobie i na sobie..., powiewy głaszczą moje serce... „Cóż za WOLNOŚĆ!” Dzień trwa tyle co tydzień... czas zwolnił... czas się zatrzymał...

Zapada zmierzch... Idę spać. Nie odczuwam potrzeby obepodróży. Nie mam żadnych potrzeb. Łagodnie zapadam w sen.

Budzę się rano.

„O JEZU kochany! Znów jestem w tym stanie...”.

W stanie z przedwczoraj! Sprzed tego krótkiego okresu, kiedy odczuwałem cudowną lekkość i radość. „Dlaczego?! Kto mi GO zabrał?! Gdzie jest moja WOLNOŚĆ?! Jak TO się mogło stać?! Nie rozumiem...”. Do głowy cisną mi się setki pytań. Analizuję je, sięgam pamięcią wstecz, by coś sobie przypomnieć. „Co teraz będzie?” Znów ten dryf umysłu... „Już nie ma mnie w Teraz! Co za głód! Chcę być WOLNY zawsze, do końca swoich dni...”.

Podobna sytuacja już się nie powtórzyła. Owszem, gdy zbierałem inne części siebie, czułem radość, uniesienie, satysfakcję, ale później już nigdy więcej nie przeżyłem takiego UNIESIENIA... takiej WOLNOŚCI...

Był czas, gdy obsesyjnie próbowałem wchłonąć w siebie wszystko, jak leci, byle tylko jeszcze raz znaleźć się w stanie Totalnej Wolności. Nic z tego. Czy mogłem sobie zrobić przy tym krzywdę i wchłonąć kogoś zupełnie obcego? Nie ma takiej możliwości. Już tłumaczę dla-

czego: jeśli natrafiałem na jakąś część siebie, to wpadała ona do środka mnie jak do studni; jeżeli natomiast był to ktoś inny, to po prostu przelatywał, z lekkim oporem ale przelatywał i nie wpadał do mojego wnętrza. Już przed wtuleniem go w siebie instynktownie wyczuwałem, że istota jest kimś o odmiennych wibracjach nie pasujących do moich. Choć dotyk to potwierdzał, to jednak na chama próbowałem go wcisnąć w siebie. Czego to człowiek nie zrobi dla wolności...

Kolejnym sposobem na zasmakowanie Absolutnego Stanu jest poproszenie Dobrych Istot o wstrzykniecie go. Tak było na początku mojej przygody z obe, gdy zaaplikowano mi w dłonie potężną dawkę luszu – energii Wyższych Istot. Czułem, jak się roztapiam, rozpływam w trudnym do wytrzymania stanie absolutnego szczęścia. Zostało mi to podane w dłonie, i... wierszem. Na końcu uświadomiono mi, czego właśnie doświadczam. Jak mi wtedy powiedziano, była to zaledwie namiastka prawdziwej wolności, jej cień. Tak było i następnym razem, i następnym... Wyższe Istoty mają dostęp do Tej Energii i mogą ją aplikować. Nie zaszkodzi spróbować ich o to poprosić, a nuż kiedy wyjdziesz z ciała, zaserwują ci Wieczne Szczęście. Samo wyjście jest frajdą, ale zanurzenie się w Boskim Żarze, w luszu, to dopiero czad! Może tobie już tak zostanie... Mi nic nie pozostało oprócz głodu, co nie oznacza, że tobie ma się nie udać. Nie mam w sobie nic oprócz zapisów wspomnień z tamtych chwil... Lecz nie patrz na mnie, wyjdź a może będzie ci dane na zawsze...

*Do głowy wstrzykują mi coś, co powoduje drastyczną poprawę postrzegania. „O Boże, jaka zmiana!” Szczęka mi opada ze zdziwienia. Nie sposób tego opisać. „Co za percepcja!” Czuję każdą najdrobniejszą cząstkę siebie! Jakbym był superodbiornikiem, rejestratorem odczuć… Tak… teraz pamiętam jeszcze więcej, to odczucie wydobywa się z środka mnie… To, co jest na zewnątrz, to tylko fikcja, pewna forma snu, zaś prawdziwa Wolność jest we mnie, w moim wewnętrznym świecie. „Boże, jak się wspaniale czuję… Jak wszystko pojmuję i pamiętam”. W głowie nie rodzą się żadne pytania...*

*Po wstrzyknięciu czegoś w tył głowy spada ze mnie olbrzymi ciężar. Teraz wiem, jak to jest być naprawdę wolnym. Narastający zachwyt*

*stanem zawieszenia w próżni oraz faktem nieposiadania siebie i zanikiem odczuwania ego. Inaczej tego nie nazwę. Wiem, że jestem, ale jakby mnie ktoś zresetował, odciążył, uwolnił od czegoś. Obudził w Prawdziwym DOMU, przypomniał mi uczucie bycia w nim… „Jak mi dobrze, co za SZCZĘŚCIE…”.*

*Wciąż mam wrażenie, że w mojej głowie nadal tkwi rurka. Otwieram się na maksa. Chcę więcej tej energii wyzwolenia, energii przypominania kim jestem. Tak to trafna nazwa. Ta energia uwalnia mnie z pęt. Wiatr w głowie i totalne zawieszenie w próżni bez myśli… „Co za Ekstaza...”. Wrażenie wyklucia się ze zniewalającej skorupki jaja, ze świata snów. „Boże, jaki jestem teraz WOLNY…”.*

*Nagle jednym ruchem wyciągają mi z głowy rurkę. Chlup, i z powrotem jestem w stanie pierwotnym. Ktoś odciął zasilanie. Lep-lep-lep i już mam ją na ciele, na głowie, cały zalepiony jestem tym czymś. To energia o niższych wibracjach, energia ciała… Jest jak skorupa… I znów pojawiają się zastanowienie i analizowanie... Do głowy uderzają myśli. Faza cofa się w stronę świata fizycznego. Wiatr Wolności, który mi przypominał, kim jestem, przenosił mnie w pradawny stan ducha, znika jak po naciśnięciu guzika. Pozostają tylko pamięć doświadczenia oraz przemożny głód wolności i pragnienie powrotu…*

*Ponownie jestem w kolorowej kopule. „Kopule?”, zastanawiam się. „Dlaczego wcześniej jej nie zauważyłem?” W gruncie rzeczy znajdowałem się w niej przez cały czas, tylko tego nie zarejestrowałem, bo byłem nastawiony na uczucia docierające z mojego wnętrza. „No właśnie, co to było? Co to za rurka i jakieś eksperymenty na mnie?”*

*– Otwarcie kanału u podstawy czaszki… (tu pada długa nazwa, której nie sposób zapamiętać. Coś związane z czakrą, potylicą, spodem głowy). Opis jest podawany werbalnie i beznamiętnie, jakby zaaplikowanie mi tego czegoś było całkiem naturalnym zabiegiem. Według tych istot przeprowadzono standardowy zabieg i tyle.*

*– A dlaczego znikło? Dlaczego nie otrzymałem tego na stałe? Ależ głód! Chcę tego na zawsze!*

*„Czas wracać”, oznajmia mi istota, tym razem nie używając słów.*

*Lekki ruch wstecz i jestem w ciele.*

Dotykam tyłu głowy. No... na czaszce mam od urodzenia taki dzyndzelek, guzek. „Może zabawić się w lekarza i podać to sobie samemu? Głupi pomysł, ale czemu nie". Przytykam palec wskazujący i przez chwilę bawię się w czarodzieja. Nic z tego. Nie potrafię. „Kurczę, co za matrix!".

Ogarnięty obsesją wolności, postanowiłem sam ją zdobyć. I tak oto wpadłem na genialny pomysł, by spróbować ściągnąć w dół światło, które mam nad głową, gdy jestem poza ciałem. Nie wiem dokładnie, co to za światło, chyba wydzielający się lusz, albo jakaś otworzona czakra; nieraz mi ono rozbłyskuje i wtedy łażę po astralu niczym z latarką górniczą. Jeśli to jest ta sama energia, jakiej używają Boskie Istoty, to będę w domu.

Któregoś dnia postanowiłem to sprawdzić. Nie było to wczoraj, ani przedwczoraj – jeszcze dawniej, kiedy byłem głupi i zuchwały, i strasznie chciałem się znaleźć w Absolutnym Stanie. Na domiar złego nie wiedziałem, gdzie kończy się wyrażanie siebie, a zaczyna bezczelność. Nie potrafiłem odfiltrować intymności z opisu doznań. Mówiłem o wszystkim, jak leci, jak było. A było tak: oto zapis z przed paru lat – „kopiuj-wklej" z internetowego bloga.

*Ląduję na bardzo płytkiej i ciemnej fazie. OSPUO lękowe…, ale czort z tym. Utrzymuję fazę, jak mogę. Noc. Idę w stronę bardziej widocznego obszaru. Mogę sięgnąć wzrokiem na odległość około 30 metrów. Coś mi się świeci nad głową... Na pewno nie aureola, bo świętym nie jestem i nie chcę nim być. Nagle w głowie odzywa się czysta, bezczelna logika: „A co! Oświecę się, zostanę oświecony". Wyciągam łapy w górę…, wyżej…, jeszcze wyżej…, jest! Coś cieplutkiego. Przyjemniutka, kizi-kizi cieplusieńka mgiełka. „A dawaj to na siebie! Będę święty!" Chwytam to coś i powolnym, łagodnym ruchem, ściągam na głowę… „O JEZU! Jak jasno! Jak cieplutko! Jaka jazda, cudownie… uuuuuu… aaajjjjjj…". Okej, spokojnie muszę opanować ekscytację, ekstazę… „A dawać to niżej!" Trzymając to-cud-coś przypominające mglistocieplny pierścień, powolnym ruchem zsuwam go w dół… W gardle zaczyna mnie łaskotać, jakby ktoś mnie pieścił piórkiem, roześmie-*

*szał. Nie do wytrzymania to łaskotanie… Dalej w dół… Na wysokości serca następuje eksplozja ekstazy! Łaskotki-chichotki, cudowne uwolnienie z czegoś…, i tak lekko się oddycha… Wreszcie mogę wziąć pełen haust powietrza… „Uuuuuu… jak lekko…”. Już mnie nic nie ściska, nie dusi, czyli dusiło?... Ściągam cud-coś niżej… w brzuszku motylki, łaskotki, giligili, a od pasa w górę, jakbym miał głowę w superkosmosie… „Mmmrrr… jak dobrze… trudno to wytrzymać, takie fajne…”. Teraz kolej na wacusia. Wiem, czego się spodziewać…, stop! Faza się zatrzymała! „Co jest?! Kurde, w takim momencie! Tylko nie to!” Zatrzymała się, ale nie cofa! Zaskakujące… Trwam…, trwam i trwam… Ni wte, ni wewte…, ani do ciała, ani do astrala! Dopiero po dłuższej chwili faza łagodnie wraca w kierunku świata fizycznego. Ale jeszcze dobrą chwilę cieszę się ekstazą… Potem, krok po kroku, znów ląduję w realu…*

„Jest! Przeniosło się!” Odczucie nie jest tak intensywne jak w poza, ale to zawsze coś. Fajnie się czuję. Inaczej niż po wchłonięciu Ja... Bardziej ekstatycznie, rozkosznie, nie „lepiej”...; po prostu „inaczej”...

Prawdę powiedziawszy, do dzisiaj mam trudność z mówieniem o obe bez pomijania intymnych wstawek. Jednak słoma z butów już mniej mi wystaje, a i głupota we mnie zelżała. Widać poczyniłem jakieś tam postępy w swoim rozwoju. Czasem należy utrzymywać niewielki poziom ignorancji. Dzięki niej często rodzą się szalone odkrycia. No i... głupcowi łatwiej wybaczyć...

Tak więc wolnym byłem i bywam, ale całkowicie WYZWOLONY nie jestem. Z własnej woli nałożyłem sobie kajdany i zrobiłem to z Miłości. Kogo tak kocham? Za stary jestem by wypisywać laurkowe inwokacje. Robię co do mnie należy i wio!

# 33
# Na srebrnej tacy żal

Ptasi móżdżek

No nie, jak mogłem i to na srebrnej tacy,
Bezczelnie, z tupetem jak smarkacz przebrzydły,
Swoim Astralnym Kochanym Rodzicom,
Zamiast kwiatów słać gówno w podzięce!
Żal w człowieku niekiedy kiełkuje,
Bo mu smutno, źle i ma dość wszystkiego,
Nie ogrania ptasim móżdżkiem swoim,
Że tak ma być, bo taki jest Plan Wyższego.

Rzecz nie tylko o Wolność się rozgrywa, sprawa nie dotyczy również tylko Miłości, gdzieś w tle, w rdzeniu jestestwa każdego człowieka kryje się odwieczne pytanie: kim jestem, po co żyję, po co to wszystko, co mnie otacza? To głód tożsamości – odwieczny znak zapytania prześladujący człowieka na każdym kroku, jak cień podążający za nim od chwili narodzenia. Zagnieżdżony w duszy palący płomień, którego nie sposób ugasić. Do czego może doprowadzić niemożność zaspokojenia pragnienia wiedzy?

Nawet nie przypuszczałem, że słowa i wyrażane nimi myśli mają taką moc. Parę lat temu zrobiłem coś, co po pewnym czasie wróciło do mnie jak bumerang. Dobrze że moja Ekipa MTJ jest anielsko cierpliwa i wyrozumiała. Ale po kolei. Pozwolę sobie przytoczyć fragment z moich wcześniejszych zapisków. To będzie już ostatni cytat dawnego dziennika. Jeśli o tym nie wspomnę, dalszy ciąg zdarzeń nie będzie wystarczająco czytelny. Najpierw więc treść intencji wyrażanej przed wyjściem, wewnętrzny monolog skierowany do MTJ-a, następnie sama podróż oraz to, co nastąpi po niej:

„MTJ, chcę się z Tobą spotkać. Tak bardzo tęsknię za Tobą, że nie jestem w stanie wyrazić słowami tego pragnienia. Narobiłeś mi smaku spotkaniem z Kulą Białego Światła, z Tobą. Wiem, co chcesz powie-

dzieć, przypominasz mi moje słowa, które często dorzucałem do afirmacji wyciągnięcia z ciała: >>... i biorę całkowitą odpowiedzialność za Zmiany...<<”.

OK, za to spotkanie, które się odbędzie, też biorę odpowiedzialność. Bez względu na wszystko wchodzę w to! Ale wiesz, chcę by to było spotkanie twarzą w twarz. Chcę tylko chwilkę pogadać, jak przy kawce. Tylko minutkę, proszę! Oj dobra, po prostu chcę Ci, Stary, trochę powiedzieć do słuchu, że w niezłe gówno się wpierdzieliliśmy. Jesteś mocarz, więc i tak wszystko co powiem, po Tobie spłynie. Proszę o spotkanie. Dlaczego unikasz kontaktu „face to face”? Służysz pomocą – a jakże – nie powiem. Gdyby nie Ty... nigdy nie wyszedłbym z ciała. To Ty mnie wyciągnąłeś. Gdyby nie Ty, nie odwiedziłbym Parku. To Ty mnie do niego pchnąłeś swoim ciepłym podmuchem. Gdyby nie Ty, nie zaleciałbym za Szczelinę, za pasmo H-dźwięku, nie spotkałbym się z Robertem Monroe, tylu innych rzeczy nie dokonałbym... Czy moja matka żyłaby, gdyby nie Ty i ja? Towarzyszysz mi wszędzie, czuję to. Jednak chcesz pozostać anonimowy, niesiesz pomoc z ukrycia. Chcę zobaczyć Twoją twarz, chcę pogadać jak z kumplem. Tyle pytań ciśnie mi się do głowy. Spotkaj się ze mną, proszę. Ignorujesz mój sygnał totalnie. Oj, nieładnie... Nawet sprowokować Cię nie można. Może tej nocy...

Po raz kolejny wysyłam sygnał: „MTJ spotkaj się ze mną, proszę!”

*Ląduję w kanale ściekowym. Ciemno, ciasno. Dostrzegam drabinkę. Ruszam do niej pokonując wyraźny opór gęstego jak olej powietrza. Wchodzę po stopniach do góry, z trudem zbliżam się do włazu. Duszno tu, ciężko się oddycha. Mam do wyboru: albo szybko wracać na płytszą fazę, by chwilkę odsapnąć, albo pchać się dalej. Świadomość jeszcze niepełna, jednak przebija się zakodowana myśl, żeby iść, nie cofać się. Tak właśnie chcę zrobić, lecz czuję, że zasypiam. Duszność w końcu mija, ale zmagam się ze snem. „Kuźwa!”, klnę pod nosem. Pomaga. Jestem znów świadomy, niestety duszność ponownie zaczyna narastać. Docieram jednak na górę i mocno napieram na właz, w końcu z trudem go odsuwam na bok. Uff..., wreszcie mogę odetchnąć. Biorę głęboki haust powietrza. Dostrojenie wyrównane. Podpieram się ręką na kra-*

*wędzi kanału i wychodzę na zewnątrz. Jestem! Dopiero teraz odzyskuję pełnię świadomości. Tamten kawałek w kanale przeszedłem automatycznie, niemal bez udziału jaźni. Teraz błyskawicznie napływa pamięć, towarzyszy temu specyficzne uczucie uwalniania się, staję się lżejszy.*

*Tak, pamiętam, że chcę się spotkać z MTJ-em twarzą w twarz, mam do niego tyle pytań, wygarnę mu wszystkie. „Gdzie ja właściwie jestem?", zastanawiam się. Stoję na polnej drodze i przytupuję. Znów daje znać o sobie moje odruchowe zachowanie: na płyciznach faz zawsze przytupuję, to pomaga mi poprawić ostrość dostrojenia – swoiste antidotum na cofkę.*

*Polna, a właściwie leśna droga. Tak, już zmieniła się w leśną. W oddali widzę jakąś postać, stoi, ktoś czeka na mnie. Wiem, że czeka właśnie na mnie. Szybkim, pewnym krokiem ruszam do niej. Nie wiem, kim jest. Wciąż stara się ukryć swoją tożsamość, odwraca głowę. Nie podoba mi się to. Już jestem przy niej i chwytam energicznie za płaszcz.*

*– Kim jesteś?! Nie, to złe pytanie. Gdzie jest MTJ? – struchlała istota ruchem głowy pokazuje na las, na głębszą fazę.*

*– Jesteś człowiekiem? – pytam. – Nie jesteś i nie byłaś.*

*Zostawiam ją, bo mi szkoda czasu. Idę we wskazanym kierunku. Czuję, że mógłbym lecieć, ale wolę tego nie robić, bo a nuż mnie ściągnie do ciała. Zbliżam się do zakrętu drogi. Widzę kolejną istotę identyczną jak tamta – ma na sobie czarny płaszcz, odwraca głowę. Zbliżam się do niej. Jeszcze nic nie powiedziałem, a ona: „Czy na pewno chcesz tego?", i zaczyna mówić nie wiadomo o czym. Nie chcąc niepotrzebnie tracić czasu i dostrojenia, walę niewerbalnie, ale silnym, rozkazującym tonem:*

*„Wskaż mi drogę do MTJ-a!".*

*Istota od razu milknie i wyciąga ramię, pokazując kierunek. Przyglądam się jej uważnie, ale i z pogardą. Łeb schowany w kapturze. „Co to jest?!"*

*OK, czuję, że podróż przebiega pomyślnie. Dojdzie do spotkania z MTJ-em. Idę dalej. Kolejny zakręt i kolejna postać, już trzecia. „O ja pierniczę! Jakże idiotycznie się zachowuje, zupełnie jak pacynka, jak kukiełka jakaś, wychyla się w lewo i w prawo, jakby wiatr nią targał. Mówi do mnie:*

*– Pamiętaj, że spotkanie z MTJ-em może nie spełnić twoich oczekiwań.*

*„Kiedyś zbadam te cholerne energie, postacie w kapturach, jak Boga kocham! Gdy będę miał więcej czasu... Teraz muszę olać to coś. Nie dać się sprowokować, bo mu wpierniczę! Czy ktoś go w ogóle pytał o zdanie?!" Koleś macha rękami, pokazuje raz jeden, raz inny kierunek. Widać w jego działaniu jakąś rozpaczliwą walkę. Z kieszeni płaszcza wyciąga budzik. Przecież to mój budzik! Która godzina? Muszę wstawać, bo się spóźnię do roboty.*

*Istota się uspokaja. Już nie wymachuje rękami. A co to? Tuż za jej stopami dostrzegam nagłe urwanie fazy, częstotliwość obszaru przycielesnego, miejsce gdzie śpi moje fizyczne ciało! Ty gnoju! Przeszkadzasz mi! Jesteś Przeszkadzaczem! Fazę mi spłycił, sukinsyn! Chciał mi odebrać świadomość, uśpić i cofnąć do ciała. Zrobić to chytrze, podstępem, niezauważalnie. Niby, że to z mojej winy, za moim przyzwoleniem.*

*– Mów, gdzie jest MTJ!*

*Istota natychmiast wskazuje kierunek dalszej wędrówki. Szybko i pewnie cofam się na głębszą fazę i idę w lewo do lasu. Gęsty, niesłychanie wyrazisty las. Droga prosta jak stół, bez zakrętów, jak gdyby ktoś tę przecinkę zrobił laserem i po prostu wyeliminował część faktury drzew. Nikogo już nie spotykam, żadnych zakapturzonych przeszkadzaczy-nibydrogowskazów. Chyba się zbliżam do celu... Teraz coś mnie przechwyciło i zaczyna ściągać. Poddaję się tej niewidzialnej sile. Nie jest to cofka, bo niesie mnie w przeciwnym kierunku. Tak... to… MTJ… Co tu dużo gadać: chyba doczekałem się upragnionego spotkania. Już nie muszę walczyć o fazę – sama się pogłębia. To MTJ mnie ściąga. „To jest Gość!" Jest, widzę Go. Postać podobna do mnie, tylko większa i starsza.*

*– Co jeszcze zaobserwowałeś?*

*Niespodziewanie rzuca w moim kierunku werbalny komunikat, czym całkowicie zbija mnie z tropu. „JEZU!" Znów coś we mnie pęka. Nie pamiętam ani jednego pytania, choć tyle ich sobie przygotowałem.*

*MTJ dodaje (tym razem myślą):*

*„Jesteś gwiezdnym turystą na planecie Ziemia. Jak zwiedzanie?”*

*Wokół mnie coś się dzieje. Nie wiadomo kiedy przenosi mnie do jakiegoś pomieszczenia, nie jest to pokój, po prostu rozświetlony błękitnobiałym światłem sześcian wycięty w gęstym lesie. Panuje w nim miły, swojski nastrój. MTJ – Przedstawiciel Mojej Totalnej Jaźni, czy jak Go tam nazwać – w dalszym ciągu wysyła mi niewerbalne przekazy. Słowa, a raczej sugestie wpadają w głąb mnie – do mojego serca, do mojej podświadomości. Chłonę je jak wygłodzony. Ktoś z tyłu przytrzymuje mi głowę, ktoś inny wbija wielką igłę w potylicę i coś wstrzykuje. Ciśnienie w mojej czaszce gwałtownie wzrasta, chyba zaraz mi wysadzi oczy. Łup! Wszystko wyleciało dołem przez krocze. Wszyscy spoglądają na siebie i na to, co ze mnie uszło, odsuwają się, by się nie ubrudzić. Dobrze mi z nimi, to są moi ludzie. Zezwalam im na wszystko. Mówią o dostrajaniu się i zdrowiu, tym, czym się zajmuję. Ma to bardzo długą nazwę i nie sposób jej zapamiętać. Kilkadziesiąt melodyjnych zgłosek o głębokim znaczeniu, przepiękna nazwa zawodu, przydziału, roli... Powtarzają ją bezustannie na moją prośbę, ale ja sam za nic nie mogę jej powtórzyć. Nie mam najmniejszych szans, by ją zapamiętać... Rejestruję tylko ogólny sens wypowiadanego słowa pisanego w jednym ciągu:*

*...dobry budowniczy tęczowego pomostu między światami...*

*Wiem, że nie muszę tego robić. To jest właśnie fajne: że nie muszę, tylko chcę... Ten podobny do mnie Gość, który jak na szpulce ściągnął mnie do tego, co nazywam MTJ-em, ma niesłychanie wyraźne rysy twarzy i srebrne włosy, poza tym... brakuje mu trzech palców. Normalny, bardzo życzliwy człowiek… Właśnie się uśmiechnął. Widać, że niejedno już widział i przeszedł. To twardy facet, ale i wrażliwy..., bardzo się wczuł w moją rolę… Trochę mu smutno, poznaję to po wyrazie jego twarzy… Zastrzyk w głowę dała mi Kobieta, jakże Ciepła Istota… Mówi, żebym się nie rozczulał, tzn. dobrze by było, żebym się nie rozczulał…*

*Faza zanika. Wciąż do mnie mówią, a słowa wlatują w głąb mnie i wzmacniają się, jakby moje wnętrze było dla nich jakimś tunerem.*

*Mam otwarte usta, oczy zastygłe w bezruchu, jestem w jakimś transie... Następuje wzmocnienie, dopływ energii, kasowanie znaków zapytania, płukanie, wygląda to na proces leczenia, oczyszczania umysłu ze starych złogów...*

*Pytam tylko:*

*– A ci, których spotkałem na drodze, w kapturach?*

*Odpowiadają, że nie należą do Nas...*

*Znów płukanie, zastrzyk, tym razem w dłoń. Absolutnie bezbolesny. Ależ Energia! Aż mnie rozpiera. Czuję się lekki.*

*– Co to za lek? – pytam.*

*– Serum-antydepresant-wznośnika... – pada długa nazwa.*

Po powrocie do ciała przez kilka tygodni czuję się znakomicie, po prostu doskonale, jak młody bóg. Następnie rozpoczyna się okres jakiegoś bliżej nie określonego żalu do bogu ducha winnego MTJ-a. Wkręcam się w spiralę żalu, z której mi ciężko wyjść. Przypomina to wewnętrzny dialog.

„Co jeszcze zaobserwowałeś?", powtarzam sobie w myślach, przedrzeźniając MTJ-a, po czym także niewerbalnie odpowiadam szybko i złośliwie:

„Wielkie, na srebrnej tacy gówno! Masz, weź sobie! To zaobserwowałem! Zabieraj mnie stąd i spierdalamy! Jebana planeta!"

Wewnętrzny, niekończący się i prowadzący donikąd dialog wyczerpujący z sił... Znowu pojawiają się w głowie znaki zapytania...

Tak było. Przeklinałem MTJ–a, aż wstyd! W realu gdy tylko było mi źle, zaczynałem wysyłać prosto do nieba gówno na srebrnej tacy. Raz, drugi, trzeci aż stało się to nawykiem. I jak to z przyzwyczajeniem bywa, trudno mi było uwolnić się od niego. Później już nie chciałem tego robić, jednak samo mi wylatywało z umysłu. Moja wyobraźnia jak automat projektował gówno na tacy! Świadomie wysyłałem taki negatywny sygnał, że aż strach. Po latach na kolejnym spotkaniu z MTJ-em zostało mi to wypomniane. Nic w przyrodzie nie ginie..., gówno wróciło do mnie jak bumerang!

# 34
# Tropem tożsamości

Za głodem

Nie dam się z duszy wykastrować, przenigdy!
Choćby i umrzeć mi za to przyszło.
Głód tożsamości mnie niechaj prowadzi,
Podążę za nim do DOMU ścieżką.

*Budzę się w przydrożnym rowie z głową skierowaną w głąb wykopu. Nie dość, że okropnie chce mi się spać, to jeszcze ciężko się podnieść z tej dziwacznej pozycji. „Pewnie to znów robota złych... Ja już nie mogę!" Pojawia się jakiś mężczyzna w kapeluszu. Ma na sobie czarny płaszcz sięgający mu do stóp; jego kołnierz jest uniesiony – mało skuteczna próba zamazania identu. Nieznajomy podaje mi rękę i jednym stanowczym szarpnięciem wyciąga mnie z rowu. Potem wciska mi w łapę świecący przedmiot i odchodzi. „Co to jest?", zastanawiam się. Wygląda to jak lampa elektronowa ze starego telewizora. Od razu wnika w moją dłoń jak w masło i już po chwili czuję przypływ energii. Skupienie, krystaliczna trzeźwość umysłu. Rozglądam się gorączkowo za Wybawicielem. Jest! Właśnie wsiada do auta, takiego w stylu retro, chyba z lat czterdziestych ubiegłego wieku. Pędzę w stronę nieznajomego i wołam, by zaczekał, ale on nawet się nie odwraca. Zatrzaskuje drzwi i rusza. „Tylko nie to!"*

*– Błagam! Proszę o spotkanie! Nie odjeżdżać!*

*Auto zwalnia. Nie od razu, lecz po dobrej chwili, po czym zawraca. Objeżdża mnie kilka razy dookoła, jakby ktoś w środku chciał sprawdzić, czy się nie rozmyślę.*

*– Chce się spotkać! Zatrzymać się!*

*Samochód zatrzymuje się. Podchodzę do niego. W lśniącym czarnym lakierem aucie na tylnym siedzeniu siedzi On – mój Wybawiciel.*

*Kapelusz zdjęty, kołnierz opuszczony. Rozpoznaję jego ident. To przecież ten sam Gość, który kiedyś był w lesie w tym sześcianie wyciętym z faktury. To przedstawiciel MTJ-a! Nie zaprasza mnie, ale też nie zabrania mi wejść do środka, więc chwytam za klamkę i otwieram drzwi. „Ależ realna symulacja! Nawet klamka jest pochromowana i chłodna w dotyku”.*

*Wpycham się do środka i najnormalniej w świecie, jak w fizycznym, zatrzaskuję drzwi. Za kierownicą siedzi młody chłopak w słomkowym kapeluszu. Jego rysy twarzy są tylko nieznacznie podobne do moich. „Ciekawe co to za część mnie?” Na tylnej kanapie On – Wybawiciel. Milczymy. Nikt się nie odzywa, słychać tylko cichy warkot pracującego silnika. „No co za realizm!” Kokpit, tapicerka, szyby – wszystko wygląda jak prawdziwe, i jeszcze ten pomruk motoru... Auto rusza. Pojawia mi się w głowie głupia myśl o zapięciu pasów. Kierowca odwraca głowę i werbalnie z lekko wyczuwalną nutą agresji mówi:*

*– To Ty na srebrnej tacy wysyłałeś Ojcu Naszemu gówno? – i świdruje mnie wzrokiem, używając mojej techniki infiltracji…*

*Nie mogę oderwać od niego oczu… Z trudem zbieram myśli.*

*– A to ty masz ciało fizyczne, czy ja mam? Żyjesz tam na dole? Wiesz jaki to syf?! Nie oceniaj… – odpowiadam.*

*Mężczyzna na tylnym siedzeniu daje znak, abyśmy zachowali spokój. Znów milczymy. Rozglądam się, patrzę na to, co jest za oknem. Jedziemy zwyczajną szosą, podrzędną drogą z dziurami w jezdni. Tu, o dziwo, koleiny mi nie przeszkadzają. Powodują, że sceneria staje się jeszcze bardziej rzeczywista. Czuję nawet wstrząsy. Okolica jest piękna... Mijamy cudaczne wiejskie chaty, lasy… Odrywam wzrok od krajobrazu za oknem, nie patrzę dłużej, by się za bardzo nie rozproszyć. Muszę o coś spytać. Zbieram się w sobie. „Najwyżej mnie ochrzani...”. Powolnym ruchem odwracam się do tyłu. Spoglądając na Ojca, jak się przed chwilą dowiedziałem, uważnie dobieram słowa:*

*– Czy ty jesteś Twórcą Ziemskiego Systemu Życia? – pytam.*

*Starszy Jegomość przez chwilę patrzy mi w oczy, następnie spogląda w dal przez szybę, po czym spokojnie komunikuje słowami:*

*– Sam się wszystkiego dowiesz…*

*Mężczyzna pod sześćdziesiątkę z siwymi włosami i tak samo siwym kilkudniowym zarostem jest trochę podobny do mnie (jeśli ma to jakieś znaczenie). Ma mocno zarysowane kości policzkowe, na czole głębokie poziome zmarszczki, twarz zmęczoną czasem i ciężką pracą. Jego oczy skrywają jakąś tajemnicę, nie wyrażają emocji, może tylko łagodny smutek i zmartwienie, jakby przykryć nim chciał ogromną odpowiedzialność… Tracę przytomność…*

*Znajduję się wewnątrz siebie. Wyraźnie czuję, że jestem na częstotliwości fazy dośrodkowej, czyli mojego wnętrza. Przypominam sobie, że bywałem tu w snach. Podobnie jak teraz, jednak z tą różnicą, że w tej chwili jestem tego całkowicie świadomy, nie śpię. Nie wiem, jak tu się dostałem. Przeniosłem się bez ruchu, bez odczuwalnego wchodzenia, czy przechodzenia z jednej fazy na inną. Straciłem na moment przytomność i oto jestem, jak mi się wydaje gdzieś w okolicy serca. Mam przezroczyste ciało. W promieniu kilkunastu metrów ode mnie rozciąga się gruba, nieprzenikliwa powłoka. Nie jestem w Unifikacyjnej Kuli – to nie ta częstotliwość. Nie jest to również faza wewnętrznego miniświata, choć trochę podobna. Szersza od niej, nie taka ciasna. To miejsce jest bardzo specyficzne, jedyne w swoim rodzaju. Ciepło tu, swojsko, bezpiecznie. Coś jak przenośny dom, dawno nie odwiedzany pokój z dzieciństwa. Mimo że jego wystrój nie przypomina niczego, co znam ze świata fizycznego, dobrze się tu czuję…*

*Pamiętam, co było przed chwilą, gdy jechałem autem z Ojcem-M-TJ-em, i jak wcześniej otrzymałem od niego lampę energii. Wraca także wypomnienie o gównie na tacy…*

*– O! Już lepiej. Wyraźniejszy się zrobiłeś – pojawia się o połowę niższa ode mnie istota bez twarzy.*

*Patrzę się na nią i czekam, aż uformuje rysy twarzy.*

*– Nie mam twarzy – mówi. – To nie zamazywanie identu. Jestem od komunikacji i zarządzania. Przywiodła Cię tu ciekawość „kim jesteś…”.*

*„No w końcu ktoś, z kim można sobie konkretnie pogadać! Ależ cudacznie wygląda bez twarzy, jak płaski ekran. Kończyny też ma mocno fikuśne, bardziej przypominają korzenie niż nogi. Stuprocentowy kosmi-*

*ta! I to nie humanoidalny!" Z tyłu za nim widzę w oddali coś, co przypomina kokpit sterowniczy: guziki, wajchy, pokrętła…*

*– Odczytuję z ciebie, że nie jesteś człowiekiem…– mówię.*

*– Nie jestem. Ale to ci chyba nie przeszkadza, prawda?*

*– Absolutnie! Bardzo dobrze mi się z tobą gada. Jesteś otwarty, nie tak jaki inni, którzy skrywają nawet imiona…*

*– Ska(l)-Ner.*

*– Powtórz dla pewności.*

*– Mam na imię Ska(l)-Ner.*

*– W środku twojego imienia jest cisza... Pisane z „l" czy bez tej litery?*

*– Ska(l)-Ner.*

*– Postaram się zapamiętać, choć dalej środka nie słyszę. Możesz mi powiedzieć kim jestem?*

*– Tak. Jesteś Re-Miksem…*

*– Głośniej! Czyim jestem miksem?*

*– Jesteś powtórką kopii… Chodź, to ci pokażę…*

*Widzę tego samego mężczyznę co w lesie i w aucie, istotę nazwaną umownie Przedstawicielem MTJ-a, tego którego kierowca w słomkowym kapeluszu nazwał Ojcem. Widzę, co robi. To Jego codzienne zajęcie. Mocno szokujący a zarazem piękny widok: rozświetlona od środka, jakby połknęła ultramocną jarzeniówkę postać, mając do dyspozycji grupkę osób bawi się w doktora Frankensteina! „Szok!" Działa jak chirurg, pewnie i zdecydowanie. Widać, że to dla niego nie pierwszyzna. Od jednego weźmie nogi, od innego ręce, tułów i głowę(,) od kogoś tam jeszcze coś. „Nie! To nie ludzie, to ciała! Uff… całe szczęście!" Skleja je razem, robiąc jedno z kilku. Normalnie przytyka część do części, a te samoistnie wtapiają się w siebie. Teraz kładzie ciało na czymś w rodzaju okrągłego blatu. Wbija w stopy i dłonie wielkie igły. Wprowadza je głęboko, po same łokcie i kolana. Widzę, jak wpompowuje w nie świetlistą energię – bezpośrednio z siebie…*

*– To jest dobre? Ciekawe, co by na to powiedział JEZUS?*

*– Nie możesz oceniać w takich kategoriach.*

*Chwilowa utrata świadomości…*

*Leżę na wznak. Czuję gigantyczne igły wbite po łokcie i kolana. Przede mną stoi rozświetlona od środka postać MTJ-Ojca. Nic mnie nie boli, wręcz przeciwnie, czuję się wspaniale, odświeżony i lekki…*

*Znów jestem przy Ska(l)-Nerze, wszystko obserwuję z wcześniejszej perspektywy.*

*– Czyli Ojciec, to taki fachowiec od ciał, ich regeneracji, od przeprowadzenia zabiegów? Nie do końca rozumiem...*

*– To technologia Brafil.*

*– Jak?*

*– Brafil.*

*– To się nie mieści w głowie! Wszystko brzmi jak bajka. Przydałby się kontakt z Wami, ale w ciele, no wiesz, jak jestem tam, w świecie fizycznym, mam za dużo do zapamiętania na raz. Boję się, że coś przekręcę lub mi uleci z głowy. Fajne te kosmiczne nazwy. Warte odnotowania…*

Powoli wycofuję się do ciała. Robię to ostrożnie, zostawiając część skupienia przy Ska(l)-Nerze. Nie tracę całkowicie połączenia z nim. Obraz Łącznościowca pozostaje mocno zarysowany w mojej pamięci...

Nie otwierając powiek, macam ręką obok siebie, szukając dyktafonu. Jak automat, by zbytnio się nie pobudzić nowymi odkryciami, rzucam do mikrofonu tylko krótkie skojarzenia i hasła: „Skalner albo Skaner – beztwarzowiec”, „Brafil – technologia”, „jestem Re-Miksem”... Odkładam dyktafon i całym sobą wzmacniam pamięć bycia przy Łącznościowcu... Już po chwili znów jestem przy nim. Udało się! To niezmierna rzadkość w astralnych wojażach: wrócić w to samo miejsce, zachowując ciągłość zdarzeń.

*– Jaki Re-Miks?*

*– Jesteś Re-Miksem Neon…(cisza)… i Sto-Krotki.*

*– Drugie łatwe. Znana nazwa kwiatka, ale pierwsze stanowczo za cicho. Tylko nie mów, że specjalnie.*

*– Nie specjalnie.*

*– No to krzycz! Raz za razem, aż załapię.*

*I za trzecim czy czwartym powtórzeniem, dorzucając skojarzenia ze spotkań ze świetlistym Ojcem, wyłapuję wreszcie kosmiczne imię swojego Twórcy:*

*„Neon-Eon, Neon-Eon, Neon-Eon”…*

*– No..., faktycznie pasuje. Gość wygląda, jakby połknął żarówkę.*

*– Skrót i odpowiednik, nie pełne imię.*

*– Super się nazywa! Neon od światła i Eon od wieczności. Czyli wieczne światło. Pięknie! A Sto-Krotka?*

*– Esencja, zrozumiały synonim imienia.*

*– No pewnie, że od powielania i „krotności”, a jej buzia okrągła jak słoneczko. Widziałem ją! To ona! Brałem ją za opiekunkę, bo faktycznie tak jest. W życiu bym się nie spodziewał, że to Astralna Matka, że w ogóle istnieje coś takiego jak duchowi rodzice. Wracam. Te informacje są zbyt cenne, by ryzykować ich zapomnienie… Dziękuję ci Ska... Ciekawe co zawiera twoje imię... pochodzi od „skały”, czy „skanu”? Do następnego razu!*

Nagrywam, odbijam się i ponownie nurkuję do poza. Tym razem jest gorzej. Ident Ska(l)-Ner się urwał. Szybko skupiam uwagę na wnętrzu, na okolicy serca, bo to tam doszło do spotkania. Może się uda...

*Jestem, ale już w innym miejscu: faza dośrodkowa, jednak lokacja inna. Nie ma Ska(l)-Nera. Za to z tyłu czuję Neon-Eona. Coś majstruje przy moim kręgosłupie. Wyraźnie czuję, jak z kości krzyżowej wyciąga rotę w postaci grubej księgi. Bierze ją i znika w ciemności. Lecę za nim. Pojawiają się drzwi, otwieram je. Widzę coś jakby osiedle gęsto zabudowane blokami. Dom przy domu… „Nie! To gigantyczne regały z książkami! Ja pierniczę! Biblioteka! Przeogromna jak osiedle!” W pierwszej chwili mój umysł błędnie to zinterpretował, bo dotąd nie spotkał się z biblioteką o tak monstrualnych rozmiarach… To magazyn książek-rot. Nie sądzę, by mieściły się w nim wyłącznie moje doświadczenia, za dużo tu tego…*

*Podpływam do regałów. Nagle czuję trudne do opanowania zmęczenie. Morzy mnie sen, jakbym nie przespał kilku nocy. Gwałtownie tracę przytomność niczym po podaniu narkozy…*

*Ponownie jestem przed drzwiami, ale teraz są one nieznacznie zmienione. Otwieram je. Widzę skrytą w jasnej mgle grupkę ludzi. Domyślam się, kim są, lecz dla pewności wolę spytać. Nie od razu, dopiero po drugim, czy trzecim silnym wyrażeniu myśli jedna z postaci występuje z szeregu i beznamiętnie informuje:*

*– Jesteśmy twoimi epitetami.*

*– Ale fajne określenie. Łatwe. Zapamiętam.*

*– Przewiózłbyś chorowitka?*

*– Że co?*

*I występuje z szeregu chwiejąca się postać chorego mnie ze śladami po stawianych bańkach… „Jasny gwint! A więc tak to działa! W ciele czuję się przeziębiony, co nie oznacza, że chcę chorować, jednak przyciąga to epitet mnie, który już tego doświadczył. Wchodzi ze mną do ciała fizycznego i jako dopełnienie mojego Ja razem doświadczamy choroby…”.*

*Kolejne drzwi. Tracę część świadomości, wyraźna pozostaje tylko pamięć przeżycia. Kontrolę nad przebiegiem doświadczenia przejmuje ktoś inny, ja mogę tylko obserwować…*

*Znajduję się w chaotycznej grupie „epitetów”. Przed nami pojawia się zwalista, świecąca postać Neon-Eona. Nie dotykając nas, tylko przyjmując postawę jak dowódca, wydaje mentalne komendy, a my przemieszczamy się pod dyktando wodza, jakby kierowała nami niewidzialna siła. Wódz robi przeszeregowania, roszady, zamienia nasze pozycje. Ustawia równiutko jak pod linijkę. Formuje kolejki i rzędy jak na wielkiej paradzie wojska. Wreszcie stajemy w zwartych szeregach. Chaos opanowany…*

*Cóż za porządek! Szeregi to określone cechy osobowości. Od stojącej w środku postaci w lewo i prawo co „epitet” następuje ich łagodne wzmocnienie, stopniowo przechodząc w skrajność. Natomiast kolejny rząd to nowa cecha, ale o stopień inna – jest podobna do tej z przodu i jednocześnie zawiera w sobie coś z tej z tyłu…*

*W pierwszym rzędzie (tuż przed Ojcem) po lewej stronie stoją nieśmiali, zaś po prawej śmiali. Im bardziej od środka na boki w obu kierunkach, tym cechy ulegają wzmocnieniu: na skraju lewej strony sto-*

*ją bardzo nieśmiali i wstydliwi, zaś na końcu po prawej bardzo śmiali i zuchwali. Pierwszy szereg to linia śmiało-nieśmiałych; drugi – cecha bardzo podobna do pierwszej, zazębiona o nią – to tchórzliwi i odważni. Tu jest analogicznie: na lewo ustawieni są tchórze, na prawo odważni, i podobnie – im bliżej skraju lewej i prawej, tchórze stają się strasznymi tchórzami, zaś odważni zuchwałymi gburami. Każdy kraniec obu stron to mocne odchylenie od normy.*

*Trzeci rząd i kolejna cecha: po zachowaniu stwierdzam, że to rząd nieoperatywnych i operatywnych. Za nimi jest tak samo, to kolejna cecha mnie…– są identycznie posegregowani. „Co za porządek!" Zerkam w tył i widzę biegnące w nieskończoność rzędy istot, mnie-epitetów...*

*Stoję w czwartym rzędzie. Nie wiem jaka to cecha, chyba nie chcę wiedzieć, najważniejsze, że stoję w samym środku vis a vis Ojca-Segregatora, czyli w idealnej normie. „Zaraz, zaraz... Ten przede mną ma moją twarz! Ten za mną również!" Napływa pełna świadomość. Patrzę Neon-Eonowi prosto w oczy i bez słów kieruję do niego komunikat:*

*„Zarejestrowałem. Jak się obudzę, będę pamiętał. Wszystko widziałem. Co to było, to szeregowanie?"*

*„Normalizacja i wyrównywanie".*

*„To wszystko, to jestem ja?"*

*„Między innymi ty…"*

*Neon-Eon uśmiecha się i mentalnym gestem wycofuje mnie do ciała…*

# 35
# Normalny JEZUS

Ciche objawienie

Bez słów – gestem jedynie,
A jakże wymownie, jakże prawdziwie,
Pssst, całus, uniesiona prawica,
Wnętrze już tańczy – poznało Tajemnicę.

Kolejne wyprawy do wnętrza siebie przynosiły więcej pytań niż odpowiedzi. Co rusz odkrywałem coś nowego i wstrząsającego – niusa, po którym pojawiały się nowe znaki zapytania, a przez to wzmagała się moja ciekawość i jeszcze bardziej się zapalałem. Być może ze mną jest coś nie tak? Może za dużo pragnę, jestem zbyt łasy na wiedzę? Sam już nie wiem... A może umysł tego nie pojmuje? Wydaje mi się, że po prostu wciąż wiem za mało. Jest tyle białych plam na mapie. Denerwuje mnie to. Tak bardzo chciałbym już mieć to wszystko elegancko opanowane.

Spora część elementów niekończącej się układanki jest już (w miarę) na swoich miejscach. Jednak wiele zebranych przeze mnie doświadczeń nadal czeka, by dokleić do nich inne i dopiero potem jako jeden zwarty fragment wstawić w puste miejsce na wciąż dziurawej mapie...

Co zrobić, by przyspieszyć zapełnianie luk? Ano fazować – jeszcze lepiej, jeszcze częściej, sięgać dalej i głębiej, eksplorując poza. To wszystko ładnie wygląda w teorii, jednak w praktyce nie okazuje się takie proste. Niekiedy po owocnych maratonach przychodzą dni posuchy. Człowiek wychodzi z ciała i nic się nie dzieje, jakby ktoś zamknął przed nim drzwi. Nie lubię takich chwil, bo wtedy momentalnie łapię doła. Moja mapa wciąż ma białe plamy, jest_rozgrzebana, a ja wychodzę i... figę z makiem się dowiaduję. No szlag może trafić! Albo jeszcze lepiej: poznam coś nowego, co tylko narobi mi smaku na więcej,

potem odłożę temat na bok, bo do niczego nie będzie pasował, za to natrętna myśl o tym będzie mi wierciła dziurę w czaszce. Zgroza! Jak się tego pozbyć?

Postanowiłem, że na kolejne spotkanie z MTJ-tem solidnie się przygotuję. Przestałem marudzić, wziąłem się w garść i wklepałem do głowy jedno konkretne pytanie. Jeśli uzyskam na nie odpowiedź, reszta pójdzie jak z płatka. Rysowanie mapy to będzie betka.

Może się wydawać, że zadanie pytania jest banalnie łatwe. Ale w astralu nie ma tak, że człowiek wszystko sobie dokładnie zaplanuje, a wydarzenia będą się układać po jego myśli. Już tu w realu o to ciężko, a co dopiero w poza, gdzie obowiązują inne prawa. Znakomita większość wyjść przypomina ruletkę. Co prawda teraz mam mniejszy problem z trafieniem na ident osoby lub miejsca niż dawniej, jednak kontrolowanie całego przebiegu akcji, trzymanie się wyznaczonego toku postępowania czasami mnie przerasta. Nie wiem, czy w ogóle tak się da. Dajmy na to: zaplanuję sobie trzy pytania, a w czasie spotkania w ogóle ich nie zadam, bo nagle stwierdzę, że są zbyt banalne i nie pasują do sytuacji. Nie będę wyskakiwał jak Filip z konopi z prośbą o szóstkę w totka, gdy stoi przede mną Świetlista Istota i... No właśnie to „i”... Stan świadomości nagle ulega zmianie i wszystkie wkodowane pytania ulatniają się jak po resecie. Po prostu zapominam języka w gębie.

Tym razem się zawziąłem. Postanowiłem, że zakoduję sobie jedno konkretne pytanie i choćby nie wiem co, zadam je. Tylko jakie? Najlepiej takie, które zawiera inne lub takie, na które odpowiedź porządnie zaspokoi mój głód wiedzy i przyczyni się do szybszego sporządzenia mapy. Po długim filozofowaniu i męczeniu lewej półkuli mózgu wreszcie znalazłem to jedno jedyne pytanie. Od niego jak po łańcuszku odchodziła reszta pytań. Brzmiało ono: „Co zrobić, by jeszcze lepiej fazować?”

„O to ich zapytam!”, pomyślałem. Ciągle mało mi fazy, mało wyjść, choć mam ich na liczniku grube tysiące. Chcę być jeszcze lepszy, wykuć takie przejście do astrala, żeby śmigać tam i z powrotem jak ten pershing. Albo jeszcze lepiej: na stałe wywalić dziurę między świata-

mi. Wówczas będę mógł do znudzenia zamęczać pytaniami Dobre Istoty. Ten chytry plan postanowiłem wprowadzić w życie jak najszybciej.

*Zamykam oczy i z jednym jedynym pytaniem w głowie zanurzam się w niefizycznym świecie. Już po krótkiej chwili mam przed sobą uchylone tekturowe opakowanie, a w nim białą kulę wielkości głowy owiniętą w cieniutką folię. Ktoś cicho komunikuje, że to nowe ciało świadomości służy do lepszego fazowania.*

*„Już? Tak szybko spełniają moją prośbę?" Jeszcze się nie odkleiłem od ciała fizycznego, leżę w bardzo płytkim obszarze przycielesnym dosłownie na samej granicy światów, a już coś się dzieje. „Super!" Mówią dalej, bardzo cicho sugerują podprogowo, że zaraz mi wszczepią tę kulę do głowy. Mogę zasnąć lub patrzeć co nastąpi. Wybieram czuwanie.*

*Natychmiast pojawia się duża rozświetlona ręka Neon-Eona. Wyciąga nowiutkie, jak się przed chwilą dowiedziałem, ciało świadomości i zamaszystym, zdecydowanym ruchem, niczym piłką do szczypiorniaka wali mi białą kulą prosto w twarz. W mojej głowie rozlega się trzask i na chwilę tracę przytomność…*

*Leżę rozłożony na fotelu zabiegowym. Światło mnie razi. Słyszę kobiecy głos; nieznajoma zwraca się do kogoś z tyłu. Wyłapuję fragmenty dialogu i co chwilę wtrącam swoje trzy grosze:*

*– Budzi się... – mówi kobieta.*

*– Ano się budzę i wszystko zapamiętam. Pozdrawiam serdecznie Dobrych.*

*– Widzisz, tu w głowie ma taki pyłek. Trzeba go częściej wypłukiwać – słyszę młodzieńczy, spokojny, wyrozumiały i pełen profesjonalizmu głos, delikatny, z niewielką domieszką smutku i nostalgii…*

*– Hej! JEZUS? To Ty?! – pytam zaskoczony. – Tylko Ty masz taki głos. Zgaście to światło! Pogadajmy chwilę! Proszę.*

*– Spójrz. Robi się to tak…*

*I czuję narastające ciśnienie w głowie. O mało mi oczy nie wyskoczą z czaszki. Napór przesuwa się w stronę prawego ucha i po chwili z małżowiny wylatuje ciepła ciecz. Sprawdzam ręką czy to krew – nie. To przezroczysty płyn. Biorę do ust, próbuję – jest lekko słony.*

*– Można też wkładać rurki w skronie i nimi płukać – instruuje dalej JEZUS.*

*– Słyszysz, Matka? To Ty? Znów się chowasz za plecami? Wiem, że to Ty. Znam już Twoje imię. Skaner, czy jak mu tam, mi powiedział, że jesteś Sto-Krotka.*

*– Gdy głowa zacznie puchnąć, koniecznie zadrutujcie czepcem, bo korzeń się odklei… – mówi JEZUS.*

*– Jaki czepiec? Jaki znów korzeń?*

*– Żadnych silnych emocji i dźwigania ciężkich rzeczy! – bezpośrednio i ostro poucza mnie JEZUS. – Bo wylądujesz tutaj, a na to jeszcze nie czas!*

*– Umrę?*

*– Pod prawym łokciem masz zainstalowany wyłącznik. Gdy tylko ogarnie cię fala niekontrolowanego wzburzenia, uciśnij meridian! Zapomnij o dźwiganiu ciężkich przedmiotów!*

*– To Ty, JEZU?*

*– A kto?!*

*– Mogę Cię zobaczyć? Potrzebuję tego. Proszę.*

*Próbuję wstać z fotela. Dotykam głowy. Wyczuwam sterczące z niej druty. „A więc to jest czepiec...”. Wplecione w czaszkę, ściśnięte supłem na czole i z tyłu głowy grube druty. Wzmocnienie, by głowa nie puchła, a ciało nie odrzuciło nowego przeszczepu – kulistego ciała świadomości.*

*Powoli, gotowy w każdej chwili usłyszeć od JEZUSA „Nie patrz na mnie”, podnoszę wzrok…*

*– Dziękuję Ci, JEZU! Tak jak wcześniej prosiłeś i tym razem nie powiem…*

*JEZUS odwraca się i kieruje do wyjścia. Gdy tylko robi krok, na moich oczach przyjmuje całkowicie inną postać. Zmniejsza swój rozmiar, zmienia się jego ubiór, długość i kolor włosów, zamazuje nawet płeć… „Ale czad! Co za kamuflaż!” Na koniec odwraca się jeszcze, przykłada palec do ust – pssst, śle całusa i pozdrawia unosząc prawą rękę. „Co za Gość!” I mówi, najnormalniej w świecie moim slangiem, z uśmiechem na twarzy:*

*– Tylko stul ryj! Nic nie opowiadaj!*

*– Nie powiem, obiecuję. Przychodź do mnie częściej. Nie odchodź, nie odchodź! Proszę, wszczep mi mikrofon do głowy.*

*– Mikrofon?*

*– Yyyy… Nie mikrofon, tylko głośniczek. Tak, abym mógł Cię słyszeć w ciele. Błagam wszczep! Ty wszystko możesz. Kocham Cię! Wiesz, że Cię kocham!*

*Widzę jak JEZUSA oblewa lekki rumieniec. Syn Boży się zawstydził. Jakie to piękne, jakie to normalne…*

*– Mówiłem Ci, że jestem normalnym człowiekiem, takim jak ty…*

Chciałem lepszej fazy, pragnąłem usłyszeć odpowiedź, co zrobić, by lepiej się dostrajać, a o ile więcej dostałem! Nowe ciało do wydajniejszego wychodzenia! No i spotkałem się z JEZUSEM! Ależ ja lubię widywać się z Nim! Czy JEZUS wszczepił mi głośniczek? Niestety nie. Może innym razem zaaplikuje mi boski implant. Bardzo chciałbym tego. To marzenie słyszeć Jego głos w głowie, jest taki piękny...

Dlaczego uparcie twierdzi, że jest zwykłym człowiekiem? Chyba tylko przez skromność. Rumieni się i nawet czasem przeklnie. Nie tak ostro jak szewc, ale czasem coś mu się wymsknie slangiem. Jak mnie to oczyszcza! To wcale nie oznacza, że będę bluzgał jeszcze bardziej. Nic z tych rzeczy. Już teraz staram się ograniczyć przeklinanie do minimum, ale nawet jak mi się wyrwie jakiś bluzg, nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Jestem tylko człowiekiem...

# 36
# PraOjciec JAHWE

Sonet dla JAHWE

Pośród płytkiej fazy w uśpionym ciele,
Myślami płynąc w ciszy ku Niebu,
Mierzeja umysłu nasłuchują odzewu,
Spragniona dusza pragnie niewiele.

Ojca jedno słowo rozjaśni intelekt,
Niesione obłokami anielskiego śpiewu,
Niczym brzask poranny wołający przebudź,
Miłością scala eony wcieleń.

Mów do mnie, Boże, czekam stęskniony,
Świetlisty Mędrcze PraOjcze Ojców,
Złotym kosturem uchyl zasłony,
Ukarz co skryte w wiekuistym wzorcu.

Jeden Jedyny BÓG Wiekuisty,
Skrótami prowadź gwiezdnych wędrowców.

Moje stęki i jęki za wolnością, tożsamością, miłością i Bóg wie czym jeszcze skończyły się w chwili, kiedy spotkałem Jego. Sam przyszedł do mnie – nie ja do Niego, tylko On do mnie. Właśnie z powodu mojego ciągłego narzekania, że jest mi źle. Przyszedł jak Dobry Ojciec do nieustannie mazgającego się dziecka. Trochę mi wstyd, że do spotkania musiało dojść właśnie w takich okolicznościach. Było to pierwsze świadome spotkanie twarzą w twarz z Nim...

*Jestem u siebie w pracy. Za blatem, od strony klienta, pojawia się Postać. Jest bardzo podobna do kamuflażu JEZUSA. Ma też coś ze spojrzenia Neon-Eona i Świętego Ducha. Głębokie, rozumiejące wszystko oczy, skrywające jakąś tajemnicę. Przybysz nic nie mówi, tylko patrzy*

*na mnie i spokojnie czeka. Gdy tylko nasze spojrzenia się spotykają, doznaję olśnienia! Wiem, że to On! Trochę się boję, ale jest to dobry lęk. Wyrażam nim olbrzymi respekt.*

*Zaczyna szeptać. Nie porusza ustami, ale słyszę w głowie Jego cichy głos. Powoli, pewnie dlatego, abym nie doznał szoku, zaczyna mówić głośniej. Po chwili natężenie dźwięku przyjmuje normalny poziom. Wsłuchuję się. „Cóż to takiego? Ależ to Jego imię! Istota się przedstawia!" Przez głowę przepływa mi ciąg połączonych melodyjnych imion, brzmią jak pieśń, jakby wszystkie były jednym długim imieniem. Słowa się nie powtarzają, każda nazwa jest inna. Piękne, kosmiczne imiona. Jedno dłuższe, inne krótsze, idealnie do siebie pasujące jak rymowany wiersz…*

*Przybysz mówi i mówi, wciąż się przedstawia. Nie wiem, jak długo już tu jestem, chyba wieczność. Istota gwałtownie przyspiesza, teraz wyrzuca z siebie słowa sto razy szybciej, jakby podkręciła prędkość potencjometrem. Poszczególne imiona zlewają się w jeden Dźwięk, Jeden Boski Ton… Słucham Go jak w transie… „Cóż za Wibracje!"*

*Istota daje mi do zrozumienia, że nie jestem w stanie odebrać wszystkich Jego imion, bo jest ich nieskończenie wiele i jeśli nawet przyspieszy, to i tak zabraknie czasu…*

*Nie przerywając emisji Dźwięku swoich imion mentalnie komunikuje mi, że za chwilę usłyszę fragment Jego imienia, które znam i padnie ono po to, abym uwierzył, że to jest On… Dźwięk zwalnia. Znów wyraźnie słyszę poszczególne imiona. Nagle pada swojsko brzmiące słowo:*

*...JAHWE…*

*Natychmiast podbiegam do Nieznajomego. Nie czekając na pozwolenie, jak stęsknione dziecko chwytam JAHWE za dłonie i je całuję. Wyrywa je – daje znać, żebym tego nie robił. Jego ręce sprawiają wrażenie przesadnie wielgachnych, ale tylko wtedy, gdy się je dotyka, bo w rzeczywistości wyglądają normalnie: oprócz białych paznokci niczym się nie różnią od ludzkich. Są smukłe, delikatne, artyści takie mają... Jednak w dotyku są jak dwa ciepłe bochenki chleba…*

*...podaj kable Synu...*

*Nie do końca wiem, o co chodzi..., ale widząc, że z kości krzyżowej wystaje mi coś w rodzaju przewodu, posłusznie wyciągam go i podaję JAHWE… Przed PraOjcem pojawia się ekran. Jest ustawiony tak, abym nie mógł zobaczyć, co na nim jest. Nie dlatego, by coś ukryć przede mną, lecz abym się nie krępował… Widzę w oczach JAHWE, że przegląda ostatnie miesiące mojego życia… W głowie pojawia mi się głupia myśl, czy przypadkiem nie robiłem czegoś idiotycznego... „Oby nie!” Leci po kolei, nie omijając nawet jednej sceny, ogląda pełny zapis. Trwa to dobrych parę sekund, po czy zwyczajnie komunikuje:*

*...Dlaczego marudzisz? Masz bardzo dobre życie. Inni mają o wiele gorzej...*

*I przegląda dalej, sięga wstecz do kolejnych miesięcy, jakby szukał przyczyny...*

*...Powielasz schematy. Doskwiera ci nuda...*

To było pierwsze spotkanie z Główną Siłą Sprawczą – PraOjcem JAHWE. Już mnie przestało cokolwiek zaskakiwać w podniebnych wojażach. Zaszczyt mnie kopnął, nie powiem... No..., co mam ukrywać?! Cieszę się i to zajebiście, bo inaczej tego nie wyrażę, tylko właśnie tak – zajebiście – że w końcu mi się udało! Spodziewałem się czegoś innego... Ale dobre i to! Czy ktoś mi uwierzy, że się spotkałem z samym BOGIEM? A co mnie to obchodzi! To już jest problem tych, dla których wizerunek BOGA jest zbyt wyimaginowany. Ja jestem tym, który ma zdjąć fałszywy image Jego, bo czas ku temu. Kto zechce, sam może się z Nim spotkać. PraOjciec nie istnieje wyłącznie dla mnie. Kto właściwie jak nie my, ludzie, przez setki pokoleń ubraliśmy Naszego Ojca w szaty postaci niedostępnej? A to przecież najnormalniejsza w świecie istota, jakże dobra i wyrozumiała.

Słuchaj dalszej opowieści i niech ci się włos nie jeży na głowie...

Domyśliłem się, gdzie jest stała faza JAHWE, bo czułem, że Świetliste Białe Słońce na dalekim fokusie to właśnie On. Spotykałem je

wiele razy, co prawda na ułamek sekundy, bo mi szybko znikało z oczu. Nie uciekało..., nic z tych rzeczy, po prosu rozstrajała mi się faza. Tak więc, domyślając się wcześniej, a teraz już wiedząc, gdzie jest stała faza JAHWE, postanowiłem tam wyruszyć i GO odwiedzić.

*Po piątym czy szóstym odbiciu, przeniesieniu się z ciała do poza i z poza do ciała, po rozepchnięciu swoją energią otaczającego mnie planu, wdarłem się z fazą na obszar…, jak by go tu nazwać…: mocnego nasłonecznienia i ciepła. Na pierwszy rzut oka niewiele różni się on od zwykłego planu Parku, czy niższych fokusów, poza tym, że jest w nim mnóstwo światła, na niebie nie ma ani jednej chmurki, a w zenicie przygrzewa jak słońce właśnie On.*

*Wygląda jak każda Wyższa Istota, czyli przypomina kulę białego światła, coś jak nasze słońce, tylko że tamto świeci o niebo jaśniej i dodatkowo emituje potężną falę ciepła. Normalnie odczuwa się tam żar na niefizycznych plecach.*

*– JAHWE! JAHWE, wiem, że to Ty! Daj znać, jeśli mnie słyszysz!.*

*Wyciągam ręce w stronę Kuli, a tu nagle jak mnie nie strzeli piorun w obie dłonie! Przeszywające uczucie porażenia elektrycznego po same łokcie! Co prawda nie boli, ale nie jest przyjemne. Próbuję rozmasować mięśnie rąk, zginam je i prostuję.*

*– JAHWE! PraOjcze, coś Ty zrobił! Teraz będę miał uraz. Będę się Ciebie bał, tak mi zostanie, zablokuje mnie…*

*Oglądam uważnie dłonie. Walnął w sam ich środek, w miejsce, gdzie chłonie się roty. Ale nie mam żadnej wizji. Po co to zrobił? Smutny wracam do ciała…*

*Czuję wielką gorącą dłoń spoczywającą na prawym ramieniu… Zerkam… Tak, to On! Jak dobrze, że się pojawiłeś…*

*„To moja wizytówka. Forma przedstawienia się. Nie mów, że cię bolało...”.*

*Odpowiada mentalnie. Co trzecie, czwarte słowo wypowiada na głos, tak abym nie miał wątpliwości, że odpowiedź płynie od Niego. Jakby przejrzał moją nieufność...*

*– Przepraszam za brak zaufania, ale wolę się upewnić, że mówisz to Ty, a nie, że Twój głos słyszę we własnych myślach. Nie bolało, ale się wystraszyłem, że się gniewasz za to, bo Cię przywołuję, wymawiając Twoje imię. Przecież w Biblii jest napisane, by nie przywoływać BOGA nadaremnie, ale to nie jest nadaremnie. Ja naprawdę Cię potrzebuję. Dobrze, że przyszedłeś, bo mógłbym się zablokować. Bardzo pragnę spotkań z Tobą… Tyle miałem pytań i znów zapomniałem…*

*– Pozwól, że ci pomogę…*

*I wyciąga zza moich pleców mój dziennik. Całkiem fizyczny. Nie wiem, jak On to zrobił, ale jest to mój, w stu procentach materialny, notatnik ważnych zapisków. JAHWE przewraca kartki, abym mógł się przekonać, że zeszyt rzeczywiście należy do mnie, po czym odnajduje stronę, gdzie ćwiczyłem się w notowaniu pytań do BOGA. Pokreślone zapiski, jedno pytanie ważniejsze od drugiego. Zacznę po kolei. W sumie już to było, ale wolę się upewnić, to jest najważniejsze pytanie: sprawdzić tożsamość:*

*– Czy ty jesteś Twórcą Ziemskiego Systemu Życia, zarówno fizycznego, jak i tego gdzie teraz jesteśmy…?*

*Przerywa i głośno, że głuchy by usłyszał, werbalnie, z akcentem dobrego władcy, odpowiada:*

*– Tak. Ja nim jestem!*

*– Czy ty stworzyłeś mnie?*

*– Przyczyniłem się.*

*– Czy ty jesteś Ojcem JEZUSA?*

*– Tak.*

*– Czy Gigant On/Ona to Ty?*

*– Tak.*

*– Czy białe słońce w Galilejszuk i na wyższych fazach to Ty?*

*– Tak. Ile jeszcze potrzebujesz „tak”, by uwierzyć?*

*– To wszystko przez skażenie na dole. Strasznie mnie wypaczyło. Czyli to Ty jesteś ten z ostatniego kadru filmu pokazywanego mi lata temu jako odległa przyszłość – stojąca za plecami postać siwego druida z kreskówki „Był sobie człowiek”, starzec ze złotym kosturem otwie-*

*rający niebo, głos narratora w nowych lokacjach…*

*– Tak. To ja jestem.*

*– Myślałem, że będę miał kontakt z Tobą w fizycznym ciele. Nie ukrywam, że tak wolałbym. Ciężko się tu wyfazować. Ale teraz masz jeszcze inną postać…*

*– Przecież wiesz, jak to działa. Spójrz na siebie, jak cię ubrało.*

*– Trafna uwaga. Gadamy jak równy z równym i już się Ciebie nie boję.*

*– Bałeś się?*

*– Trochę. Czy mogę się do Ciebie przytulić?*

*Jeszcze nie kończę i już jesteśmy w ramionach, ściskając się na niedźwiedzia. „Ale czad! Ściskam się z BOGIEM OJCEM jak z normalnym człowiekiem! Przecież nikt mi w to nie uwierzy…”.*

*– Ale masz gorącą skórę! No nie mogę! Znów Ci zmieniło twarz! Skoro nie zabraniasz, to, jak wrócę, napiszę, że z bliska wyglądałeś jak…*

*– Jak kto? – pyta wyraźnie zaciekawiony.*

*– Najbardziej pasujące określenie to ,,jasny z rozgrzaną skórą”... Materna...*

*– Kto?*

*– Materna. Taki satyryk, występował kiedyś z Mannem. Widać został mi w głowie jako wzbudzający zaufanie i autorytet... No i jego bym się na pewno nie przestraszył... Czy mogę zapytać, czym się dokładnie zajmujesz?*

*– Tworzeniem życia. W tym układzie rozpoczęliśmy od Wenus... A moja specjalność to objawienia…*

*– O nie! Znów mnie bierze!*

*– Co się dzieje?*

*– Zbiera mi się na płacz. Nie wiem dlaczego. Ciężko mi to wszystko znieść... Na Wenus już nie ma życia...*

*– Chodź, to zobaczysz. Wszystko zostało nagrane. Jest na wizjerach Neon-Eona...*

*Pojawia się ekran. Natychmiast go wyłączam. Zaczynam krzyczeć. Ekran pęka w drobny mak…*

*– Wybacz, ale nie mogę, nie potrafię – wybucham płaczem. – Nie bawicie się nami, prawda? Wcześniej Wenus, teraz Ziemia... Czy u nas też dojdzie do recyklingu?*

*JAHWE nachyla się nade mną. W głowie słyszę przepiękną melodię. Pieśń o miłości BOGA do człowieka, o równości, o tym co jest dobre... Obejmuje moją głowę czule jak Ojciec... Zasypiam, tracąc świadomość...*

*Jesteśmy w ciemności. Mam tylko część świadomości. Będzie sukcesywnie napływać z kulminacją na końcu. W innym wypadku nie przyswoiłbym sobie treści, znów mogłaby się okazać zbyt ciężkostrawna...*

*Jestem ja jako JAHWE i JAHWE jako ja. Jesteśmy jednym. Pamiętam, że chciałem zobaczyć, czym się zajmuje PraOjciec, więc teraz będę miał możliwość wglądu z Jego perspektywy...*

*Wszystko już zostało stworzone. Niczego jednak nie widać, bo jest skryte w ciemności. W otaczającej czerni wyczuwam wibracje życia, jest tego przeogromna ilość. Ciemność tętni przed chwilą stworzonym, ale jeszcze nie odkrytym życiem.*

*Skupiam się na jednym miejscu i wysyłam tam światło. Ciemny obszar zostaje oświetlony jak latarką i widzę dokładnie, co to za rejon – jedna z wielu planet w niekończącym się wszechświecie. Jej poziom rozwoju jest niski. Mnóstwo na niej czerwonej, zwierzęcej energii. By stała się bielsza, muszę zejść na nią. Wysyłam część siebie na dół. Już po chwili na planecie ląduje sonda mnie. Widzę siebie z orbity. Mój awatar przyjął postać dzikich tubylców. Wygląda identycznie jak oni. Wmieszał się w tłum. Tracę go z oczu. By wyłapać go z otoczenia, odnowić więź, podnoszę gwałtownie ramię. Mija sekunda i z tłumu postaci na dole jedna wykonuje ten sam gest. Mam go! To jestem ja! Teraz mogę nim swobodnie sterować. Mija pół sekundy i ciało awatara leży martwe. Zabili go. Nie pasował do otoczenia… Ściągam go do siebie i powtarzam procedurę…*

*Moje zadanie to podnieść wibracje planety, z czerwonej zrobić białą. Wiem, że będzie to wymagało wielu lat ewolucji, ale taka jest moja misja. Gdy to zrobię, przejdę na kolejną planetę i powtórzę procedurę. Pragnę rozświetlić wszechświat glob po globie, tak by nie było czar-*

*nych plam na jego mapach. Zrobię to sobą, swoimi częściami, bo jestem światłem…*

Tak oto poznałem główną siłę sprawczą – PraOjca JAHWE. Kim jest, czym się zajmuje i jakie ma koneksje z człowiekiem. Wszystko wskazuje na to, że istota ludzka jest boskim awatarem służącym do podnoszenia wibracji planet. To tak pokrótce – widziane z wyższego poziomu Ojca.

Czyli wszystko jest, jak być powinno? Sporo rzeczy nadal nie pojmuję. Nie chcę snuć niepotrzebnych wywodów i tworzyć teorii, choć umysł aż się rwie do tego. Wciąż mam za mało danych, a może po prostu brak mi odwagi.

*   *   *

Jest 23 lipca 2011 roku, sobotni wczesny poranek. Gorączkowo ślę pytanie do Nieba, czy wszystko dobrze napisałem, czy czegoś nie przekręciłem lub za dużo nie wypaplałem. Denerwuję się więcej niż trochę, ale chcę znać prawdę. Niech Niebo oceni, czy to się nadaje dla Ludzi. Jeśli nie, to trudno, napiszę od nowa. Pal licho pracę wykonaną dotychczas.

Napięty jak struna, wiedząc, że brak relaksu nie sprzyja przesuwaniu fazy, mimo wszystko próbuję zanurzyć się w poza – zamykam oczy. Natychmiast pojawia się postać JAHWE. Wciąż jestem w ciele, nigdzie nie wyszedłem. Mam tylko zamknięte oczy. Siwobrody Mędrzec w śnieżnej szacie z oczami jak diamenty, przepasany sznurem, podpierając się złotym kosturem nachyla się nade mną i wyciąga ze mnie rękopis – folder podpisany „DARO”. Nic nie mówi. Nie pada ani jedno słowo. Oddala się i znika w ciemności. Otwieram oczy. Buzia sama się śmieje.

– Co za radość spotkać Go! Udało mi się, i to w ciele! Wziął rękopis do oceny, wiem o tym. Pewnie mu się spodoba. Jest taki wyrozumiały i dobry. Te Jego oczy... trochę się ich boję. Ma w sobie coś, co budzi grozę, ale tyle samo Go kocham, więc jest po równo. „No, ciekawe co powie?”

Ponownie zamykam oczy i już Go widzę! „Ale dowcipniś z Niego, ależ ma poczucie humoru... Wiem już wszystko, wiem co było źle!” Oznajmia mi na migi. Na moich oczach z wsuniętego za sznurowy pas folderu „DARO”, wyciąga dwa fragmenty książki w postaci przedmiotów. Wstyd mi jak cholera. Pokazuje mi, że jedne przedmiot to jego własność, a nie moja. Mówi gestem: „Hola hola, brachu, to moje!” Zaś drugi uchwycony więdnie mu w rękach.

„Co za przekaz! Głąb by go zrozumiał! Dobrze, że to tylko te dwa fragmenty. Kicha straszna. Widać ego mam jeszcze nieoszlifowane. Ale jak fajnie mi to pokazał...”.

Mija dosłownie sekunda i w ręku JAHWE zamiast kostura pojawia się wielki złoty znicz. Unosi go do góry na znak przymierza. Wszystko już jest okej. Nie oddaje mi folderu. Jest już Jego. Należy do rodzaju ludzkiego. Został zaakceptowany. Widzę to w Jego spojrzeniu. Pokazuje palcem na napis pod folderem – na moich oczach słowo „DARO”, po przestawieniu kilku liter zmienia się na „TORA” i pod ikonką pojawia się podwójny zwój starodawnego dokumentu. JAHWE ujmuje Torę , rozwija na boki i ukazuje:

...WIEKUISTE PISMA...

---

w przygotowaniu:

**„Dzienniki Jessego”**